Seria z podkomisarzem Robertem Lwem

# WICIERZ

M.M. PERR

# WICIERZ

M.M. PERR

prozanni

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Wydawnictwo poleca

Copyright © by Grupa Wydawnicza Literatura Inspiruje Sp. z o.o., 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone
*All rights reserved*
Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

*Redakcja:* Justyna Jakubczyk
*Korekta:* Jolanta Chrostowska-Sufa
*Projekt graficzny okładki:* Ilona Gostyńska-Rymkiewicz
*Zdjęcie na okładce:* Copyright © by Dmitry (stock.adobe.com)
*DTP:* Justyna Jakubczyk

ISBN 978-83-67173-45-2

Gdańsk/Warszawa 2023

Wydawnictwo Prozami
zamowienia@literaturainspiruje.pl
www.prozami.pl
www.literaturainspiruje.pl

Konwersja: eLitera s.c.

*Pamięci mojego przyjaciela,*
*Andrzeja*

# Rozdział 1

– Nie martw się, kochanie, zaraz coś wymyślę i uratuję ten dzień. Zobaczysz, będzie fajnie – powiedział Filip, poklepując niezdarnie Ulę po ramieniu. Byli małżeństwem piętnaście lat. Pierwsze pięć spędzili w dokładnie taki sposób, jaki sobie wymarzyli – pokonywali kolejne szczeble korporacyjnej kariery, pili dobre wina z przyjaciółmi i chodzili na imprezy w weekendy. Ostatnie dziesięć lat zaplanowali równie skrupulatnie, ich wizja jednak znacznie odbiegała od rzeczywistości. Chcieli mieć dwójkę dzieci, które rodzone rok po roku miały być swoimi najlepszymi przyjaciółmi, razem się rozwijać, bawić i cieszyć. Tymczasem po pierworodnej córce Basi na świat przyszły nieoczekiwanie bliźnięta, chłopcy. Basia nie tylko była o nich zazdrosna. Ona ich wręcz nienawidziła, a oni jej uczucia równie żywiołowo odwzajemniali. Domowa sielanka zmieniła się w permanentny chaos przerywany krzykami i płaczem. Relacje Filipa i Uli rok po roku ulegały pogorszeniu. Nie potrafili się odnaleźć w nowej sytuacji i coraz częściej obwiniali o nią siebie nawzajem.

Wspólny wyjazd na dłużej nad morze w wakacje to był prezent Filipa dla żony z okazji rocznicy ślubu. Sam znalazł przepiękny drewniany domek z widokiem na morze – przestronny i gustownie urządzony. W łazience była ogromna wanna z hydromasażem, w ogródku balia, sauna i basen. Do domku przylegała również stodoła, w której był urządzony małpi gaj dla dzieci z drabinkami i huśtawkami. Pomysł wydawał się świetny. Mieli tu zregenerować swoje zszarpane nerwy, a dzieci dobrze się bawić. Tymczasem dzieci tak jak się kłóciły w domu, tak samo nie przestawały walczyć ze sobą na wakacjach. W dodatku przez cały tydzień było chłodno i wiało, a tego ranka na domiar złego obudził ich rano stukot kropli deszczu o parapet. Ula całkiem straciła nadzieję. Leżała bez sił na białej kanapie, którą dzieci zdążyły już ubrudzić dżemem borówkowym.

– W nocy był sztorm – powiedział Filip głośno. – A to znaczy, że dzisiaj na plaży możemy znaleźć prawdziwe skarby.

– Ja nie idę. Pada – stwierdziła Basia.

– Jakie skarby? – zaciekawił się Tymon.

– Chcę kupę – powiedział Szymon.

Filip wziął głęboki oddech i uśmiechnął się szeroko, starając się wzbudzić w sobie wystarczająco dużą dozę charyzmy.

– Mówię o najprawdziwszych skarbach, a nie takich udawanych. Już prawie nie pada, ale piasek będzie jeszcze mokry. Do tego jest pochmurno i zimno…

– I to ma nas przekonać? – prychnęła Basia.

– Właśnie tak! Bo to znaczy, że będziemy na plaży całkiem sami – powiedział Filip i klasnął głośno w ręce. – Kiedyś w taki dzień jak ten znalazłem bursztyn wielkości mojej pięści.

– Naprawdę? – krzyknęły razem dzieci.

– Naprawdę! – odparł.

– I gdzie on teraz jest? – zapytał Szymon, wystawiając głowę przez uchylone drzwi toalety.

– Sprzedałem go i kupiłem swój pierwszy samochód.

– Był tyle wart?

– Jasne. Taki bursztyn zdarza się naprawdę rzadko, a to dopiero początek. Czasami morze wyrzuca stare złote i srebrne monety, które zatonęły wraz ze statkami, albo coś jeszcze lepszego. To co? Kto idzie ze mną?

– Ja! – krzyknęły dzieci i wybiegły do przedpokoju nakładać buty.

– Samochód, co? – powiedziała Ula, uśmiechając się pierwszy raz od początku wyjazdu.

– No może ten bursztyn nie do końca był wielkości mojej pięści – mrugnął do niej Filip.

– A co zrobisz, jak nic nie znajdą na tej plaży i znowu zaczną marudzić? – zapytała go żona.

– Wskoczę do morza i zacznę w nie rzucać wodorostami – odparł Filip.

– Trzymam cię za słowo – powiedziała Ula, wyciągając spod łóżka buty z grubą gumową podeszwą, których miała nadzieję w ogóle nie zakładać w czasie wakacji.

Prawie przestało padać. Drobne krople zimnego deszczu popychane przez wiatr zraszały im twarz, ale dzieci wydawały się dobrze bawić. Biegały od jednej

zatoczki do kolejnej. Zbierały muszle i patyki wyrzucone przez fale. Plaża, tak jak się spodziewali, była pusta. Przez chwilę mogli znowu jak dawniej wziąć głęboki oddech. Słychać było tylko mewy i szum ciągle niespokojnych jeszcze fal. Chwilowy błogostan przerwał im paniczny krzyk Szymona, do którego po sekundzie dołączyli Tymon i Basia. Krzykowi dzieci dorównywał tylko krzyk mew, które nagle wzbiły się w niebo i krążyły groźnie nad nimi. Ula i Filip rozglądali się dookoła. Dzieci chwilę wcześniej zniknęły im z pola widzenia, wyprzedzając ich znacznie w miejscu, gdzie plaża lekko zakręcała w prawo. Ruszyli biegiem w kierunku, z którego dochodził krzyk.

– Co się dzieje? – zawołał Filip do dzieci, gdy w końcu zobaczył je stojące na skałach.

Dzieci nie odpowiadały. Ich krzyk ucichł. Stały przerażone, patrząc na coś w dole, czego na początku Filip nie mógł dostrzec. Ula, która najpierw ruszyła w kierunku lasu, a dopiero później zawróciła do morza, przez co znajdowała się wyżej i zobaczyła ciało wcześniej niż mąż. Wydała głośny jęk i w pierwszym odruchu znieruchomiała. Dopiero po chwili, ponownie spoglądając na przestraszone twarze swoich dzieci, podbiegła bliżej. Mimo całej miłości do nich nie mogła się zdobyć na to, by wejść na skały, gdzie one stały. Nie miała odwagi spojrzeć z bliska na to, na co patrzyły one teraz.

– Do mnie! – krzyknęła. – Nie patrzcie tam! Biegnijcie do mnie!

Sparaliżowane strachem dzieci trwały w tym samym miejscu do momentu, gdy ojciec zaczął po kolei brać je na ręce i przenosić do matki. Jej uścisk nie przyniósł im jednak ukojenia. Nic nie mogło wymazać obrazu, który na zawsze wbił się do ich młodych głów i serc. Mewy odczekały chwilę, po czym, zataczając coraz mniejsze koła, wróciły do swojego miejsca żerowania.

# Rozdział 2

Podkomisarz Robert Lew w pośpiechu przeszukiwał szafę w przedpokoju. Przez ostatnie parę miesięcy przytył nieznacznie, ale wystarczająco, by czarna kurtka, którą zazwyczaj nosił o tej porze roku, zaczęła nieprzyjemnie go obciskać w pasie. Szukał więc innej, granatowej. Nie lubił jej, zbytnio kojarzyła mu się z oficjalnym uniformem, ale była szersza i osłoniłaby go przed nadchodzącym deszczem. Nie było jej jednak na wieszaku, a szafa była wypełniona tak, że trudno było cokolwiek w niej znaleźć. W pośpiechu zaczął wyrzucać na podłogę kolejne swetry, polary i płaszcze. Miał dopiero pięćdziesiąt lat, ale jego metabolizm widocznie zwolnił. A Lew nie robił absolutnie niczego, by zatrzymać ten proces. Do tej pory większą masę udawało mu się ukrywać ze względu na swój wysoki wzrost. Dodatkowe parę kilogramów w magiczny niemal sposób rozłożyły się równo na jego ciele, tak że nie było nic widać. Dopiero ostatnie miesiące przyniosły wyraźną zmianę w postaci coraz bardziej zarysowanego brzucha.

– Co się dzieje? – zapytał jego syn Mikołaj, wychodząc ze swojego pokoju w bardzo pomiętej bluzie. Było jeszcze wcześnie, przynajmniej jak dla nastolatka, i to w wakacje.

– Szukam granatowej kurtki. Ma lać, a ja nie chcę siedzieć w pracy cały dzień z mokrą koszulą przylepioną do ciała – odrzekł Lew. – A ty się gdzieś wybierasz o tej porze?

– Nie.

Lew spojrzał na twarz syna. Z tej odległości i stojąc pod światło, nie mógł się jej zbyt dobrze przyjrzeć. Podejrzewał jednak, że gdyby mógł, to zobaczyłby zaczerwienione od niewyspania oczy. Z jego pokoju dochodził wytłumiony przez słuchawki dźwięk gry komputerowej.

– A co z tą bluzą? Spałeś w niej? – zapytał podkomisarz, patrząc na ubranie syna.

– Nie, już taka była.

– Wyprana jest chociaż?

– Chyba wyprana – odparł Mikołaj, wzruszając ramionami. – My nie przeżyjemy, tato, bez Nikoli. Zadzwoń do niej. Szukałem wszędzie i nie ma ani jednej mojej skarpetki.

– Nie mogę do niej zadzwonić w sprawie twoich skarpetek. Daj spokój – odpowiedział Lew. – To dorosła kobieta. Nie mogę jej mówić, co ma robić.

– No przecież o to się właśnie pokłóciliście, co nie? Więc jak jej teraz powiesz, że może robić, co chce, i nie będziesz się wtrącać, to ona wróci.

– Niko…

– Tylko nie Niko, jestem już na to zdecydowanie za duży.

– Okej, okej… Mikołaj, to nie takie proste. Ona chce zacząć nowe życie. Zresztą poradzimy sobie przecież sami. Nie jest tak źle.

– Jak to nie jest źle? Jest tragicznie! Wczoraj się prawie otrułem…

– Nie jedz niczego z lodówki – powiedział podkomisarz, wystawiając z szafy głowę. – Mówię poważnie. Weź kasę z mojego portfela i zamów pizzę… i kup nowe skarpetki. Dla mnie też.

– Kasę z twojego portfela? – powtórzył ironicznie za ojcem Mikołaj. – Twoją mityczną kasę? Te rulony stuzłotówek, które zawsze nosisz?

– No dobra, weź kartę – wysapał Lew. – Nie znajdę tej kurtki.

– Jest lipiec. Przeżyjesz – odparł chłopiec, wyciągając z torby ojca portfel. – Albo zadzwoń do Nikoli. Założę się, że wie, gdzie ona jest.

Podkomisarz nic nie odpowiedział. Spojrzał w lustro i przyklepał nieco sterczące szpakowate włosy, które powinien już parę tygodni temu podciąć, ale ciągle nie było na to czasu. Rozejrzał się ostatni raz po salonie. Jego wzrok na chwilę zawisł na komodzie, na której stała urna z prochami jego ojca. Powinni byli go już pochować, ale jego brat był na misji wojskowej i razem z siostrą postanowili, że poczekają, aż wróci. Ta decyzja sprawiła jednak, że Lew odczuwał jakiś trudny brak zakończenia. Jego relacje z ojcem były skomplikowane, odkąd sięgał pamięcią, i dopiero gdy tamten się postarzał i stracił nieco hardości, zaczęło im się lepiej układać. Po śmierci żony Lwa ojciec wziął ich do siebie. Nadal był trudny, ale już w zupełnie inny sposób niż kiedyś. Tak jak Lew, był bardzo wysokim i barczystym mężczyzną, chociaż pod koniec, gdy trawiła go demencja, zaczął się garbić. A teraz całe jego ciało, którego Lew miał wciąż żywe, niemal namacalne wspomnienia, mieściło się w stojącej na komodzie kamiennej urnie.

Podkomisarz odwrócił wzrok. Wziął swoją torbę i wyszedł. Wsiadł do samochodu, sprawdził godzinę, zastanowił się przez chwilę, którą drogę najlepiej wybrać, by ominąć korki. Wybrał dłuższą, ale pewniejszą. Po paru minutach z gęstych granatowych chmur zaczął padać deszcz. Gdy podkomisarz dojechał pod Komendę Stołeczną Policji, deszcz zmienił się w prawdziwą ulewę. Lew starał się zaparkować jak najbliżej wejścia. Krążył kilkukrotnie dookoła budynku, ale na próżno. W końcu znalazł miejsce oddalone o dobre dwieście metrów. Sprawdził kalendarz w telefonie. Za dziesięć minut zaczynało się spotkanie zespołu. Nie miał wyboru, musiał biec. Gdy przekroczył próg komendy, jego przemoczona koszula przylepiała się do ciała, a z włosów ciurkiem spływały krople.

– Co za pogoda! – powiedział na jego widok przymilnym głosem jego kolega z zespołu, Wojtek Śliczny. Lew odwrócił się w prawo i spojrzał na niego. Śliczny miał na sobie niebieską, o wiele za dużą kurtkę przeciwdeszczową, a w ręce trzymał parasol. Jego włosy, tak jak reszta ubrania, były suche.

– Faktycznie – odburknął Lew.

Jedyne schody prowadzące na piętro, do wydziału kryminalnego, były na prawo. Chcąc nie chcąc, podkomisarz zbliżył się do Ślicznego, który od razu wyciągnął rękę, sądząc, że Lew chce się z nim przywitać. Podkomisarz nie zauważył – bądź nie chciał zauważyć – tego gestu i ręka Ślicznego zawisła bez celu w powietrzu. Lew zauważył za to na ramieniu kurtki charakterystyczne odbarwienie.

– Skąd masz tę kurtkę?

– Tę? – zapytał niewinnie Śliczny. Mina od razu mu jednak zrzedła. – To twoja? Wybacz, musiałem kiedyś pożyczyć i zapomniałem zupełnie… pewnie Nikola mi ją…

Umilkł, gryząc się w język zbyt późno. Nikola, którą parę lat wcześniej Lew uchronił od bezdomności i pomógł jej zacząć życie od nowa, stała się kością niezgody między nimi. Relacja Nikoli i Wojtka, która według oceny Lwa była, oficjalnie z powodu różnicy wieku między nimi, z góry skazana na niepowodzenie, spowodowała, że podkomisarz od paru miesięcy nie mógł znaleźć sobie miejsca ani w pracy, ani w domu. Śliczny, z którym do tej pory łączyły go bardzo dobre, wręcz przyjacielskie stosunki, nagle zaczął pojawiać się codziennie u niego w domu. Jego cechy charakteru i jowialny sposób bycia, które zupełnie nie były zauważalne dla Lwa w pracy, nagle okazały się uciążliwe w życiu prywatnym. Nikola, która zajmowała się schorowanym ojcem Lwa oraz całym domem,

mieszkała z nimi i stała się dla niego kimś tak bliskim niemal jak córka. Był świadkiem jej wzlotów i upadków. Wiedział też, że pod pozorną hardością i ciętym językiem skrywa się osoba o wielkiej wrażliwości, którą bardzo łatwo zranić. Znał jej przeszłość, czytał jej akta z kolejnych domów zastępczych, i wiedział, że rzekoma stabilność, jaką miał gwarantować starszy od niej sierżant Śliczny, mogła być dla niej bardzo kusząca. Doświadczenie podpowiadało mu jednak, że mężczyzna, który do tej pory nie miał zbyt wielu związków, może wcale nie być gwarantem stabilności. Wręcz przeciwnie. Napięcie między tą trójką rosło więc każdego dnia, aż w końcu zostało uwolnione w czasie wymiany zdań na temat tego, kto może, a kto nie może mieć w ich domu własnych pantofli, która przerodziła się w prawdziwą burzę. Pojawienie się pantofli Ślicznego w domu Lwa było dla niego tym, co ostatecznie przechyliło szalę. Ojciec Lwa zmarł miesiąc wcześniej. Nikola mogła więc bez poczucia winy wyprowadzić się z domu podkomisarza. Nie była już tam nikomu potrzebna. Przynajmniej tak powiedziała, a Lew kiwnął potakująco głową. Prawda była jednak taka, że dla wdowca i ojca samotnie wychowującego dzieci, którym był Lew, jej pomoc była wielkim wsparciem. Podkomisarz wiedział o tym w czasie tamtej kłótni, nie zrobił jednak niczego, by ją zatrzymać. Może liczył na to, że Nikola szybko do nich wróci, gdy zamieszka ze swoim ukochanym oraz z jego matką, z którą tamten dzielił dom. Niespodziewanie jednak tygodnie mijały, a ona nawet nie zadzwoniła.

– Masz – powiedział, czerwieniąc się Śliczny. Zaczął ściągać z siebie kurtkę, ale Lew go powstrzymał ruchem ręki.

– Zostaw. Oddasz mi później. Będzie lało dzisiaj cały dzień. Nie ma powodu, byś ty też był mokry, a ja i tak już jestem – odparł i ruszył w kierunku schodów, nie patrząc więcej na sierżanta.

W wydziale było niewiele osób, tak jak zresztą w każde wakacje. Rzadko się jednak zdarzało, by pora roku miała istotny wpływ na liczbę przestępstw. Pracy było tyle samo, na biurkach gromadziły się sterty teczek z informacjami, które powinny być w komputerach, ale z jakiegoś powodu wszyscy pracujący w wydziale zabierali się za nie dopiero wtedy, gdy ktoś je wydrukował.

– Jesteś! – krzyknęła z drugiego końca sali dyrektor Jaskóła, gdy zobaczyła wchodzącego podkomisarza. – Czekałam na ciebie.

– Dlaczego? – zapytał Lew, nie zmieniając kierunku obranego na ekspres do kawy w kuchni.

– Mam sprawę. Pojedziesz do Słupska – odparła Jaskóła, która niespiesznym krokiem weszła za podkomisarzem do kuchni. Choć jej bluzka była sucha, spódnica była całkiem przemoczona od spodu.

– Chcesz kawy?

– Jasne – odrzekła. – Też nie sprawdzałeś pogody?

– Sprawdzałem, ale moją granatową kurtkę ktoś sobie przywłaszczył – powiedział Lew, patrząc w kierunku Ślicznego, który właśnie wchodził do sali głównej wydziału. Jaskóła przewróciła oczami.

– Jesteście jak dzieci. Tupiecie tylko nogami, zamiast się jakoś dogadać.

– Piję spokojnie kawę i zapewniam cię, że jestem daleki od tupania. Faktem jest jednak, że tamta kurtka zniknęła z mojej szafy, w moim domu, bez mojej wiedzy i zgody.

– No tak… To co mam teraz zrobić? Podzielić wydział na dwa, byście jakoś mogli funkcjonować? – powiedziała ironicznie Jaskóła i parsknęła.

Podkomisarzowi nie było jednak do śmiechu.

– Co z tym wyjazdem? O którą sprawę chodzi? – zapytał.

– O żadną naszą. Zginęła kobieta, lat pięćdziesiąt pięć. Miejscowa policja stwierdziła zgon przez utonięcie.

– Utonięcie?

– Tak, znaleźli ją nad brzegiem morza, na skałach, ale rodzina nie wierzy w oficjalną przyczynę śmierci.

– To co my mamy z tym wspólnego?

– Zmarła była z Warszawy, a jej syn jest radnym – odparła.

– Radnym? – powtórzył za nią Lew, siorbiąc powoli gorącą kawę.

– Tak, dzwonił i poprosił o osobistą przysługę. Wiesz, jak jest.

– Są jakieś w ogóle podstawy do tego, by podważać to, co powiedzieli miejscowi? Ta kobieta miała jakichś wrogów?

– Nie znam szczegółów, ale wiele procedur faktycznie nie zostało wykonanych prawidłowo. Słupsk to nie Warszawa. Tam mają mniejsze doświadczenie, więc… zresztą pewnie nie wiedzieli, z kim mają do czynienia.

– Kiedy mam jechać? – zapytał Lew.

– Najlepiej to dzisiaj, teraz.

Lew sprawdził godzinę w telefonie.

– Załatwiłam ci mieszkanie służbowe. W pokoju są dwa łóżka – powiedziała Kamila, dając mu do ręki kartkę ze wszystkimi potrzebnymi danymi.

– Z kim mam jechać?

– Może z synem? – powiedziała ciszej.

– Z Niko? Mam go brać ze sobą do pracy? – obruszył się podkomisarz.

– Pomyślałam, że pewnie nie będziesz miał go z kim zostawić. A poza tym pewnie tam na miejscu to będzie tylko formalność. Dla zachowania pozorów i żeby syn denatki poczuł się poważnie potraktowany, lepiej będzie, jak jednak trochę tam zostaniesz i zrobisz, co trzeba. Popołudnia będziesz mógł przecież spędzić z Mikołajem na plaży, trochę się zrelaksujecie, nie będziesz czuł ciśnienia, żeby szybko wracać. W końcu są wakacje.

– Może masz rację – odparł Lew, patrząc ponownie na Ślicznego, który rozsiadł się przy swoim biurku, sąsiadującym z biurkiem podkomisarza. – Wrócę do domu się spakować.

– Dzięki. Odwdzięczę się innym razem – powiedziała Jaskóła.

– Nie udawaj, że miałem jakiś wybór – burknął podkomisarz.

– Nie miałeś, ale się cieszę, że nie musiałam cię przekonywać przez połowę tego dnia. Poza tym coś mi mówi, że taki wyjazd jest ci nawet na rękę.

Lew powiedział pod nosem coś niezrozumiałego, dopił kawę, sprawdził prognozę pogody w Słupsku, po czym podszedł do sierżanta.

– Zmieniłem zdanie. Potrzebuję jednak kurtki.

– Tak? – powiedział Śliczny, patrząc za okno, w które w dalszym ciągu uderzały ciężkie krople deszczu. – A mogę ci ją dać za dwie godziny? Właśnie miałem telefon od…

– Niestety – przerwał mu Lew. – Jadę na parę dni do Słupska. Tam wieje i pewnie też będzie lać.

– Ten wyjazd… chodzi o którąś z naszych spraw? – zapytał Śliczny, podając podkomisarzowi kurtkę.

– Nie – odpowiedział krótko Lew i wyszedł.

# Rozdział 3

– Wziąłeś krótkie spodenki? Ma być ładna pogoda. Sprawdzałem prognozę – zapytał Lew.

Mikołaj, ze wzrokiem utkwionym w swoim telefonie, siedział koło niego w fotelu pasażera. Jechali już drugą godzinę w ciszy, która w ich relacji była stosunkowo nowym doświadczeniem. Lew już milczał z innymi członkami swojej rodziny. Cisza pojawiała się często, gdy do domu przychodziła w odwiedziny jego starsza córka Basia. Ale do tej pory między nim a synem zawsze układało się dobrze. Lew nigdy nie czuł się jakimś szczególnie wzorowym rodzicem. Nie miał też takich ambicji. O ile jednak w relacjach z córką od zawsze było coś nie tak, to uważał, że z synem robi względnie dobrą robotę albo przynajmniej dostatecznie dobrą.

– Czatujesz z kimś? Z kolegą?

– Nie. Gram.

– Na smartfonie? Widzisz coś tam w ogóle?

– Wolałbym w domu na laptopie, ale skoro utknęliśmy w tym samochodzie, to smartfon jest lepszy niż nic…

– Nie utknęliśmy, tylko jedziemy na wycieczkę.

– Na wycieczkę? Czy ty nie masz przypadkiem tam oglądać trupa jakiejś kobiety?

– Przecież jakbyśmy zostali w Warszawie, to i tak bym pracował. Urlop mam dopiero za miesiąc.

– Ale w Warszawie mam przynajmniej co robić – odburknął Mikołaj.

– Nad morzem też będziesz miał. Kiedy ostatni raz kąpałeś się w morzu? Przez cztery lata jeździłeś tylko na obozy w górach.

– Słupsk nie leży nad morzem, tato.

– Nie leży nad samym morzem, ale mamy samochód, więc to żaden problem.

– Jasne – odparł Mikołaj i ponownie pochylił się nad ekranem swojej komórki.

– Ej no, daj mi szansę.

– Na co?

– No wiesz, otwórz się na tę możliwość spędzenia trochę fajnego czasu ze swoim staruszkiem.

– Otwieram się – powiedział Niko, nie podnosząc głowy.

– Wyłącz to – odparł Lew, machając ręką w kierunku telefonu, który spadł pod siedzenie.

– Tato! Weź przestań. Co niby jest złego w tym, że sobie gram. Przecież i tak tylko jedziemy.

– Mógłbyś wykorzystać ten czas w inny sposób.

– Niby jaki? Mam chorobę lokomocyjną. Nie mogę czytać.

– Możemy porozmawiać.

– O czym?

– No wiesz, o tym, co zawsze.

– No dobrze… to czy wiesz, gdzie są moje skarpetki?

– Co?

– No rozmawiamy o tym, co zawsze, a przez dziewięćdziesiąt procent czasu rozmawiamy ostatnio o rzeczach, których nie możemy znaleźć, albo o jedzeniu, które chcielibyśmy zjeść, ale go nie mamy.

– Nie przesadzaj. Ale jak chcesz… albo raczej jak nie chcesz ze mną rozmawiać, to patrz przez okno. Świat jest wielki i niesamowity. Jak często masz okazję jechać tą trasą? Rozglądaj się!

– Ty tak serio, tato? – powiedział Mikołaj, wskazując palcem na niezbyt urodziwe domy w miasteczku, przez które akurat przejeżdżali.

– No dobra, rób, co chcesz – warknął Lew. Do tej pory, gdy tak mówił, jego dzieci lub Nikola po chwili jednak robiły to, o co je wcześniej prosił, miarkując, że lepiej trochę się przemęczyć, niż znosić jego niezadowolenie przez resztę dnia. Mikołaj jednak tym razem wybrał niezadowolenie i do końca podróży grał na swoim telefonie.

– Dojechaliśmy – przerwał mu Lew po paru godzinach, gdy byli na miejscu. Mikołaj nie reagował do momentu, gdy ojciec wyrwał mu słuchawki z uszu.

– Co jest? – obruszył się syn.

– Dojechaliśmy.

Mikołaj otworzył drzwi i rozejrzał się, siedząc ciągle w środku. Stali przed obskurną kamienicą na obrzeżach miasta.

– Tu mamy załatwiony nocleg. Weź swój plecak i chodź.

Pokój załatwiony dla nich przez panią dyrektor okazał się małą kawalerką z toaletą oraz ze wspólną łazienką dla wszystkich na piętrze. W pokoju były dwa proste łóżka, a na nich wełniany koc w kratę. Niegdyś białe ściany wymagały odmalowania. Jedynie aneks kuchenny wyglądał na nowy.

– Nie sądziłem, że gdzieś są jeszcze takie mieszkania z łazienką w korytarzu – powiedział Mikołaj, stojąc na środku pokoju i wyraźnie nie mogąc się zdecydować, gdzie usiąść.

– To prawdopodobnie stary budynek komendy, w którym były mieszkania kwaterunkowe. Pewnie dostali pieniądze na nowe biura, ale na ten budynek już nie starczyło.

– Musimy tu spać?

– Nie jest tak źle – powiedział Lew, zaglądając do mikrofalówki. Cokolwiek jednak w niej zobaczył, sprawiło, że szybko z niechęcią ją zamknął.

– Mówisz tak, bo ty będziesz tu tylko w nocy, a co ja mam robić? – zapytał Mikołaj, pociągając palcem po zakurzonym parapecie. Za oknem z głośnym warkotem przejeżdżał samochód.

– Nie musisz tu siedzieć. Idź, pozwiedzaj.

– Co mam pozwiedzać? Słupsk?

– Tak, Słupsk – odparł Lew zniecierpliwionym głosem. – Muszę zaraz spotkać się z miejscowym policjantem, który prowadzi sprawę, ale mam jeszcze pół godziny. Chcesz coś zjeść? Na pewno znajdziemy jakąś knajpę.

– Nie, dzięki – odrzekł Mikołaj, siadając ciężko na łóżku. Materac skrzypnął złowrogo.

– No dobra, jak chcesz. Rozpakuj się więc. Powinienem szybko wrócić. Dzisiaj i tak za dużo w sprawie nie zrobię. Kiedy wrócę, to pojedziemy razem na smażoną rybę.

– Nie wziąłem – odpowiedział mu Niko, który zaczął czegoś szukać w plecaku.

– Czego?

– Spodenek.

– Żadnych? – zdziwił się podkomisarz.

– No. Zapomniałem. Pewnie nie było w szufladzie. Nikola zawsze…

– Dobra, nieważne. Kupimy – powiedział Lew i wyszedł zdenerwowany. Gdyby on, mając jedenaście lat jak jego syn, zapomniał spakować spodenek, jego ojciec pewnie nawet by nie zauważył. On nie śmiałby mu nawet tym zawracać głowy. Podwinąłby pewnie nogawki i tak chodził jakby nigdy nic albo nosiłby normalnie długie spodnie i udawał, że nie jest mu gorąco. Jego rodzice uważali go już w tym wieku za samodzielną osobę i tak go traktowali. On siebie zresztą też wtedy za takiego uważał. Dzisiejsza młodzież z jakiegoś niezrozumiałego dla Lwa powodu z jednej strony zbyt wcześnie dojrzewała do używek i wszystkiego tego, co dla nich szkodliwe i niedobre. W pracy widywał naćpanych albo pijanych uczniów podstawówki, dziewczynki umalowane tak mocno, że wyglądały jak dorosłe kobiety, dwunastolatki w ciąży czy młodocianych przestępców. Dodatkowo dzieciaki niemal od kołyski zdawały się wprost przesiąknięte zaawansowaną wiedzą dotyczącą komputerów i najnowszych technologii. Z drugiej strony jednak prawdopodobnie żadne z nich nie potrafiłoby ugotować sobie samodzielnie obiadu, zacerować dziury w skarpecie czy wymienić opony w samochodzie. Zmiana w czasie zaledwie jednego pokolenia była ogromna.

W Komendzie Miejskiej w Słupsku na podkomisarza czekała pulchna rudowłosa kobieta. Miała ładną twarz o miłych dla oka rysach. Wyglądała na młodą. Dopiero po jej silnym i zdecydowanym tonie głosu można było się domyślić, że przekroczyła już trzydziesty piąty rok życia i blisko jej do czterdziestki. Jej ręce były ciepłe, a uścisk przyjemnie silny. Lew zdecydował, że ją lubi, jeszcze zanim się przedstawiła.

– Mów mi Jowita. Miło cię poznać – powiedziała, podając mu swoją ciepłą dłoń.

– Przypuszczam, że tak naprawdę nie cieszysz się na wizytę z Warszawy. Obiecuję nie wtrącać się za bardzo. Wiesz, jak jest. Jak radny prosi…

– Wiem, jasne. To nic osobistego – powiedziała, zerkając w dal przez ramię podkomisarza. – Sam jesteś?

– Spodziewałaś się, że z kimś przyjadę? W Warszawie jest magiel. Zawsze za mało ludzi, a spraw za dużo. Do konsultacji raczej nie wysłaliby…

– Podobno miałeś być z synem? – przerwała mu.

– No tak… – zająknął się.

– Miałam nadzieję go poznać. Mam też chłopaka w podobnym wieku.

– Nie chciałem go brać. Znaczy jest ze mną, ale został w mieszkaniu, które nam przydzielili.

– Mam nadzieję, że jest okej.

– Co?

– To mieszkanie. Dawno tam nie byłam – wyjaśniła.

– Tak, tak… znaczy mnie niewiele trzeba, a mojemu synowi i tak trudno dogodzić.

– Znam to – powiedziała, śmiejąc się. – Mój Damian ciągle tylko by chciał nowe buty do piłki.

– Gra?

– Gra, biega, trenuje zapasy… on właściwie robi wszystko to, co tylko jest w jego zasięgu. Naprawdę czasami już z nim nie wyrabiam. Ja rozumiem, że dobrze mieć pasję w życiu, ale ile można? A twój co lubi?

– Też gra, tyle że na komputerze – odpowiedział Lew. – Oszczędzam dzięki temu na butach.

– No tak, komputery i młodzież – ciężka sprawa.

– Tak – odparł podkomisarz, po czym klasnął w ręce. – Zabierajmy się do pracy. Pokaż mi, co macie. Chciałbym to przejrzeć, a potem pojadę spotkać się z rodziną denatki.

– Tak od razu? Myślałam, że najpierw będziesz chciał, no wiesz… zawojować nas tu stołecznymi metodami wykrywania zbrodni – odparła, po czym zaśmiała się serdecznie.

– To zostawmy na jutro, a dzisiaj zrobię to, po co tak naprawdę przyjechałem, czyli zajmę się polityką i zapewnianiem, kogo trzeba, że sprawa jest w dobrych rękach i wszystko będzie dobrze.

– Od razu widać, że jesteście w tym dobrzy, tam, w stolicy – zaśmiała się Jowita. W jej śmiechu było coś bardzo przyjemnego, pomyślał Lew.

– Lata doświadczenia – odparł.

Jowita wskazała mu miejsce przy swoim biurku i pokazała teczkę ze zdjęciami.

– Wiem, że na pewno sporo już widziałeś, ale ostrzegam, że są dosyć mocne – powiedziała, zanim otworzył.

– Mocne? Myślałem, że sprawa jest prosta, że chodzi o utonięcie w Bałtyku.

– Ciało musiało trochę leżeć na tych skałach. Ptaki zrobiły swoje. Kobieta została pozbawiona tkanek miękkich z… zresztą sam zobaczysz.

Lew otworzył teczkę i powoli przeglądał kolejne zdjęcia. Opuchnięte od wody ciało było zdeformowane. Podkomisarz widział już wielokrotnie topielców, więc ani stopień rozkładu, ani owa opuchlizna go nie zaskoczyły. Nie mogły być również nowością dla policjantki pracującej w mieście niewiele oddalonym od morza. Dopiero oglądając trzecie zdjęcie, Lew zrozumiał, co miała na myśli Jowita. Ptaki wydziobały oczy i większość tkanki miękkiej na twarzy. To samo dotyczyło brzucha i ud.

– Biedne dzieciaki – powiedziała Jowita, nie kryjąc obrzydzenia.

– Dzieciaki?

– Kobietę znalazła rodzina z trójką dzieci. Najstarsza dziewczynka nie może mieć więcej niż dziesięć lat, a bliźniaki pewnie mają osiem.

– No to już normalne nie będą – powiedział Lew, nie odrywając się od zdjęć.

– Chyba nie, chociaż mam nadzieję, że jednak…

– Chcę porozmawiać z rodziną. Wiesz, gdzie oni teraz są?

– Na kempingu. O tutaj – odparła, podchodząc do zawieszonej na ścianie mapy.

– Radny był z rodziną na wakacjach na kempingu? A to niespodzianka. Myślałem, że prywatny dom albo przynajmniej hotel…

– Kempingi są teraz w modzie. Wiesz – powrót do młodości, do korzeni – odparła policjantka, odwracając wzrok od zdjęć.

– Mnie by się już nie chciało. Znaczy gdybym miał kasę, to wolałbym hotel – mruknął Lew, przeglądając jeszcze niezbyt grubą liczbę stron wydrukowanego raportu. W jasny sposób wynikało z niego, że sprawę uznano za zamkniętą i według przybyłych na miejsce funkcjonariuszy nic w niej nie budziło podejrzeń.

– Chodź, pojadę z tobą – powiedziała Jowita, biorąc z biurka klucze do samochodu.

Lew już chciał powiedzieć, że wystarczy mu adres, ale się powstrzymał. W końcu był tu tylko konsultantem. Może Jowita się bała, że podkomisarz

z Warszawy oczerni ją i jej kolegów? Może wolała go mieć na oku? Lew nie miał nic przeciwko temu, a Jowita wydawała się miłym towarzystwem.

# Rozdział 4

Kemping „Leśny" był położony tuż przed wydmami, w sosnowym lesie, w malutkiej miejscowości Wicierz, w której przez większą część roku mieszkało zaledwie dwudziestu mieszkańców. W lecie to wydawać by się mogło ukryte przed światem miejsce, do którego nie dochodziła żadna droga asfaltowa, jedynie dróżka wysypana kamieniem przez miejscowych, zamieniało się w oazę dla paru tysięcy ludzi, którzy o nim wiedzieli. Centrum stanowiła uliczka, na której na początku i na końcu mieściły się dwa gospodarstwa rolne. W środku zaś w lecie pojawiały się rozstawione naprędce budki ze wszystkim tym, co niezbędne dla spragnionych wypoczynku urlopowiczów i ich pociech.

Robert Lew musiał pochylać lekko głowę do przodu, siedząc na fotelu pasażera w samochodzie Jowity, który był dużo mniejszy od jego auta. Samochód trząsł się na nierównościach wysypanej nawierzchni. Jowita cały czas mówiła. Opowiadała o sobie, o swoim dziecku i o tym, gdzie pojedzie na wakacje. Lew przyglądał jej się ukradkiem. Była swobodna i miała w sobie niczym nieskrępowaną radość życia. Obie te cechy były niespotykane u osób wykonujących ten zawód.

– Długo już pracujesz w policji? – przerwał jej.

– A co? Wyglądam na świeżaka? – zaśmiała się.

– Jesteś inna. W dobrym znaczeniu tego słowa – odparł podkomisarz.

– Inna? – powtórzyła za nim.

– No wiesz, jak idę napić się piwa w knajpie, to z dwudziestu metrów zazwyczaj jestem w stanie rozpoznać kolegę lub koleżankę po fachu. Nasza robota odciska piętno. Przynajmniej tak myślałem do czasu, aż dzisiaj spotkałem ciebie. Gdzie oni cię trzymają w tej policji? W zamrażarce, że nie dociera do ciebie cały ten syf świata?

Jowita spojrzała na Lwa badawczo, sprawdzając, czy czasem się z niej nie naśmiewał. On jednak był po prostu szczerze jej ciekaw.

– Mnie też dotyka ten syf – powiedziała poważnym tonem głosu. – Kiedy jadę na interwencję i wiem, że na miejscu zastanę jakiegoś obsranego po pachy malucha i zapitą matkę czy ojca, to mam gulę w gardle jak każdy. Ale robię, co trzeba, a potem daję sobie czas, żeby odreagować.

– Jak to robisz? – zapytał podkomisarz, zastanawiając się jednocześnie, czy jemu odreagowywanie jeszcze by mogło pomóc.

– Większość naszych idzie się napić po trudniejszej sprawie. A ja morsuję.

– Znaczy, że pływasz w zimnym morzu, tak? A jak jest ciepło? Jak trudna sprawa zdarzy się w sierpniu, to co?

– To odkręcam zimny kurek w wannie i siedzę tak długo, aż mi przejdzie – odparła ponownie, śmiejąc się swoim wesołym głosem. Za każdym razem śmiała się tak, że falował jej brzuch i wszystkie kręcone rude włosy.

– Mówisz serio? – zapytał podkomisarz.

– No tak. Nie ja wymyśliłam tę metodę. Przeczytałam gdzieś o takim jednym wikingu, który w taki sposób zatrzymywał natłok myśli. Jak wskakujesz do lodowatej wody, to mózg się zatrzymuje. Jest tylko cisza. To pomaga.

– No nie wiem. Jakby to było takie proste, to chyba ten świat byłby inny.

– A próbowałeś kiedyś?

– Wolę raczej gorące kąpiele, żeby się rozluźnić.

– Spróbuj, może się przekonasz, że to też dla ciebie – powiedziała krótko, wyłączając silnik.

– To tu? – zapytał Lew, rozglądając się. Samochód stał między łąką, na której pasły się konie, a polem słoneczników po drugiej stronie.

– Trzeba podejść sto metrów. Ostatnio podjechałam pod sam kemping i nie mogłam wyjechać, a wczoraj była ulewa, więc wolę nie próbować.

– Jasne. Nawet lepiej. Będę mógł się rozejrzeć po drodze.

– Patrz, patrz, kto wie, może coś zauważysz – powiedziała, wysiadając.

– Nie chcę, żebyś myślała, że ja…

– Spoko. Rób swoje. Po coś cię w końcu tu przysłali.

– Podobno jakieś procedury nie były właściwie wykonane i tego się czepia rodzina. Wiesz, o co chodzi?

Jowita westchnęła.

– Chodzi o zabezpieczenie miejsca i ewentualnych śladów, ale to nie ma znaczenia.

– Dlaczego? – zapytał.

– Godzinę po tym, jak znaleziono ciało i na miejsce przyjechali technicy, była ulewa, a oni nie mieli namiotu. Nie było jeszcze lekarza, który miał stwierdzić zgon. Zdecydowałam, że lepiej zwinąć ciało i przetransportować do chłodni. Ulewa wszystko zmyła ze skał. Ciało też było już mokre, gdy je workowali. Nie sądzę, by to miało jednak jakiekolwiek znaczenie. Kobieta nawet jeżeli nie utonęła, to i tak jej ciało było wystawione na działanie wody od przynajmniej dwunastu godzin. Jeżeli był tam jakiś ślad, to został zmyty jeszcze długo przed przyjściem deszczu.

– Masz rację – przytaknął Lew. – Pewnie to nie miało żadnego znaczenia.

– Nie miałam wyboru…

– A jak zidentyfikowaliście ciało? – pytał dalej podkomisarz.

– Z tym też był problem. To znaczy ta kobieta miała za sobą operację i charakterystyczne blizny, które widziałeś na zdjęciach. Miała wymieniany staw biodrowy i kolanowy. Mieliśmy dostęp do jej karty zdrowia ze szpitala, więc właściwie pewność mamy, ale i tak czekamy na wyniki DNA. Do tego miała bransoletkę z imieniem i telefonem na nadgarstku.

– Miała problemy z pamięcią? Po co jej ta bransoletka?

– Rodzina mówi, że nosiła ją, bo miała problemy z sercem i bała się, że umrze i nikt nie będzie wiedział, kim jest – mówiła Jowita, łapiąc lekką zadyszkę po drodze.

– To jaki był problem z identyfikacją? – dopytywał.

– Chciałam im pokazać jedynie zdjęcie z bransoletką na nadgarstku. Chciałam im oszczędzić całego tego widoku. Niestety przyszli na komendę wcześniej. Weszli bez pukania, a ja przekazywałam relację ze sprawy komendantowi i miałam na stole resztę zdjęć. I się zaczęło.

– Rozumiem. Opacznie zrozumieli zmiany, jakie zaszły na ciele, i do tego te obrażenia.

– Tak.

Szli dalej drogą wzdłuż gospodarstwa rolnego, a później sklepików. Lew przyglądał się ludziom chodzącym deptakiem.

– Kto tu przyjeżdża? – zapytał. – To nie jest kurort, ale ludzi pełno.

– Całe rodziny. Czterdzieści lat temu zaczęły przyjeżdżać tu obozy harcerskie. Jeszcze wtedy niczego tu nie było, tylko te gospodarstwa. Teraz przyjeżdżają tu ci sami harcerze, tyle że ze swoimi dziećmi i wnukami. Skład się właściwie nie zmienia. Tam jest wejście na kemping – powiedziała, wskazując na szeroko rozwartą bramę, nad którą widniał ułożony z metalowych liter napis KEMPING „LEŚNY".

– Myślisz, że ta rodzina dalej tu jest?

– Tak, dzwoniłam do nich. Czekają na nas.

Zaraz za wejściem stała pusta drewniana budka pełniąca rolę recepcji. Kemping wypełniały luźno posiane między drzewami drewniane domki, klomby gęsto obsadzone różami i rododendronami. Między drzewami wisiało pranie, a przed domkami, na leżakach, odpoczywali wczasowicze. Było spokojnie. Ciszę przerywały jedynie pojedyncze strzępy rozmów. Na betonowej płycie w centralnym punkcie dzieci grały w kosza. Dwoje starszych ludzi kłóciło się o coś wyraźnie, niosąc kosze pełne sadzonek.

– Dzień dobry państwu – krzyknęła w ich stronę Jowita.

– A, dzień dobry! – powiedziała kobieta o szpakowatych, kręconych włosach. Postawiła kosz na ziemi i zdejmując rękawiczki robocze, ruszyła w ich stronę. Była wysoka i bardzo szczupła. Na jej chudych rękach wyraźnie było widać niebieskie, grube żyły, co dodawało jej wieku, choć nie miała więcej niż sześćdziesiąt pięć lat.

– To pani Irenka, prowadzi ten ośrodek razem ze swoim mężem Sławkiem – powiedziała półszeptem Jowita, wyciągając głowę w kierunku znacznie wyższego od niej podkomisarza.

Pan Sławek, właściciel, pomachał do nich z odległości. Nie podszedł do nich. W przeciwieństwie do żony kucnął nad rabatą i zaczął w niej grzebać.

– To policjant z Warszawy, Robert Lew – przedstawiła podkomisarza Jowita.

– Miło mi – przywitała się właścicielka. – Co pana tu sprowadza?

– Formalności – odpowiedział, uśmiechając się Lew.

– Dobrze, dobrze – pokiwała głową. – Jakbym mogła jakoś pomóc, to proszę zawołać. Będę tutaj – wskazała rabatę, przy której pracował mąż. – Przesadzamy ze Sławkiem borówki. Mówiłam mu, że one w tamtym miejscu nie zaowocują, ale się uparł, że tam będzie lepiej, przy placu zabaw, bo dzieci będą miały ubaw. Ale

przecież jak nie ma borówek, to co im z krzaka – powiedziała, wzdychając głośno i kręcąc z dezaprobatą głową.

Jowita przytaknęła i razem z Lwem ruszyła na sam tył kempingu, gdzie znajdowały się większe domki.

– Tamten domek wynajęli Chrząstkiewiczowie – powiedziała policjantka, wskazując na jeden z budynków w oddali.

– Rodzina denatki? – zapytał Lew, starając się nie potknąć o grube korzenie starych drzew, które nie zważając na powstałe dróżki, wystawały beztrosko tu i ówdzie.

– Tak.

Domek stał na uboczu, pod wielką sosną. Koło niego zaparkowano dużego czarnego SUV-a. Przed drzwiami, oparty o ścianę, leżał dziecięcy rowerek. Ze środka dobiegały odgłosy z telewizora. Jowita zastukała w drzwi. Otworzyła szczupła brunetka z podkrążonymi oczami, ubrana w modny różowy dres.

– Dzień dobry, podkomisarz Robert Lew z Warszawy.

Kobieta podała zimną rękę podkomisarzowi.

– Amelia Chrząstkiewicz – powiedziała.

Tuż za kobietą pojawił się wysportowany i szczupły mężczyzna w okularach.

– Z komendy pana przysłali? – zapytał, podając dłoń. Jego uścisk był zbyt mocny, by mógł być przyjemny. Lew pomyślał, że pewnie to z nerwów, choć politycy czasami używali tego triku, by sztucznie budować swoją dominację. – Tadeusz. To moją mamę znaleziono na skałach.

– Mógłbym z państwem porozmawiać? – zapytał Lew, zerkając na łóżko w głębi, na którym siedziała wpatrzona w ekran dziewczynka.

– Pójdę z Helenką na plac zabaw – powiedziała kobieta, po czym poszła po dziewczynkę.

Lew z Jowitą weszli do środka. Usiedli na dwóch stołkach przy małym stole kempingowym pod oknem. Tadeusz Chrząstkiewicz usiadł na wersalce koło nich.

– I co pan myśli? – zapytał, zanim jeszcze zamknęły się drzwi za jego żoną i córką. Jego głos był doniosły i mocny. Zaczerwienione bielma oczu zdradzały jednak spore zmęczenie.

– Dopiero przyjechałem. Chciałem najpierw porozmawiać z państwem, bo to pan prosił o konsultację – odpowiedział spokojnie Lew. – Proszę mi najpierw opowiedzieć o tym, co działo się tuż przed zaginięciem pana mamy.

– Przed… no więc moja mama, Bogumiła Chrząstkiewicz, brała udział w ognisku. Na ognisku byli obecni…

– Proszę mówić swoimi słowami – przerwał mu Lew. – To poważna sprawa. Wiem, że jest panu bardzo ciężko. Rozumiem to, wiem jednak z doświadczenia, że więcej pan sobie przypomni, jeżeli będzie pan używał słów takich jak przy zwykłej rozmowie, na przykład ze swoją żoną.

– Dobrze, spróbuję jeszcze raz. – Mężczyzna wziął głęboki oddech i rozluźnił ręce ściśnięte wcześniej w pięści. – Na kempingu co tydzień organizowane jest ognisko dla wszystkich. Mama tu przyjeżdża od dziecka, więc ma tu znajomych. Ja nie lubię tych ognisk, bo jest głośna muzyka i w ogóle, ale mama z moją żoną z córką poszły.

– A pan? – zapytał Lew.

– Zostałem tutaj i oglądałem film.

– Co było dalej? – dopytywał podkomisarz.

– Moja żona wróciła z córką koło dwudziestej drugiej do domu. Moja matka jeszcze tam siedziała ze znajomymi i grała w karty. Podobno im powiedziała, że idzie popływać. Nie wróciła.

– Kiedy się zorientowaliście, że jej nie ma? – zapytał Lew.

– Rano. Mieszkała w tamtym, mniejszym domku – odparł, wskazując palcem przez szybę domek naprzeciwko. – Zazwyczaj szła rano po świeże bułki i nas budziła. Cztery dni temu, kiedy to się stało, poszedłem do niej, by sprawdzić, czy wszystko z nią dobrze, bo nie przyszła na śniadanie. Jej domek był zamknięty. Przez okno zobaczyłem, że łóżko było zaścielone. Myślałem najpierw, że poszła na spacer i spotkała kogoś, i to ją zatrzymało. Godziny mijały, ale jej nie było. Zacząłem więc o nią wypytywać. Nikt jej jednak rano nie widział. Nikt też nie widział, jak wracała.

– Czy to było typowe dla pana matki, by wychodzić samej wieczorem na plażę? – zapytał Lew.

– Tak. Mama zawsze tak robiła. Chodziła na zachody słońca i często zostawała tam, aż było całkiem ciemno. Dawniej, kiedy mój ojciec jeszcze żył i byli znacznie

młodsi, zdarzały im się ponoć też nocne kąpiele, ale to dawna historia. Teraz na pewno nie poszłaby w nocy pływać, tym bardziej sama. To po prostu niemożliwe.

– Długo byli już państwo tu na urlopie? – zapytała Jowita.

– Moja mama z żoną i córką już trzeci tydzień. Ja dojechałem pięć dni temu.

– Czy mogę porozmawiać z pana żoną? – zapytał Lew.

– Po co?

– Z pana słów wynika, że to ona była z pana matką na ognisku, więc była jedną z ostatnich osób, które ją widziały. Ponadto to z nią spędziła ostatnie tygodnie. Chciałbym ustalić, jak się czuła i co robiła.

– Co pan sugeruje?

– Nic. Ale bez odpowiedzi na te pytania nie zrobię nic więcej.

Mężczyzna wstał. Jego szczęka była nerwowo zaciśnięta.

– Zapewniam pana, że biorę tę sprawę bardzo poważnie – powiedział Lew, również wstając. – Bransoletka na nadgarstku pani Bogumiły świadczy o tym, że zdawała sobie ona sprawę ze swojego stanu zdrowia. Muszę jednak dowiedzieć się jak najwięcej o jej ostatnich dniach, a nawet tygodniach, by coś więcej powiedzieć. To wszystko.

Mężczyzna się rozluźnił, widocznie uspokojony słowami podkomisarza. Otworzył drzwi i zawołał swoją żonę, po czym wyszedł, by ją zastąpić przy huśtawce, na której bawiła się ich córka. Jowita pokiwała głową z uznaniem.

– Jesteś dobry w te klocki – powiedziała.

– Tak naprawdę to jestem co najwyżej średni. Ale przyznasz, że o ile jej synowa nie powie nam zaraz, że kobieta miała myśli samobójcze, to sprawa nie będzie wyglądała na oczywistą.

– Zmienisz zdanie po rozmowie z jej kompanami do kart – powiedziała cicho Jowita, nie chcąc, by usłyszała ich kobieta wchodząca do domu.

– Pani mąż powiedział mi, że to pani była przez ostatnie tygodnie tu ze zmarłą – zaczął Lew, a kobieta kiwnęła potakująco głową. Nic jednak nie powiedziała. – Pani Amelio, proszę mi powiedzieć, jakiego rodzaju osobą była pani teściowa? – pytał dalej.

– Moja teściowa? Jaka była? – powtórzyła za nim kobieta.

– Tak.

– No była… nie wiem sama… – próbowała znaleźć właściwe słowa kobieta.

– Wesoła, smutna, gadatliwa, nerwowa? – podpowiadała Jowita.

– Podobna do Tadeusza – odpowiedziała zmęczonym głosem. – Raczej pewna siebie, zdecydowana, pełna energii, nie lubiła ciszy i spokoju.

– Brzmi jak opis osoby raczej trudnej do zniesienia – podsumował Lew.

– Nie, wcale nie. Znaczy była despotyczna – zaśmiała się bezgłośnie kobieta. – Ale mnie to odpowiadało. Byłyśmy blisko. Nie miałam problemu z tym, że zawsze miała dla mnie swoich sto rad. Bardzo chciała mi pomóc. Była dobrą osobą.

– Z czym pani chciała pomóc? – zapytał Lew, śledząc uważnie mimikę kobiety. W porównaniu z mężem wyglądała na szczerze przybitą nagłą śmiercią kobiety.

– No… z życiem – odparła, wzruszając ramionami.

– To znaczy? – dopytywał Lew.

– Miałam depresję poporodową po urodzeniu Helenki. Nie wiem, skąd się wzięła, bo bardzo chciałam mieć dziecko. Mama, to znaczy moja teściowa, pierwsza to zauważyła. Zamiast mnie krytykować, przejęła dom i dziecko do momentu, aż się pozbierałam.

– A teraz? Jak się pani czuje? – zapytała Jowita.

– Bardzo dobrze… znaczy czułam się bardzo dobrze do momentu, aż się to nie wydarzyło.

– Czyli nie ma pani już depresji? – zapytała Jowita.

– Nie. Od dwóch lat nie biorę też leków. Dostałam teraz nową pracę, Helenka bez problemu zostaje na cały dzień w przedszkolu. Ma już sześć lat, więc mam więcej czasu dla siebie.

– Pani Bogumiła była u was częstym gościem?

– Właściwie to zupełnie przestaliśmy się widywać. Te wspólne wakacje miały pomóc nam nadrobić stracony czas.

– Dlaczego przestaliście się widywać? – zapytał podkomisarz.

– Samo tak wyszło. Dawniej mama przychodziła w sumie głównie do pomocy, żeby zostać z dzieckiem czy coś pomóc w domu, a teraz Helenka jest w przedszkolu, zatrudniliśmy też pomoc domową i tak jakoś wyszło. Spotykaliśmy się tylko czasami na obiedzie w niedzielę.

– Pani Bogumiła narzekała na samotność? – zapytał Lew.

Amelia nie odpowiedziała od razu.

– Sądzi pan, że popełniła samobójstwo, bo czuła się już niepotrzebna? – zapytała kobieta.

– Pani to powiedziała – odpowiedział Lew.

– Ja… – zaczęła kobieta, ale nie dokończyła.

– Czy pani Bogumiła narzekała na swoje życie przez ostatnie tygodnie, gdy byłyście tu razem? – zapytała policjantka.

– Ona nie narzekała – wyszeptała kobieta.

– Ale pani wyczuła, że coś jest nie tak – dokończyła za nią Jowita.

– Była trochę przygaszona, rozmawiałyśmy o tym. Umówiłyśmy się, że co tydzień od tej pory w jeden dzień będzie odbierała Helenkę wcześniej z przedszkola i będziemy razem spędzać popołudnie.

– Sadzi pani, że pani teściowa mogła sama wejść do wody cztery dni temu? – zapytał po chwili Lew.

Po policzku kobiety pociekła pojedyncza łza.

– Sądzę, że nawet jeżeli było jej źle i cierpiała z powodu samotności, to ona by nam tego nigdy nie zrobiła – wyszeptała.

– Ludzie robią różne rzeczy pod wpływem emocji i żalu – powiedziała Jowita, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Moja matka popełniła samobójstwo. Ja ją znalazłam. Bogusia wiedziała, jak bardzo to przeżyłam – powiedziała, z trudem powstrzymując płacz. – Ona by mi tego nie zrobiła. Nie zrobiłaby tego Tadeuszowi…

Lew odczekał chwilę, aż kobieta dojdzie do siebie.

– Gdzie mogę znaleźć osoby, z którymi grała tamtego wieczora pani teściowa w karty?

– Tam są, pod domkiem numer trzy, przy placu – powiedziała tonem zupełnie pozbawionym energii, wskazując palcem kierunek.

– Dziękujemy za rozmowę – powiedziała Jowita. Wyszli, po czym wolnym krokiem ruszyli we wskazanym przez kobietę kierunku.

– Co myślisz? – zapytała ściszonym głosem. – Ja nie brałam samobójstwa pod uwagę, ale jak rozmawiałam z nimi razem, to nic nie wspomnieli o tym, że czuła się samotna i niechciana.

– Ona ma ogromne poczucie winy – powiedział Lew.

– Myślisz, że jej coś zrobiła? – zapytała Jowita, przystając.

– Nie, stwierdzam fakt – odparł. Wiedział, że wielu jego kolegów i koleżanek po fachu wyciąga wnioski, bazując na pierwszym wrażeniu, które podobno jest najlepszym drogowskazem w ich pracy. Lew z kolei potrzebował czasu, by każde takie wrażenie przeżuć dokładnie.

– Więc? – dopytywała Jowita.

– Więc nie powiedziałaby tego przy mężu, bo obawia się, co on o niej pomyśli. Facet wyglądał na dosyć apodyktycznego i takiego, który nie lubi, gdy się mu mówi, co ma robić.

– To co teraz chcesz zrobić? Bez listu raczej nie udowodnimy samobójstwa.

– Nawet bym nie próbował – powiedział Lew. – Tę hipotezę raczej zachowamy dla siebie.

– To oni – powiedziała Jowita, gdy byli już dziesięć metrów od domku numer trzy. Przy ławeczce obok siedziała czwórka osób w średnim wieku, popijając kawę z termosu. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn.

– Dzień dobry – przywitała się Jowita. – Pamiętają mnie państwo?

– Pamiętamy, pamiętamy. Pani policjant – odparł jeden z mężczyzn ubrany w koszulę w palemki. Był dosyć otyły, a jego koszula ledwo się dopinała. Na głowie miał pasujący słomkowy kapelusz.

– Czegoś się dowiedzieliście? – zapytała kobieta z dopiętym blond kokiem, który zupełnie nie pasował do jej siwych u podstawy włosów.

– Mój kolega z Warszawy ma do państwa parę pytań – powiedziała Jowita, wskazując na Lwa. Cała czwórka siedząca przy stole popatrzyła na niego zaciekawiona.

– Proszę, niech pan pyta – powiedział chudy mężczyzna z gęstą siwą brodą i fajką zwisającą z kącika ust.

– Czy mogą mi państwo opowiedzieć, co wydarzyło się wieczorem w sobotę? – zapytał Lew.

– O ognisko chodzi? – dopytała kobieta, która z pozoru wyglądała na młodszą od pozostałych. Miała mocny makijaż i nabrzmiałe jak ryba usta. Gdy mówiła, część

jej twarzy, sparaliżowana przez botoks, nie poruszała się wcale. Była ubrana w obcisłą malinową bluzkę pokrytą brokatem.

– Tak, pani Bogusława Chrząstkiewicz była z państwem wtedy, prawda?

– Była, była – powiedziała kobieta z kokiem i zaczęła chlipać.

– O której skończyła się impreza?

– O dziesiątej wieczorem, jak zawsze – powiedział chudy mężczyzna. – Ale nie dla nas. My sobie sami zrobiliśmy własną imprezę. Stasiu przyniósł harmonijkę i trochę przygrywał. Kasieńka miała butelkę, świętowaliśmy.

– Co państwo świętowali? – zapytał Lew.

– Życie, kochaneczku, życie – powiedziała kobieta z nieruchomą twarzą.

– Rozumiem, i co było potem?

– No ja za bardzo się nie wypowiem, bo nie pamiętam – powiedział mężczyzna w koszuli w palemki. – Zasnąłem tutaj sam nawet nie wiem kiedy. Ktoś mnie nakrył kocem i obudziłem się dopiero, gdy świtało. Nikogo nie było.

– Ja poszłam spać jako pierwsza – powiedziała kobieta z upiętym kokiem. – Przegrałam wszystko. Bogusi za to szło bardzo dobrze i chociaż zimno się coś zrobiło, to ona chciała grać dalej.

– Wygrała z nami – powiedział brodacz. – Cieszyła się bardzo. Powiedziała, że to jej dobry wieczór. Nie chciała iść spać. Powiedziała, że woli się przejść i zaczekać na wschód słońca.

– Wspomniała o tym, że chce popływać? – zapytał Lew.

– Tak – powiedziała żywiołowo kobieta po botoksie.

– Ona zawsze tak mówiła – dodał brodacz. – Jak kończyła grać albo chciała odejść, to mówiła: „Idę popływać, w końcu nad morzem jestem" i szła.

– A pływała czasem? – zapytała Jowita.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ja z nią nie chodziłem, ale dawniej, jak tu z mężem przyjeżdżali, to chodzili pływać. Staszek to kochał morze, nawet jak padał deszcz i wszyscy tu w swetrach chodzili, to on pływał, a ona z nim też często.

– Dużo tamtej nocy wypiła? – zapytał Lew.

– A ile to dużo? – zapytał zawadiacko pan w bluzce w palemki.

– No tyle, żeby na przykład spać na ławce – odparła Jowita.

– Aż tyle to nie – powiedziała kobieta z kokiem.

– Co ty wiesz, skoro poszłaś? – wtrąciła się druga. – Ja jej też nie liczyłam, ale jak szła na ten swój spacer, to wzięła moją butelkę ze sobą.

– A dużo w niej jeszcze było? – dopytywała Jowita.

– Nie wiem – odparła kobieta, wzruszając ramionami.

– Dziękujemy za rozmowę – powiedział Lew i skinął na Jowitę. – Chciałbym zobaczyć domek denatki. Masz może klucz?

– Tak, mam przy sobie – odpowiedziała. – Chodźmy, to tamten z numerem piętnaście, przy tym kwitnącym krzaku róży.

Weszli do środka.

– Masz ten klucz od niedzieli? – zapytał Lew.

– Tak, a co?

– Strasznie tu czysto – odparł. – Wiesz może, czy jej syn albo synowa tu sprzątali po jej zniknięciu?

– Nie sprzątali. Pytałam o ten porządek jej synową i ona powiedziała, że Chrząstkiewiczowa zawsze tak u siebie miała.

Lew rozejrzał się po niewielkim wnętrzu. W środku były dwie wersalki. Na jednej z nich leżała elegancka satynowa pościel w kwiaty wiśni i cztery poduszki. Kołdrę przykrywał puchaty, biały koc. Obok, na małej szafce, leżała koronkowa serwetka, a na niej stały mała lampka i radyjko. Lew wyciągnął z kieszeni rękawiczki, po czym zaczął otwierać wszystkie szafki. Po kolei, półka po półce, sprawdzał rękami każde miejsce.

– Czego szukasz? – zapytała Jowita.

– W pierwszej kolejności to listu.

– Myślisz, że by go schowała? Przecież samobójcy zazwyczaj zostawiają listy w widocznych miejscach.

– Ludzie skrajnie różnie podchodzą do śmierci i samobójstwa. Niektórzy się jej wstydzą i tacy albo nie zostawiają listu, albo… – powiedział, wkładając rękę głęboko za złożone w kostkę ubrania. – …je wkładają na przykład do szuflad swojego biurka.

Podkomisarz wyciągnął z szafki litrową butelkę wódki.

– Pełna – powiedziała Jowita.

– No właśnie, więc na jej podstawie raczej niewiele wywnioskujemy.

– Gdyby była otwarta i do połowy pusta, to mielibyśmy alkoholiczkę, a tak to… to mógł być prezent albo alkohol schowany na specjalną okazję – odpowiedziała Jowita.

– Zastanawiam się, co ona mogła tu świętować? – powiedział podkomisarz, zaglądając na kolejną półkę, na której w równe kupki była ułożona bielizna.

– Jeżeli miała podobne podejście do życia, jak jej przyjaciele od kart, to chyba pretekst nie był specjalnie potrzebny. Mogła trzymać alkohol po prostu na kolejny ich karciany wieczór.

– Masz rację, będziemy musieli się więcej o niej dowiedzieć, żeby wysnuć jakieś wnioski.

Podkomisarz podszedł do małej lodówki w kącie pokoju. Otworzył ją. Spodziewał się, że zastanie tam parę już lekko nadpleśniałych serów i otwarte opakowanie z wędliną. Tymczasem w środku były jedynie zamknięte jogurty, dwa kefiry, razowy chleb oraz owoce.

– Dbała o zdrowie – powiedział. – To nie pasuje ani do kogoś, kto popełnia samobójstwo, ani do kogoś, kto pijany wchodzi w nocy sam do morza. Wręcz przeciwnie, patrząc na jej pokój, spodziewałbym się kogoś bardzo odpowiedzialnego i racjonalnie podchodzącego do życia.

– Lubiła wygodę. Ta pościel na pewno nie jest stąd – zgodziła się z nim Jowita. – Musiała ją przywieźć z Warszawy. Założę się też, że nie każdemu dają tu aż cztery poduszki.

– No właśnie. I te poukładane lekarstwa i witaminy – powiedział, wskazując na pudełko z lekarstwami na stoliku pod oknem z rozłożonymi tabletkami na każdy dzień tygodnia.

– Z drugiej strony, sama nie wiem. Słyszałeś, jak synowa mówiła, że Chrząstkiewiczowa była samotna. Czasami pod wpływem alkoholu i jakiegoś nagłego impulsu ludzie robią naprawdę głupie rzeczy. Kiedyś znaleźliśmy młodego człowieka, który się powiesił. Nie miał długów, dobrze mu się wiodło, całe życie przed nim, ale on się napił z kolegami i coś mu odbiło. Może chodziło mu o to, że nie miał dziewczyny, ale tego już się nie dowiemy. Gdyby nie to, że siostra usłyszała z piętra niżej, jak kopnął pod sobą stołek, też podejrzewalibyśmy pewnie działanie osób trzecich.

– Siostra słyszała i nic nie zrobiła?

– Zrobiła. Pobiegła do niego, ale drzwi miał zamknięte. Przez nie słyszała, jak się dusi i telepie na tej linie. Wezwała strażaków, ale już było za późno, gdy dojechali i wyważyli drzwi. Zdarza się.

– Zdarza się – przyznał Lew. – Dobra, chyba tu nic nie znajdziemy – powiedział. – Chodźmy.

Poszli w kierunku wyjścia, gdy grupa złożona z trzydziestki dzieci wmaszerowała przez bramę kempingu. Wszystkie miały taką samą apaszkę.

– Jest tu kolonia? – zapytał Jowitę.

– Wczoraj przyjechali. Karatecy – odpowiedziała mu pani Irena, która wyłoniła się zza krzaka tuż przy nich. – Nie było ich, gdy pani Bogusia umarła.

– Będziemy już szli – powiedziała Jowita na pożegnanie i pomachała do niej.

Lew przystanął, patrząc, jak dzieciaki rozbiegają się po całym kempingu. Zrobiło się nagle wesoło i głośno.

– Pani Ireno, czy macie jakieś domki wolne? – zapytał po chwili.

– Jest szczyt sezonu. Wszystko zajęte – odpowiedziała, uśmiechając się. – Został tylko jeden, ale malutki. Wcześniej zajmował go ratownik. Nie wynajmujemy go, chyba że po znajomości.

# Rozdział 5

– Podoba ci się? – zapytał Lew.

Domek numer pięć na kempingu miał nie więcej niż parenaście metrów kwadratowych. Składał się z jednego małego pokoiku, w którym stały dwa pojedyncze drewniane łóżka, niezbyt dużej szafy i mniejszej szafki, na której tkwiła kuchenka turystyczna. Ściany zostały obite jasną boazerią. Duże okno wychodziło wprost na betonowy plac z koszem.

– Będziesz stąd prowadził obserwację jakiegoś przestępcy? – zapytał po chwili zdezorientowany Mikołaj.

– Nie. Nie mam żadnych podejrzanych. Sprawa wydaje się prosta i bez udziału osób trzecich. Po prostu wypadek i tyle – odpowiedział Lew.

– Okej.

– Pomyślałem, że tu będzie nam milej niż w tamtym pokoju w Słupsku. Jesteśmy też niedaleko morza. Patrz, tam są wydmy. Słychać nawet szum fal.

Mikołaj, nie patrząc na wydmy ani nie nasłuchując fal, zaczął wyciągać z plecaka router i swojego laptopa.

– Mają tu też jedzenie. Zamówiłem nam na dzisiaj obiadokolację. Podają ją między piętnastą a siedemnastą.

– Obiadokolacja o piętnastej? – zdziwił się Mikołaj. Jego oczy wpatrzone były w monitor.

– No jak to na wczasach. Ale ja mogę się spóźnić, a przypuszczam, że tak jak ja jesteś już dosyć głodny. Idź więc sam. Nie czekaj na mnie.

– Idziesz gdzieś?

– Tak. Muszę coś załatwić. Kiedy wrócę, pójdziemy nad morze.

Mikołaj nic nie odpowiedział. Sprawdzał działanie swojego routera i prędkość internetu. Lew wyszedł. Zadzwonił do Jowity i dał jej znać, że jedzie do prosektorium. Kiedy przybył na miejsce, Jowita już na niego czekała.

– Nie musiałaś przyjeżdżać – powiedział. – Jej ciało teraz na pewno nie wygląda lepiej, niż wyglądało parę dni temu.

– Wiem, ale pomyślałam sobie, że a nuż zauważysz coś, czego ja nie widziałam wcześniej i czegoś się nauczę – odparła wesoło, choć jej oczy zdradzały, że jest spięta.

Miejsce, w którym przechowywano ciało kobiety znalezionej na skałach, było w zwykłym prosektorium miejskim, w którym czekali na swój pogrzeb wszyscy zmarli w podobnym terminie mieszkańcy Słupska i okolicznych wsi i miasteczek. W niebieskim korytarzu z malutkim oknem stali członkowie rodzin, którzy przyszli po raz ostatni się pożegnać. Lew, starając się nikogo nie popchnąć, wolno przesuwał się do przodu. Gdy już niemal dotarł do drzwi, starsza pani w kapeluszu zagrodziła mu drogę laską.

– Hola, panie! – powiedziała groźnie. Lew popatrzył na nią zaskoczony. Staruszka nie miała więcej niż metr czterdzieści. Na plecach miała wyraźny garb, który maskowała kołnierzem różowego palta. – Tu jest kolejka.

– Tak, rozumiem, ale my jesteśmy tu w innej sprawie – powiedział Lew, wskazując na Jowitę, która zdążyła już wyciągnąć odznakę policyjną.

– Niech pan nie kłamie! – odparła babcia, łypiąc na niego spod kapelusza i nie spuszczając ani na centymetr podniesionej laski. – Idzie pan zobaczyć nieboszczyka.

– To prawda. Ale mój nieboszczyk różni się od pani nieboszczyka tym, że w jego sprawie toczy się dochodzenie.

– A ja mam prawie sto lat i już się was nie boję – odpowiedziała podkomisarzowi staruszka, po czym splunęła prosto pod jego stopy. Lew nie zdążył w żaden sposób zareagować, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich pracownik prosektorium. Widok staruszki z laską nie zrobił na nim większego wrażenia. Siłą opuścił broń kobiety i dał ręką znak podkomisarzowi i jego partnerce, by weszli.

– Gdyby nie pan, to chyba by się nie udało – zaśmiała się Jowita. – Staruszka miała nas w szachu, a ja nie wzięłam broni.

– Pani Bożenka tak już ma – odparł pracownik.

– Zna ją pan? – zdziwił się podkomisarz.

– Tak, to stała nasza bywalczyni.

– Jak to?

– Pani Bożenka pochowała najpierw swoich dziadków, potem rodziców, a w ciągu ostatnich dziesięciu lat szóstkę swojego niezwykle długowiecznego rodzeństwa. A teraz chyba się nudzi i jak umiera któryś z jej dalszych krewnych lub znajomych, a ma ich wielu, bo tak długo żyje, że zna tu chyba wszystkich, to ona przychodzi w odwiedziny.

– A sprawdzacie to? – zapytała Jowita

– Co mamy sprawdzać?

– No czy to faktycznie jacyś jej krewni są albo inni bliscy.

– Nie sprawdzamy. Po co mielibyśmy sprawdzać. Nie ma prawa zakazującego odwiedzin w prosektorium – odburknął niemiło pracownik. – Proszę za mną. Nie mam za wiele czasu. Państwo chcą zobaczyć ciało pani Chrząstkiewicz Bogumiły, czy tak?

Lew potwierdził skinieniem głowy, po czym, gdy pracownik ruszył korytarzem, pochylił się do Jowity.

– Gdyby ta pani Bożenka była trochę młodsza i była mężczyzną, bez wahania zacząłbym jej pełną inwigilację, i to na własną odpowiedzialność. Na pewno coś by się pojawiło – powiedział szeptem.

Pracownik prosektorium poprowadził ich na tyły budynku, do chłodni. Gdy wysunął ciało, Jowita mimowolnie odwróciła głowę. Potem zmusiła się, by na powrót spojrzeć w jego stronę. Popatrzyła na Lwa. Próbowała odczytać to, co malowało się w jego oczach. Znała go zbyt krótko, by mogła właściwie zinterpretować kłębiące się w nim emocje. Mimo wszystko wydawało jej się, że widzi tam prawdziwe poruszenie, którego nie spodziewała się u tak doświadczonego kolegi. To odkrycie sprawiło, że jej ulżyło. Tak jak ona był tylko człowiekiem i mimo tylu lat pracy w środowisku wyjątkowo nasiąkniętym koszmarami tego świata wciąż miał uczucia.

– Na świeżo wyglądało jeszcze gorzej, bo jej sukienka była podwinięta przez falę aż do brzucha – powiedziała.

Na wysuwanym stole przed nimi leżała niska kobieta, drobnej budowy ciała. Miała na sobie letnią zieloną sukienkę na ramiączkach.

– Ma pan rękawiczki? – zapytał Lew i nie czekając na odpowiedź, sięgnął do pudełka z jednorazowymi niebieskimi rękawiczkami, leżącego na stoliku przy

wejściu. Założył je i ponownie podszedł do ciała denatki. Podniósł sukienkę, by zobaczyć obrażenia na udach kobiety, które już wcześniej widział na zdjęciach.

– Brakuje tkanki również z narządów intymnych – powiedział. – Czy ma pan pewność, że to jedynie działanie zwierząt?

– Nie, bo jestem tylko pracownikiem chłodni. Nie zajmuję się badaniem zwłok. To zadanie, zdaje się, dla patomorfologa – powiedział oschle mężczyzna, jakby urażony pytaniem podkomisarza.

– Chciałbym zobaczyć plecy – powiedział Lew, nie zważając na impertynencję. – Pomoże mi pan ją obrócić?

Pracownik się zawahał.

– W zasadzie miałem tylko wskazać…

– To prośba – powiedział podkomisarz, starając się, by jego głos brzmiał milej.

– Jasne – odburknął pracownik i wziął się do pracy.

Kiedy obrócili ciało, Lew dokładnie przyglądał się plamom i otarciom.

– Co napisał lekarz stwierdzający zgon? – zapytał Jowitę.

– No właściwie to tylko stwierdził, że nie żyje i że utonęła, i że rany na ciele wynikają z działania sił przyrody oraz zwierząt – powiedziała Jowita.

– A plamy opadowe? Jak je skomentował?

– No w zasadzie nie komentował – powiedziała. – Ale one wydają się zgodne z pozycją, w jakiej została znaleziona. Są na spodzie ciała w charakterystycznych miejscach, na udach i pod krzyżem.

– Właśnie. A ona utonęła. Jej ciało musiało przez przynajmniej jakiś czas znajdować się w wodzie. O której ją znaleziono?

– W południe.

– Na uczęszczanej plaży?

– Normalnie zatłoczonej, ale tamtego dnia zaczęło padać.

– O której?

– Co o której?

– No o której zaczęło padać? – powtórzył zniecierpliwiony Lew.

– O jedenastej – wtrącił się pracownik. – Tamtego dnia, to znaczy w niedzielę, parę kilometrów od Wicierzy, w Jarkowie, brałem udział w półmaratonie wzdłuż

plaży. Rozpadało się niemal punktualnie, gdy my zaczęliśmy bieg.

Lew spojrzał badawczo na pracownika.

– Jak pan mówił, że się pan nazywa?

– Henryk Bochanik – powiedział pracownik i uśmiechnął się szeroko do Lwa, prezentując wszystkie swoje zęby, łącznie ze złotą wstawką.

– Pamięta pan, kiedy znaleziono denatkę? – pytał dalej podkomisarz.

– Tak, pamiętam dobrze, bo część trasy powinna iść właśnie tam, gdzie ją znaleziono. Przygotowując się do biegu, robiłem ten dystans. Policja jednak, ze względu na zwłoki, zmieniła trasę biegu i zamiast zakończyć tam, gdzie planowano, zawrócono nas traktem rowerowym, za wydmą, do linii mety.

– No tak! – powiedziała Jowita, klaszcząc w dłonie. – Masz rację, Robert. Były przygotowania do tego maratonu, a to znaczy, że wcześniej, nawet jeżeli ze względu na deszcz było niewiele osób na plaży, to i tak organizatorzy na pewno tamtędy przejeżdżali na quadach.

– Chrząstkiewicz zaginęła w nocy. Przed rozpoczęciem maratonu przejechały quady i nikt ciała nie widział. Przed jedenastą nie padał deszcz, więc mogli też być na plaży jacyś ludzie, ale ciało zauważono dopiero koło południa. Ciało zazwyczaj pływa twarzą zanurzoną w wodzie, ręce i nogi w dole, tam też powstają plamy opadowe. Czasami ze względu na silne działanie fal plamy są mniej widoczne. Tu jednak mamy wyraźne plamy po drugiej stronie – powiedział Lew jednym ciągiem jak w transie.

– Czyli umarła gdzieś indziej, a jej ciało zostało wrzucone do wody – dokończyła Jowita. – I to już w niedzielę, w ciągu dnia.

– Mogło tak być – kiwnął głową Lew.

– To co robimy?

– Poproszę o przeniesienie jej ciała do Zakładu Medycyny Sądowej. Będzie potrzebna dokładna analiza *post mortem*. Musimy sprawdzić, czy w żołądku była woda i czy kobieta zginęła przez utonięcie. To będzie nasz punkt wyjścia. Więcej tu sami nie zdziałamy. Dziękujemy za pomoc – powiedział Lew, po czym energicznym krokiem, nie czekając na Jowitę, ruszył w kierunku wyjścia. Przed drzwiami nadal czekała staruszka. Gdy zobaczyła podkomisarza, wstała z ławeczki.

– Dorwę cię, cwaniaku, następnym razem – wycedziła.

– Będę czekał – odparł Lew, ukłoniwszy się jej.

Przy samochodzie musiał odstać dobre pięć minut, zanim pojawiła się Jowita. Z jej twarzy zniknął wcześniejszy uśmiech.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie spodziewałam się, że to się tak potoczy – odparła, nie patrząc mu w oczy. – Myślałam, że to po prostu kolejne utonięcie.

– To ciągle może być zwykłe utonięcie. Jeszcze nie mamy żadnego dowodu.

– A te plamy?

– To na razie pewna niezgodność, ale to jeszcze nic nie znaczy. Chrząstkiewicz mogła paść na serce zaraz przy brzegu, fale ją wyrzuciły po dwudziestu minutach i dlatego plamy są takie, a nie inne.

– Ale ciało znaleziono dopiero w południe…

– Ludzie są ślepi. Wiesz, ile razy przesłuchiwałem sąsiadów rodzin, w których ojciec pijak albo matka wariatka katowali swoje dzieci, dzieci płakały dniami i nocami, a sąsiedzi co? Nic nie słyszeli ani nie widzieli. Kiedyś kobieta przyszła do mnie z całą twarzą rozkwaszoną, prosząc o pomoc. Mąż bił ją od pięciu lat do krwi, a ja nie mogłem znaleźć ani jednego świadka, który by jej pomógł w sądzie.

Jowita wzruszyła ramionami z rezygnacją.

– Słuchaj, zaproponowałbym ci piwo na poprawienie nastroju, ale mój dzieciak na mnie czeka. Obiecałem mu, że razem pójdziemy na zachód słońca na plażę.

– No jasne. Jedź! – powiedziała, uśmiechając się ponownie. – Może ja ze swoim zrobię to samo.

# Rozdział 6

*Jej łydki wydawały mu się zbyt grube, by być atrakcyjne. Mimo wszystko ona wybrała podkreślającą je spódnicę do kolan. Wyżej było jeszcze gorzej. Koszulka w poprzeczne pasy marszczyła się w talii, a ostatnie dwa guziki były niechlujnie niezapięte. Jej włosy, związane w kuca, miały ładny kolor żywicy. Twarz za to była zupełnie rozczarowująca. Nie było w niej nic ciekawego czy chociaż charakterystycznego. Cienie pod oczami, z przepracowania, nie zdążyły zniknąć po zaledwie paru dniach urlopu. Blada skóra nie nabrała zdrowego koloru. Jedynym, co przyciągało uwagę, był jej śmiech, głośny, spontaniczny i zaraźliwy. To przez śmiech w ogóle na nią spojrzał. Siedziała na plaży z koleżanką. Obie były w średnim wieku. Znajdował się na tyle blisko, że gdy wiatr ustawał, słyszał strzępki ich rozmów. Czekał cierpliwie, aż skończą rozmawiać. Po zachodzie słońca ruszyły w stronę wydmy. Razem przeszły przez sosnowy las, a potem, gdy doszły do deptaka, rozstały się. Ona skręciła w prawo i tam też za nią poszedł. Trzymał się niezbyt blisko. Obserwował, jak się kołysze, chodząc. Wyglądało to tak, jakby była lekko pijana. Musiała mieć jakąś wadę ortopedyczną, która sprawiała, że jedna noga była krótsza od drugiej, co wywołało kołysanie całego ciała. Wada – kolejna już. Ale przecież ludzie są pełni wad, to jej jeszcze nie przekreśla. Na deptaku było sporo ludzi, mógł więc się do niej zbliżyć niepostrzeżenie. Wciągał mocno powietrze. Byli od siebie oddaleni teraz zaledwie o dwa, może trzy metry. Gdyby użyła perfum, mógłby je wyczuć. Jego wrażliwy nos nie czuł jednak niczego poza morską bryzą. Może tak było lepiej. Pewnie ona wybrałaby niepasujące zupełnie do niej perfumy, tak jak spódnicę i bluzkę. Jego wyobraźnia zaczęła szybciej pracować. Ręce się pociły, a serce przyspieszyło, choć szli oboje wolno, w jednym tempie, wdychając to samo powietrze, on i ona, jak para. Ich wspólny spacer przerwano brutalnie.*

*– Klaudia! – krzyknął do niej przystojny mężczyzna w czarnym SUV-ie z napisem po boku „Orinar – najlepsze szyby". Z tyłu siedziała trójka dzieci. – Tu jesteśmy. Jedziemy na lody.*

*– Po kolacji? – odpowiedziała, przyspieszając wyraźnie w ich kierunku, co wytrąciło go jeszcze bardziej z równowagi. Wsiadła do czarnego SUV-a. Przez okno otwarte od strony kierowcy usłyszał jej śmiech, ten sam, który go do niej przyciągnął. Teraz podobał mu się*

*jeszcze bardziej. Jej twarz też wydała się nagle ciekawsza. Tylko jej mąż i jego obecność wszystko psuły. Odjechali. Mężczyzna wyciągnął swojego smartfona i wpisał w wyszukiwarkę nazwę firmy, która widniała na boku samochodu. Zaczął przeglądać jej stronę, a następnie galerię zdjęć. Produkowali szyby do eleganckich budynków, wieżowców i biurowców. Na jednym zdjęciu od razu rozpoznał mężczyznę z samochodu. Wymówił szeptem jego imię i nazwisko. Był dyrektorem generalnym. Szychą.*

*Mężczyzna usiadł na metalowej ławeczce. Próbował pojąć znaczenie tej układanki. Kobieta musiała być jego żoną, matką dzieci siedzących z tyłu. Musieli być bogaci. Pewnie stać ich było na wszystko, a ona nie potrafiła nawet tego wykorzystać. Marnowała pieniądze na głupie ubrania, w których jej było brzydko. Nie potrafiła się ładnie umalować. Była zaniedbana. Starał się sobie przypomnieć, czy miała umalowane paznokcie u rąk lub u stóp. Nie pamiętał. Ugryzł się w język ze złości. Dlaczego nie zwrócił na to wcześniej uwagi. To ważny szczegół. Lubił, gdy kobieta o siebie dbała, a paznokcie, nawet na wakacjach, gdy ludzie nie nosili swoich codziennych ubrań, były zawsze jakimś wskaźnikiem. Zaczęła go boleć głowa. Nie chciał jednak tak szybko wracać do domu. Wolał jeszcze posiedzieć i popatrzeć. Może jeszcze SUV się pojawi i on będzie mógł dalej ich obserwować. Już nie interesowała go tylko ona, ale cała rodzina. Chciał się dowiedzieć, jak to się stało, że ta nieciekawa kobieta stała się bogata i zdobyła serce tamtego mężczyzny. Może kiedy się poznali, on także był biedny. Nie zmienia to faktu, że był od niej zdecydowanie przystojniejszy. Coś innego niż uroda musiało go do niej przyciągać. Może to ten śmiech? Tak, to musiał być śmiech. Mężczyzna spróbował się cicho zaśmiać, naśladując przy tym melodyjność jej śmiechu. Po cichu nie dało się tego jednak zrobić. Musiałby spróbować śmiać się głośno, na całe gardło i z całej siły tak jak ona, a do tego nie miał tu śmiałości. Wstał i zawrócił w kierunku swojego ukrytego miejsca. Tam będzie mógł poćwiczyć.*

# Rozdział 7

Obudziła ich jakaś szamotanina na zewnątrz. Ktoś z hukiem upadł, a ktoś inny krzyknął bojowo. Robert Lew zerwał się z łóżka i podszedł do okna. Rozchylił firankę. Na placu przed domkiem rozłożono coś niebieskiego, a na tym stali ubrani na biało ludzie w różnym wieku. Niektórzy byli nieruchomi, inni zaś, pochyleni w kierunku czegoś lub kogoś, coś pokrzykiwali. Dopiero po dwóch sekundach przekaz, jaki szedł z oczu, został zinterpretowany właściwie przez mózg i Lew z westchnieniem opadł ponownie na łóżko.

– Co się dzieje? – wymamrotał Mikołaj, nie podnosząc twarzy z poduszki, przez co ledwo go było słychać.

– Obóz sportowy, chyba karate – odpowiedział Lew. Jego koszula była mokra. Prześcieradło też. Podkomisarz przetarł ręką czoło. Zastanawiał się, dlaczego się tak obficie poci. Może go zawiało poprzedniego wieczora na plaży? Byli tylko parę minut. Mikołaj nie chciał chodzić ani wzdłuż plaży, ani rzucać kaczek do morza. Nie był już dzieckiem.

– Chyba umrę – wymamrotał znowu w poduszkę Mikołaj.

– Co ci się dzieje?

– Nie czujesz? Tu jest gorzej niż w piekarniku.

Lew usiadł ponownie na łóżku. Jego syn miał rację. W domku było zdecydowanie ponad trzydzieści stopni. Lew otworzył okno. Z zewnątrz razem z chłodniejszym powietrzem nadpłynęły głośne pokrzykiwania karateków. Lew rozejrzał się dookoła. Nigdy wcześniej nie spał w domku takim jak ten, ale był niemal pewny, że ludzie by z nich nie korzystali, gdyby one zawsze osiągały taką temperaturę. W południe blacha na dachu istotnie mogłaby doprowadzić do tego, że w środku byłoby gorąco, ale był dopiero ranek. Lew obszedł domek. Szybko odnalazł źródło ciepła. Była nim mała, niepozorna lodówka turystyczna. Jej góra oraz tył wprost zionęły gorącym powietrzem. Lew wyciągnął wtyczkę. Będą musieli się obejść bez niej, w przeciwnym wypadku się ugotują.

– Otworzę drzwi, to się trochę przewietrzy – powiedział Lew.

– Nie, tato, tam są ci karatecy. Nie chcę, by widzieli mnie w samych gaciach.

– To się ubierz. Nie możemy tu tak siedzieć i się smażyć.

Mikołaj podniósł się powoli z poduszki. Jego przydługie i lekko kręcące się od potu włosy zasłaniały mu większą część twarzy.

– Gdzie mam się umyć?

– Weź ubranie i ręcznik, to razem pójdziemy. Mnie też przyda się chłodny prysznic.

Wyszli, przeciskając się bokiem koło ludzi zgromadzonych na płycie przed ich domem. Była to głównie młodzież. Z nimi było trzech albo czterech instruktorów, którzy swoimi pomrukami zachęcali młodych do tego, by dali z siebie wszystko, co najlepsze.

– Może też byś chciał na taki obóz? – zapytał podkomisarz swojego syna, gdy odeszli już od ćwiczącej grupy na tyle, że mogli swobodnie ze sobą rozmawiać.

– W życiu – odburknął Mikołaj.

– A dlaczego właściwie? Dawniej lubiłeś oglądać filmy akcji, kung-fu, Bruce'a Lee i te sprawy.

– Ciągle lubię oglądać takie filmy, ale to jeszcze nie znaczy, że chcę się wydurniać na jakimś kempingu.

– Dobrze mieć jakąś pasję.

– Tak jak ty? – zaskoczył Lwa pytaniem syn.

– Ja?

– No tak, masz jakąś pasję? – zapytał syn ironicznie.

– Ja miałem wiele pasji i zainteresowań, kiedy byłem w twoim wieku.

– Naprawdę? Jakich, nigdy nie opowiadałeś – zapytał Mikołaj. Było w jego głosie coś, co sprawiało, że Lew wiedział, że nie kieruje nim bynajmniej ciekawość, ale jedynie chęć wyśmiania go bądź sprawdzenia, czy mówi prawdę. Lew zastanowił się chwilę nad tym, co robił w wieku swojego syna. Do głowy przychodziły mu same głupstwa, którymi nie miał zamiaru się chwalić. Nie znalazł, choć się starał, żadnej czynności, hobby czy nawet przelotnego flirtu, czegoś, co można by nazwać pasją. Westchnął głośno.

– I co z tą pasją? – drążył z uśmiechem Mikołaj.

– Kiedy się taki zrobiłeś, co? – odpowiedział mu ojciec, przecierając oczy. – Tam jest wejście do łazienki – zmienił temat. – Są dwa prysznice. W sam raz dla nas.

– Ja się tu na pewno nie umyję – powiedział Mikołaj, zatrzymując się przy prowizorycznych drzwiach z dykty, zaczynających się na wysokości kolan, a kończących na poziomie jego oczu.

– Daj spokój, jesteśmy na kempingu. Tu się wszyscy tak myją.

– Wcale nie. Cała reszta ma łazienkę w swoich domkach, tylko my mamy ten mały domek, w którym łazienki nie ma.

– Tym lepiej. Nie będziemy musieli stać w kolejce i czekać na swoją kolej. Cała łazienka dla nas – odparł Lew i nie czekając na Mikołaja, zaczął się rozbierać pod prysznicem. – Nie ma wieszaków na ubrania, musisz zarzucić je na drzwi.

– Ja się nie myję – powtórzył Mikołaj.

– Jak chcesz – odrzekł Lew, po czym zdusił przekleństwo, które cisnęło mu się na usta, gdy tylko odkręcił kurek, a z prysznica chlusnęła na niego lodowata woda. Mikołaj podszedł do wiszącej przy ścianie dużej metalowej umywalki i zaczął w niej opłukiwać sobie twarz i myć zęby. Lew, któremu udało się w końcu wyregulować temperaturę wody, zaczął nucić radośnie, chcąc zachęcić syna do kąpieli. Gdy Mikołaj zaczął faktycznie rozważać możliwość skorzystania z sąsiedniego prysznica, przewieszone przez drzwi ubranie jego ojca spadło na mokrą podłogę.

– O kurwa – krzyknął Lew. – Niko, skocz, proszę, do domku po jakieś suche ciuchy dla mnie, te są całkiem mokre.

– Tato, daj spokój, jesteśmy na kempingu, tu wszyscy chodzą w mokrych gaciach. Luz. Dasz sobie radę – odpowiedział, po czym wyszedł. Lew znalazł go pięć minut później siedzącego na progu domku.

– Psia krew, Mikołaj, ja naprawdę nie rozumiem, co się z tobą, chłopie, dzieje. Skąd ten cały sarkazm, cynizm i złośliwości w moją stronę – powiedział, otwierając drzwi. Biały, mokry podkoszulek, który miał na sobie, był całkiem prześwitujący. Krótkie spodenki przyklejały się nieprzyjemnie do ciała. Ściągnięcie mokrych ubrań okazało się trudne. Lew przeklinał dalej. Mikołaj usiadł na łóżku, ewidentnie dobrze się bawiąc. – Ja mówię serio. Odpowiedz mi, bo ja tego nie pojmuję. Mieliśmy sztamę! Baśka zawsze była rogata w stosunku do mnie, ale ty stawałeś po mojej stronie. Co się zmieniło?

Mikołaj spoważniał. W jego oczach pojawił się smutek.

– Czy ja ci coś zrobiłem, synu, że teraz każdą wspólną chwilę traktujesz jak jakąś karę? Dlaczego nie możemy się kumplować jak dawniej? Nawet o pierdolone skarpetki masz do mnie pretensję.

– Nie wiem, tato – powiedział po chwili ciszy. – Ja po prostu… czuję taką złość w sobie. Wszystko się skomplikowało. Dla ciebie skarpetki to tylko część ubrania, a dla mnie kolejna rzecz, setna rzecz, która jest nie tak.

Lew usiadł naprzeciwko Mikołaja na krześle. Popatrzył w jego nagle jakże dorosłe oczy. Parę lat temu jego syn stracił matkę i dwoje rodzeństwa. Ich świat się zawalił. Po dwóch latach ciągłych kłótni wyprowadziła się Basia, jego najstarsza siostra. Miesiąc temu zmarł jego dziadek, z którym zamieszkali, a potem jeszcze wyprowadziła się Nikola. Poczuł się głupio. Dla niego skarpetki, a dla Mikołaja kolejny dowód walącego się porządku w życiu. Nic nie było trwałe. Ciągle zmiany, i to nie na lepsze.

– Przepraszam – powiedział. – Wiem, że ostatnie lata były do bani. Powinienem bardziej cię wspierać. Po prostu wydawało mi się, że to jakoś znosisz i że jakoś się dogadujemy.

– Dogadujemy się, tato – wyszeptał Mikołaj łamiącym się głosem.

– Słuchaj, mamy siebie. Ty mnie, a ja ciebie. I wiesz co, możesz na mnie liczyć. Wiem, że dawniej bywało różnie, ale teraz jestem przy tobie i razem damy sobie radę. Nawet jak będziemy bez skarpetek.

Mikołaj otarł nos i się roześmiał.

– Idę wziąć prysznic – powiedział. – Ale sam. Nie potrzebuję twojej asysty ani śpiewów.

– Jasne. A ja zrobię śniadanie. Na co masz ochotę? Kupię świeże bułki w sklepiku.

– Na chińską zupkę – odparł, po czym wziął ręcznik i wyszedł. Lew wodził za jego sylwetką wzrokiem przez okno, aż chłopiec zniknął między domkami. Nagle poczuł ucisk w klatce piersiowej i gorzki smak w ustach. Pochylił się na swoich kolanach w siadzie i ukrył twarz w rękach. Gdyby potrafił, wykrzyczałby cały trawiący go ból. Tymczasem był w sidłach swoich własnych emocjonalnych niedostatków, więc zostawało mu jedynie przeczekanie kolejnej fali bólu, który

rozrywał jego trzewia. Gdy pieczenie ustało, wziął portfel i ruszył w poszukiwaniu sklepu. Kiedy tylko wyszedł, usłyszał znajome kłócące się głosy znad rabatki.

– Dzień dobry, pani Ireno, panie Sławku – przywitał ich skinieniem głowy.

– O, dzień dobry, panie podkomisarzu – powiedziała właścicielka kempingu, wychylając się zza krzaka róż. – Jak się panu spało?

– Dziękuję, nieźle, choć domek się dosyć nagrzał od lodówki. Chyba się zepsuła. Musiałem ją wyłączyć – odrzekł.

– Zepsuła się? – powtórzył za nim właściciel. – To może ja od razu na nią spojrzę? Może coś pomogę?

– Mój mąż jest złotą rączką. Wszystko umie naprawić… tylko na kwiatach całkiem się nie zna – powiedziała, uśmiechając się kwaśno pani Irena.

– Chciałem skoczyć po coś do jedzenia – odparł Lew.

– Tu zaraz za wyjściem z kempingu jest mały sklepik. W nim pan znajdzie wszystko na śniadanie. Na większe zakupy radzę wybrać się do miasteczka. Jak pan wróci, to mój mąż podejdzie do tej lodówki – powiedziała, zanim jej mąż zdążył otworzyć usta.

Lew skinął głową na zgodę i ruszył we wskazanym kierunku. Szybko odnalazł mały sklepik. Nad drzwiami wisiał szyld z nazwą sklepu Złoto Pomorza. W środku było niewiele miejsca. Wszystkie półki były całkowicie wypełnione. Grupa dzieciaków z obozu wybierała słodycze.

– Ile masz kasy? – zapytała dziewczynka.

– Mama mi powiedziała, że mogę wydać dwadzieścia złotych na jedzenie – powiedział chłopiec.

– Guma to nie jedzenie – odparła dziewczynka. – Ja tu jestem zawsze głodna w nocy. Dzisiaj nie mogłam spać.

– Najem się chlebem, który dają do zupy. Wezmę ze stołówki do kieszeni, a teraz kupię dziesięć gum.

– Po co ci tyle?

– Zawsze chciałem spróbować zjeść tyle naraz i zobaczyć, jaki mi balon wyjdzie, a w domu mi nie wolno.

Lew przepchał się na tył sklepiku, wybrał, co chciał, i podszedł do lady, za którą stał niski mężczyzna z maseczką na twarzy i w niebieskich nylonowych

rękawiczkach. Podkomisarzowi od razu przypomniało się prosektorium i ciało Chrząstkiewiczowej. Odruchowo potrząsnął głową, jak gdyby chciał wytrząść z niej natrętną myśl.

– To wszystko? – zapytał sprzedawca. Lew popatrzył na niego, jakby zaskoczony pytaniem. Spojrzał w jego oczy, niemal niewidoczne pomiędzy maseczką a krzaczastymi brwiami.

– Tak – odrzekł.

– Po covidzie wszyscy mamy problem z pamięcią, co? – powiedział ze zrozumieniem dla jego opóźnionej reakcji mężczyzna.

– Tak, to chyba to, albo starość – zaśmiał się Lew.

– Panie, ja się z tyloma ludźmi tu stykam, że cud, że w ogóle coś jeszcze pamiętam. Miałem chyba ten wirus z cztery razy, więc wiem, co mówię – powiedział ponuro sprzedawca.

– Cztery razy?

– Tak, pierwszy raz dwa lata temu – zaczął swoją opowieść sklepikarz, ale Lew go nie słuchał. Jego uwaga wróciła ponownie do dzieci. Kieszenie jednego z nich stały się podejrzanie pełne. Lew zapłacił i wyszedł za chłopcem ze sklepu.

– Hej, młody – zawołał. Chłopiec się zatrzymał. – A siódme przykazanie znasz?

– O co panu chodzi? – odburknął chłopiec, czerwieniąc się na twarzy.

– „Nie kradnij" – słyszałeś kiedyś?

– Ja nic nie ukradłem! – pisnął.

– To co masz w kieszeni? Przy kasie cię nie widziałem, a kieszenie wcześniej miałeś puste.

– Gapił się pan na moje spodnie? Co z pana jakiś zbok? – przystąpił do kontrofensywy chłopiec.

– Jestem policjantem – odparł Lew.

– Jasne – prychnął chłopiec. – Kim jeszcze? Może Jamesem Bondem, a w guziku ma pan kamerę? I co mi pan niby udowodni.

Lew wziął głęboki oddech.

– Panie podkomisarzu! – krzyknęła donośnym głosem pani Irena, stojąc tam, gdzie poprzednio, przy krzaku róży oddalonym od niego o dobre trzydzieści metrów. Obudzeni już kempingowicze spojrzeli na Lwa zaciekawieni.

Podkomisarz pomachał do właścicielki ręką na znak, że zaraz podejdzie. Chłopak tymczasem zbladł.

– Słuchaj, młody, możemy to załatwić boleśnie albo bezboleśnie. Radzę ci wrócić do sklepu i po prostu zapłacić za to, co masz w kieszeni spodni.

– A jak nie? – zapiszczał ponownie zaskakująco wysokim głosem chłopiec.

– A jak nie, to pójdę do jednego z twoich trenerów. Wyglądali na takich, którzy wiedzą, co z takim problemem zrobić.

Chłopiec wybałuszył oczy. Groźba podziałała, bo nie zwlekając, zawrócił do sklepiku. Lew podszedł do pani Ireny.

– Mój mąż już poszedł po narzędzia i zaraz do was tam zapuka.

– Dziękuję – odpowiedział Lew.

– Panie podkomisarzu – powiedziała, ściszając głos i pochylając się ku niemu. – A wiadomo już coś o pani Bogusi?

– Na razie dopiero przyjechałem. Ustalenie przebiegu zdarzeń zawsze trochę trwa, zwłaszcza przy utonięciach. Sama pani rozumie – odpowiedział wymijająco Lew.

– Bo wie pan, ja ją znałam od czterdziestu lat, tak jak zresztą wielu, którzy tu przyjeżdżają. Bo to nie jest tak, że tu ludzi ciągnie tylko do morza – o nie, ich tu ciągnie do innych ludzi, którzy ich znają. Tu taka wspólnota powstaje co wakacje. Ludzie się cieszą, że się ponownie spotkali, zwłaszcza że ostatnie lata były trudne. Myśmy nawet nie wiedzieli, czy przetrwamy przez te wszystkie reżimy sanitarne. Plaga jedna za drugą…

– Tak, rozumiem – odparł Lew. – W razie czego dam pani znać. Przepraszam, ale muszę wracać i zrobić synowi śniadanie.

– Oczywiście, oczywiście – pokiwała głową pani Irena.

Lew szybkim krokiem skierował się do domku. Był głodny, ale bardziej od głodu bał się kolejnych pytań. W środku czekał już na niego Mikołaj.

– I co, udało się z tym prysznicem? – zapytał go Lew, widząc, że jego syn jest ubrany dokładnie w te same ciuchy co poprzednio.

– Tak.

– Nie przebrałeś się?

– No właśnie nie wiem, co jest nie tak z moimi rzeczami – odparł z zawahaniem.

– A co ma być? – zapytał Lew.

– No właśnie jakoś ich mało – odpowiedział Mikołaj.

– Pakowałeś się sam, więc tylko ty możesz wiedzieć, co wziąłeś.

– Chyba zapomniałem bluzek i bielizny – wycedził Mikołaj.

– To co wziąłeś? Wczoraj powiedziałeś, że nie masz kąpielówek, a dzisiaj bluzek i majtek. Czy wziąłeś ze sobą cokolwiek do ubrania, czy tylko komputer? – powiedział Lew, czując, że wzbiera w nim gniew. Mikołaj zmierzył go wzrokiem. Jego oczy znowu zrobiły się duże, zagubione i smutne. Lew westchnął. – Okej, nie martw się. Tu też na pewno jest jakiś sklep z tanimi ciuchami. Coś kupimy po śniadaniu.

– Nie chcę jakichś tanich ciuchów – odburknął Mikołaj.

– Wiem, ale te nietanie, na które idzie znaczna część mojej niewysokiej pensji, zostawiłeś w Warszawie, więc niestety, ale będziesz musiał się pogodzić z tym, co tu będzie do dostania.

Rozmowę przerwało im pukanie do drzwi. Nie czekając na ich otwarcie, pan Sławek sam wszedł do środka i powitał ich szerokim uśmiechem.

– O, dzień dobry, młody człowieku. Słyszałem, że w nocy rozmontowałeś lodówkę – powiedział, śmiejąc się do Mikołaja.

Nim ktokolwiek coś mu zdążył odpowiedzieć, rozłożył swoją skrzynię z narzędziami i kucnął nisko przy lodówce. Spodnie przy tym zsunęły mu się nieznacznie, wystawiając na światło dzienne górną część pośladków. Mikołaj zasłonił ręką usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Ojciec skarcił go wzrokiem. Zadzwonił telefon. Lew odebrał go na zewnątrz. Rozmowa była krótka. Podkomisarz wrócił do środka ze zmienioną miną, widocznie się nad czymś zastanawiając.

– Panie Sławku, wygląda na to, że zostaniemy tu trochę dłużej, a rezerwowałem ten domek tylko na trzy dni.

– Dłużej, pan mówi? – odpowiedział właściciel wyraźnie zmartwiony tymi słowami.

– Niestety, tak wyszło. Czy będziemy mogli tu zostać? – powtórzył pytanie Lew. Mikołaj otworzył usta, by zaprotestować, ale ojciec uciszył go ruchem ręki.

– Oczywiście – odparł pan Sławek. – Skoro trzeba, to trzeba.

– Dziękuję.

– Ta lodówka się już do niczego nie nadaje – powiedział po chwili właściciel, wzdychając. – Skoro zostajecie dłużej, to poszukam jakiejś nowej. Chyba będę musiał zamówić, bo nie mam.

– Proszę się tym nie przejmować. My i tak nie gotujemy sami – odparł podkomisarz.

– W razie czego dajcie znać. Zawsze możecie zostawić jakieś wędliny czy ser u nas. Miłego dnia.

Pan Sławek wyszedł, uśmiechając się przelotnie. Za drzwiami uśmiech zniknął z jego twarzy i zagościło na niej zmartwienie, a może smutek lub jeszcze inne uczucie, które patrzącemu przez okno podkomisarzowi trudno było odgadnąć.

– Dlaczego zostajemy? – zapytał Mikołaj.

– Zadzwonili do mnie z pierwszymi wynikami z autopsji tej kobiety, w sprawie której tu przyjechaliśmy.

– I co?

– W płucach miała mieszankę słonej wody i słodkiej z chlorem – odpowiedział z pewnym zawahaniem Lew. Zazwyczaj nie dzielił się szczegółami toczących się spraw z synem.

– I co to znaczy?

– To znaczy, że nie utopiła się w morzu.

– Czyli? – dopytywał Mikołaj.

– Czyli zostajemy.

# Rozdział 8

Jowita przyjechała blada, co było szczególnie widoczne przy dwóch towarzyszących jej opalonych sierżantach, którzy razem z nią i Lwem mieli zająć się przepytaniem wszystkich mieszkających na kempingu wczasowiczów.

– Od czego zaczynamy? – zapytała, nie witając się.

– Poprosiłem panią Irenę, właścicielkę, żeby wydrukowała mi listę wczasowiczów, którzy w dniu zaginięcia Chrząstkiewiczowej byli na kempingu – odpowiedział Lew. – Zobaczymy, kto jeszcze jest, a kto już wyjechał. Potem podzielimy listę między naszą czwórkę.

– Myślisz, że jak ktoś coś widział, to do tej pory by nam nie zgłosił?

– Czasami ludzie nie wiedzą, że coś widzieli albo że to ma znaczenie.

– Masz rację. No to zabieramy się do roboty – odparła z udawanym entuzjazmem, w jej oczach trudno jednak było znaleźć choćby cień tej samej emocji.

– Słuchaj, nie przejmuj się – powiedział do niej ściszonym głosem Lew, tak by inni nie słyszeli. – Tak naprawdę to lekarz powinien był zwrócić uwagę, że coś jest nie tak, i zasugerować porządną autopsję, i tyle. Teraz to wszystko wyjaśnimy i naprawimy. Razem. Poza tym z badania wynika, że tej słodkiej wody z chlorem było niewiele. Mogła się gdzieś zachłysnąć.

– Jak powiesz jej synowi o tej wodzie, to on zrobi wszystko, żeby mnie odsunąć od sprawy. Zniszczy mnie – odrzekła.

– Jak na razie to ja wiem tylko to, że wyłowiono z morza kobietę, która w morzu nie utonęła. Są dwa możliwe wyjaśnienia. Albo ta kobieta sama zachłysnęła się wodą niewiele wcześniej, właściwie to tuż przed, albo…

– Albo została zamordowana – dokończyła Jowita.

– No właśnie, a najczęściej mordercą jest… – Lew zawiesił głos w połowie zdania, patrząc wymownie na Jowitę.

– ...członek najbliższej rodziny – dokończyła za niego.

– No właśnie. Więc na razie nikt nie będzie mówił o niczym jej synowi. Po prostu będziemy robili swoje.

Jowita kiwnęła głową. Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. Właścicielka przyszła z ręcznie spisaną listą, na której było pełno przekreśleń.

– Przepraszam, ale mój mąż robił rezerwacje i meldunki w zeszłym tygodniu i tak źle powpisywał, nieczytelnie, że musiałam parę razy tę listę poprawiać – powiedziała, wręczając im kartkę.

– Te numery obok nazwisk to numery domków? – zapytał podkomisarz.

– Tak.

– Dziękujemy, pani Irenko – powiedziała Jowita.

– Pani Ireno – zatrzymał ją Lew. – Zanim pani odejdzie, chciałem jeszcze panią zapytać.

– O co, mój Boże?

– Na razie nic się takiego nie dzieje, nie musi się pani denerwować – uspokajał ją. – Po prostu zginęła kobieta, jej syn bardzo to przeżywa i na jego prośbę sprawdzamy wszystkie możliwości, i tyle.

– Oczywiście – przytaknęła właścicielka.

– Pomyślałem sobie, że pani tu jest przecież najbardziej obeznana. Może wskazałaby nam pani kogoś, od kogo powinniśmy zacząć.

– Zacząć?

– Mamy nadzieję, że ustalimy więcej szczegółów z tamtego wieczora – powiedziała Jowita. – Może pani wie, kto tu jest dobrym obserwatorem? A może sama pani wie, z kim były jakieś problemy?

– Nie, my problemów tu nie mamy – pokiwała energicznie przecząco głową. – Ale zawsze dużo plotkuje pani Bronia. Tylko nie mówicie jej, że ja tak powiedziałam! Ona co roku przyjeżdża do domku numer dwadzieścia, tym pod drzewami, na końcu.

Lew popatrzył we wskazanym kierunku. Domek z dwudziestym numerkiem był sporo oddalony od pozostałych.

– Raczej mało stamtąd widziała – powiedział powątpiewająco.

– Stamtąd mało, ale ona wychodzi w nocy na papierosa – powiedziała konspiracyjnym szeptem pani Irena.

– Dziękujemy – odrzekł Lew. – To wiemy teraz, co robić.

Kiedy właścicielka odeszła, Lew zaczął dzielić listę.

– Słuchaj – przerwała mu Jowita. – A może powinniśmy ponownie porozmawiać z rodziną, skoro większość morderców, no wiesz…

– Na pewno porozmawiamy, ale żeby rozmowa miała sens, najpierw się przygotujemy. A nuż się okaże, że któryś z sąsiadów był świadkiem jakiejś ich kłótni. Może synek chciał, żeby mamusia przepisała mu mieszkanie albo coś.

– Czyli podejrzewasz syna? – zapytała.

– Na razie jeszcze nie, ale zobaczymy, co przyjdzie od naszego analityka komputerowego. Ma mi przesłać informacje o nim. Jeżeli się okaże, że na przykład jest zadłużony albo miał jakiś wyrok, to na pewno bardzo podskoczy do góry na naszej liście.

– Od kogo chcesz, żebym zaczęła?

– Od sąsiadów mieszkających tuż obok Chrząstkiewiczów. Ściany w tych domkach są cienkie. Dobrze słychać. Może się czegoś dowiesz, ale jakbyś zobaczyła, że oni czują się niekomfortowo, odpowiadając na twoje pytania, to poproś ich do stołówki. Tam jest teraz pusto. Poprosiłem właścicieli, żeby otworzyli ją dla nas.

– Jasne – odparła Jowita i z nowo odzyskaną energią ruszyła w tamtym kierunku.

Rozmowy trwały całe przedpołudnie. Wskazana przez właścicielkę wczasowiczka faktycznie widziała i wiedziała albo podejrzewała wiele. Wiedziała o rozwodach, przeczuwała problemy finansowe, które objawiały się mniejszą niż zazwyczaj rozrzutnością danej rodziny w sklepiku. Wspominała bujną młodość Chrząstkiewiczowej, nie zapominając wspomnieć o tym, że jej zmarły mąż był od niej znacznie młodszy. Feralnego wieczora spała jednak mocno i nie zauważyła niczego. Lew wyszedł od niej bez żadnego śladu.

– I jak, masz coś? – zapytał, widząc, że Jowita również skończyła swoją rozmowę.

– Możliwe, że tak – odrzekła.

– Słyszeli coś?

– Nie. Raczej chodzi o ich doświadczenia, a właściwie o sprawę sprzed roku – odpowiedziała, otwierając notatnik. – Rozmawiałam z kobietą, która jest w podobnym wieku co nasza denatka. Otóż w zeszłe wakacje czuła się nagabywana przez niejakiego Mariusza Ziątka.

– Mariusza Ziątka? – powtórzył za nią Lew.

– Tak, ponoć nagabywania miały mieć podtekst seksualny. Ziątek wielokrotnie podchodził do niej, gdy była sama, i trudno było się go pozbyć. Był natarczywy, chociaż wyraźnie dawała mu znać, że nie jest zainteresowana.

– A co to ma do naszej sprawy?

– A to, że pan Ziątek pojawił się na kempingu dwa dni przed zaginięciem kobiety i jest obecnie w domku numer trzydzieści.

– Hmm – burknął Lew.

– To nie wszystko. Kobieta, z którą rozmawiałam, miała się poskarżyć pani Irenie, a ta, zamiast jej pomóc, podobno powiedziała jej, że mówi głupstwa. Potem widziano, jak kłóciła się z Ziątkiem i mówiła, że ma więcej się nie pokazywać.

– Przyjechał jednak i w tym roku.

– Tak – potwierdziła. – Chcesz iść do pani Ireny?

– Do niej nie, ale pamiętasz wesołą czwórkę, z którą rozmawialiśmy wczoraj? Ich zapytamy o pana Ziątka. Może coś wiedzą.

– Są tam. Widziałam, że zasiedli do swojego stolika, gdy tylko się pojawiliśmy. Pewnie umierają z ciekawości.

Dwie kobiety i dwóch mężczyzn w starszym wieku siedzieli w tym samym miejscu co poprzedniego dnia. Przed nimi leżały karty, nikt jednak z nich nawet po nie nie sięgał.

– Dzień dobry państwu – zaczął Lew. – Przepraszam, że niepokoimy ponownie, ale mamy takie drobne pytanie. Czy kojarzą państwo mężczyznę nazwiskiem Ziątek? Mariusz Ziątek?

– Pierwsze słyszę – powiedziała pierwsza.

– A gdzie on mieszka? – dopytywał brodacz.

– Pod trzydziestym numerem.

– Trzydziestym? Ty wiesz, kto tam mieszka, ja nie? – odparła kobieta w koku. – Idę zobaczyć.

– Ja też – odparł drugi mężczyzna.

Wrócili po chwili.

– To o tego dziwnego z wąsem chodzi – powiedzieli swoim towarzyszom.

– Aaa. My na niego mówimy „pan lepkie rączki" – powiedziała pierwsza kobieta.

– A dlaczego? – zapytał Lew.

– On tu przyjeżdża z rodziną, ale jego żona sama idzie z dzieciakami na plażę. On za to albo siedzi cały dzień w domku, albo zaczyna obchód po kempingu i patrzy, która kobita sama siedzi. Najczęściej wybiera takie starsze, ale lepiej zrobione – powiedziała kobieta z kokiem. – Kiedyś do mnie startował, ale od razu go zgasiłam. Ja już takich jak on widziałam i się na to nie nabieram, ale jak któraś tu przyjedzie pierwszy raz i go nie zna, to leci na te jego amory.

– A żona? – dopytywała Jowita.

– A żonę to taką dziwną ma. My tu, wie pani, wszyscy się raczej znamy, z tych, co tu dłużej przyjeżdżają, a ona, wielka pani, nawet dzień dobry nie mówi, a już żeby zamienić z kimś dwa słowa, to mowy nie ma – powiedział brodacz.

– A do tego jest strasznie gruba – dopowiedziała kobieta z kokiem.

– A ten Mariusz to rozmawiał kiedyś z panią Chrząstkiewiczową? – zapytał Lew.

– Oj tak, rozmawiał, rozmawiał – powiedziała pierwsza kobieta, a reszta zaczęła się śmiać. – Bogusia to go pogoniła, że aż strach.

– Naprawdę? Co powiedziała? – dopytywała Jowita.

– Powiedziała, żeby spieprzał, tak po prostu. Że ona go sobie sprawdziła w internecie i już wie, co z niego za oszust i że się nie da nabrać. Wyśmiała go przy wszystkich. Zrobił się cały czerwony i zniknął.

– Kiedy to było?

– No… kiedy… – zastanawiali się.

– No przecież w ten dzień co ognisko, bo myśmy tu już siedzieli właśnie, żeby sobie zająć dobre miejsce, a Bogusia do nas wtedy szła, jak on ją zaczepił – powiedziała kobieta z kokiem.

– Dziękujemy – przerwał im Lew i nie czekając na dalszą część ich opowieści, dał znać głową Jowicie, żeby ruszyli. Szli prosto do domu numer trzydzieści.

– Myślisz, że to on? – zapytała.

– Kto wie, jak na razie to jedyna osoba, z którą wiemy, że podejrzana miała zatarg.

– Może uraziło go to, że go tak publicznie wyśmiała – zgodziła się z nim Jowita.

– Zaraz się dowiemy. To tamten domek.

Przed domkiem numer trzydzieści było rozwieszone pranie. Na sznurze wisiała duża płachta w czerwone serca. Dopiero z bliska można było dojrzeć, że płachta ta jest w istocie damską sukienką w dużym rozmiarze. Obok niej wisiały również dosyć szerokie krótkie spodenki dziecięce w dinozaury i mała sukienka w kwiatki. Drzwi do domku były uchylone. Przez szparę wyglądał przez nie wysoki mężczyzna. Na oko miał nie więcej niż czterdzieści lat.

– Dzień dobry – pomachał w jego kierunku Lew. – Czy możemy na słówko?

– Ze mną? – odpowiedział mężczyzna, otwierając nieco szerzej drzwi.

– Pan Mariusz Ziątek? – zapytała Jowita, wyciągając odznakę.

– Tak – odpowiedział. – O co chodzi?

– Możemy do środka? – zapytał Lew, po czym nie czekając na odpowiedź, przepchnął się obok rosłego mężczyzny i zasiadł na jednym z krzeseł przy stoliku. Jowita usiadła koło niego. Mężczyzna jakiś czas nie mógł wyraźnie się zdecydować, czy woli postać, czy usiąść na niższej kanapie. W końcu usiadł.

– Słyszał pan może, że parę dni temu znaleziono na plaży ciało kobiety – zaczęła Jowita. – Kobieta wynajmowała tu domek z rodziną.

– Nie, nic nie słyszałem – odparł zaskoczony.

– Nic pan nie słyszał, mieszkając na tym kempingu, naprawdę? – zadał mu pytanie podkomisarz.

– No my się tak tu nie socjalizujemy jak niektórzy. Odpoczywamy i pilnujemy własnego nosa.

– Słyszeliśmy coś innego – odparła Jowita.

– Co niby słyszeliście takiego? – oburzył się mężczyzna. Uniósł się nieznacznie, jakby próbował na siłę być wyżej od policjantki, mimo że siedział na niższej kanapie.

– Słyszeliśmy, że gdy pana żona jest z dziećmi na plaży, to pan lubi zaczepiać starsze kobiety.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, jakby to, co usłyszał, było żartem.

– Podobno składa pan dwuznaczne propozycje – powiedział Lew.

– Jedna z kobiet złożyła na pana skargę do właścicielki. Podobno był pan natarczywy.

Mężczyzna roześmiał się głośno. Jego mina jednak zrzedła, gdy zobaczył stojącą w drzwiach żonę. Tak jak wcześniej mąż, tak teraz ona, tyle że po zewnętrznej stronie, stała i patrzyła przez niewielką szparę.

– O, kochanie, wróciłaś – powiedział.

Kobieta odwróciła się w kierunku dzieci i dała im znać, by zostały na werandzie.

– Zapomnieliśmy pieniędzy na lody – burknęła. Drzwi się otworzyły i jej ciało pokaźnych rozmiarów znalazło się między mężem a Jowitą, która przy kobiecie wyglądała jak krasnoludek.

– To jest Krystyna, moja żona – powiedział mężczyzna. – Ona zaraz potwierdzi, co powiem. – Mężczyzna ponownie się uśmiechnął, choć żona miała raczej ponurą minę. – Ja sprzedaję wyroby medyczne – powiedział, po czym schylił się do swojej teczki, z której wyciągnął ulotki. – Widzą państwo, ja tych pań nie nagabuję, tylko im proponuję wysokiej klasy urządzenia, które pozwalają długo cieszyć się zdrowiem.

Jowita wzięła ulotkę i zaczęła ją przeglądać. Lew za to ukradkiem sprawdzał reakcję żony, której postać górowała nad wszystkimi. Zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób oni śpią w tak małym domku. Ich co prawda był większy od tego, który podkomisarz dzielił z synem, mimo wszystko żadne łóżko nie wyglądało na szerokie na tyle, by pomieścić tę kobietę. Jedyną możliwością wydawało się połączenie dwóch wersalek, ale wtedy mąż albo dzieci musieliby spać na podłodze.

– Wybieram starsze panie, bo to one są klientkami docelowymi oferowanych przeze mnie produktów. Wiele z tych pań jest samotnych i łaknie kontaktu, więc czasami się zdarza, że źle interpretują moją chęć rozmowy i moje zainteresowanie nimi. Sami państwo rozumieją, jak kobieta myśli, że jest już nieatrakcyjna dla mężczyzny, a później nagle jakiś zaczyna z nią rozmawiać, nawet jeżeli te rozmowy są czysto profesjonalne z mojej strony, to czasami ona myśli…

– Słyszeliśmy, że w zeszłym roku jedna kobieta złożyła na pana skargę, a właścicielka zabroniła panu się pojawiać na kempingu ponownie – przerwała mu

Jowita.

– Jaką skargę? – zapytała grubym głosem żona.

– Żadną, rybeńko, zwykłe nieporozumienie.

– Skoro to było nieporozumienie, to dlaczego widziano, jak właścicielka się z panem kłóci? – wtrącił się Lew.

– No bo widzi pan, panie władzo, pani Irenka jest właśnie w takim wieku, że łatwo jej było pomylić moje intencje…

– Czyli chce pan powiedzieć innymi słowami, że jej wybuch był w istocie wybuchem zazdrości? – dopytywała Jowita.

– No niestety… na szczęście wyjaśniliśmy to sobie i jak państwo widzą, pojawiliśmy się i w tym roku. Jak mówiłem, to tylko było drobne nieporozumienie.

– A to, że pani Chrząstkiewicz wyśmiała pana publicznie przed ogniskiem, również było nieporozumieniem? – naciskała Jowita

– Kto to ta Chrząstkiewicz? – zadudnił ponownie głos żony.

– Ciało Bogumiły Chrząstkiewicz, która tak jak państwo wynajmowała tu domek, zostało znalezione na plaży dzień po sobotnim ognisku – wyjaśnił podkomisarz. – W jej sprawie tu jesteśmy. Rozmawiamy ze wszystkimi, którzy w tym czasie również byli na kempingu.

– Zamordowana? – zapytała żona, nie zmieniając wyrazu twarzy, który był trudny do zinterpretowania. Wyglądała, jakby coś kalkulowała.

– Badamy to – odrzekł Lew.

– Nie pamiętam tamtej wymiany zdań. Nie pamiętam też żadnej pani Chrząstkiewicz – powiedział mężczyzna, wstając. – Jeżeli można, chcielibyśmy pójść razem na plażę. Mamy urlop.

– Jeszcze jedno pytanie – zatrzymała go Jowita. – Gdzie pan był późnym wieczorem i w nocy z soboty na niedzielę?

– Ja? – powiedział mężczyzna. W jego oczach było widać zdenerwowanie. – Nie poszliśmy na ognisko. Nie lubimy tych ich kiełbas. Są słabej jakości. Oglądaliśmy coś na laptopie. Jakiś film żona wybrała. Poszliśmy spać koło dziesiątej wieczorem.

– Była pani z mężem przez całą noc? – zapytała Jowita, wlepiając wzrok po raz pierwszy w żonę Ziątka.

– Tak – odparła.

Lew wstał, za nim Jowita. Przepchnęli się koło Ziątków na werandę, gdzie stała dwójka ich dzieci. Starszy, może siedmioletni syn miał sporą otyłość, za to dziewczynka niedowagę.

– I co myślisz? – powiedziała Jowita, gdy się oddalili.

– Że trzeba typa sprawdzić – odrzekł Lew.

– Jestem głodna.

– Ja też. Proponuję, żebyśmy zrobili sobie przerwę. Zobaczymy, jak chłopakom od ciebie poszły rozmowy. Może też coś trafili. A jak skończymy, to po południu spotkajmy się może u ciebie w komendzie. Tam zbierzemy wszystkie notatki do kupy. Powinniśmy mieć też już jakieś informacje o denatce.

# Rozdział 9

– Masz tu pięćdziesiątkę – powiedział Lew, wyciągając banknot z portfela. Mikołaj, ze słuchawkami na uszach, grał na laptopie w tę sama grę co przed wspólnym obiadem.

– Kładę ci tu, na stole. Nie zgub.

Mikołaj nie odpowiedział. Kiwnął jedynie głową na znak, że słyszy.

– Słuchaj – powiedział Lew, ściągając mu słuchawki ręką. – A może dla odmiany pójdziesz się przejść, co? Kupisz sobie lody czy hamburgera.

– Dopiero jedliśmy – wybąknął.

– To coś do ubrania. Pamiętasz, zapomniałeś wziąć.

– Sam mam iść?

– No tak. Jesteś już duży. Ja w twoim wieku to...

– Dobra, dobra – przerwał mu Mikołaj. – Nie musisz powtarzać. Ty w moim wieku już sam polowałeś na antylopy.

– Taki stary nie jestem.

– Co ja kupię za pięćdziesiąt złotych? Nawet czapki z daszkiem za tyle nie dostanę.

– No dobra. Masz dwie stówy, ale masz kupić same ubrania, żadnych gadżetów.

Mikołaj wzruszył ramionami i ponownie wsunął słuchawki na uszy. Lew spojrzał na zegarek. Musiał już jechać na komendę w Słupsku. Czekali tam na niego. Dostał też wiadomość, którą chciał po drodze sprawdzić.

– Zadzwonię, jak będę wracał – rzucił na pożegnanie, po czym wyszedł. W Słupsku, przed budynkiem komendy, czekała na niego Jowita. W ręce trzymała papierosa.

– Palisz? – zapytał, wysiadając.

– Nie. Tylko sobie trzymam – zaśmiała się, ale jej śmiech nie brzmiał wesoło.

– Mówiłem ci, nie przejmuj się – powiedział Lew. – Chodź do środka, zajmiemy się robotą, wtedy od razu poczujesz się lepiej.

W środku w niewielkim gabinecie, który był zaskakująco ładnie umeblowany, czekali na niego dwaj sierżanci, którzy wcześniej pomagali w rozmowach na kempingu. Lew zapomniał ich imion. Może nawet o nie nie spytał, bo jeden z nich, wstając, gdy tyko podkomisarz wszedł, przedstawił się.

– Kuna – powiedział. – Stefan Kuna. A mój kolega ma na imię Andrzej Tchórz. Tak się fajnie dobraliśmy.

– Robert Lew – powiedział, na co oni wybuchnęli śmiechem. Dopiero po chwili podkomisarz zrozumiał dlaczego. – Widocznie pasuję do waszej futrzastej ekipy.

– No dobra, chłopaki, siadajmy. Na stole jest już kawa, jakby ktoś miał ochotę. Robert, nie krępuj się – powiedziała Jowita, zamykając drzwi. – Mam plan kempingu, na żółto zaznaczyłam rodziny, z którymi już rozmawialiśmy…

– Zanim zaczniemy – przerwał jej Lew. – Mam wiadomości z Warszawy. Sprawdzili konta bankowe Chrząstkiewiczowej i zgadnijcie, co się okazało?

– Miała długi? – zgadła Jowita.

– Nie, wręcz przeciwnie, na jej koncie widnieje dużo kwota. Do tego Chrząstkiewiczowa była właścicielką dwóch sporych mieszkań w kamienicy, w samym centrum. W zeszłym roku zrobiła dwa przelewy w wysokości dwudziestu i trzydziestu tysięcy złotych. Oba przelewy były dla jej syna. Poprosiłem o sprawdzenie jego konta i od razu wyszło, że chłopak jest pod kreską. Mają z żoną niespłaconą kartę kredytową i wysoki kredyt hipoteczny. Ale to nie wszystko – wyjaśniał Lew. – Chrząstkiewiczowa zaginęła w sobotę w nocy, a w niedzielę rano koło godziny dziesiątej ktoś wypłacił z jej konta trzy tysiące złotych w trzech osobnych operacjach, w dwóch bankomatach.

– Gdzie? – zapytała Jowita.

– W Wicierzy wyciągnął dwa razy po tysiąc, a potem, cztery kilometry dalej i dwadzieścia minut później, w Jarocku, kolejny tysiąc – powiedział Lew, spoglądając na maila, którego miał w komórce.

– Z Wicierzy do Jarocka jedzie się najwyżej dziesięć minut – wtrącił się sierżant Tchórz.

– To co robił przez pozostałe dziesięć? Poczucie winy go męczyło? – dopowiedział Kuna z uśmiechem na ustach, robiąc minę, jakby udał mu się

naprawdę dobry kawał, ale oczy podkomisarza, który na niego popatrzył, nie śmiały się wcale.

– Możliwe – powiedział. – Sprawdziłem już kamerę z pierwszego bankomatu i okazało się, że jest na niej naklejona guma. Z drugiej kamery dostałem od firmy ją obsługującej taki fragment nagrania pasujący do czasu wyciągnięcia gotówki z konta Chrząstkiewiczowej.

Robert wyciągnął swój telefon w kierunku Jowity i poczekał, aż sierżanci zbliżą się do niej na tyle, by też zobaczyć nagranie. Gdy je włączył, na ekranie najpierw pojawił się widok pustej ulicy Jarocka. Padało. Po chwili obraz zniknął. Pojawiło się najpierw coś białego, a później obraz zakryła ciemność.

– Co to było? – zapytała Jowita.

– Kartka papieru – odpowiedział Lew. – Dokładnie, gdy powiększymy obraz, widać, że jest to kartka z zeszytu w kratkę.

– Nie rozumiem – powiedział Tchórz.

– Ktoś celowo zakrył kamerę, podchodząc z boku – wyjaśnił podkomisarz. – Ten ktoś wiedział, gdzie jest kamera, i zależało mu, żeby nie być uwiecznionym na nagraniu.

– Ale nie miał już gumy – skwitowała Jowita.

– Może stąd dziesięć minut zwłoki – powiedział Lew. – Chyba że kolega ma rację i faktycznie tego kogoś dopadły wyrzuty sumienia.

– Karty kredytowe niszczą się pod wpływem wody morskiej – powiedział Kuna. – Wiem, bo sam kiedyś tak swoją załatwiłem.

– O tej porze jej ciało mogło nawet jeszcze nie wypłynąć – powiedziała Jowita. – Czyli co, ktoś najpierw ją zamordował w wannie, a później okradł?

– Topienie w wannie nie jest najprostszym sposobem zabicia kogoś – odpowiedział Lew. – Kwota do tego nie jest aż tak duża. Jeśli ktoś chce kogoś okraść, nie musi go też od razu zabijać, zwłaszcza jeżeli mówimy już o osobie w jej wieku z wymienionym niedawno stawem biodrowym. Motyw rabunkowy jakoś tu nie pasuje.

– Na ciele nie było śladów gwałtu – powiedziała Jowita.

– Na ciele nie było widocznych śladów gwałtu – poprawił ją Lew. – Nie było też śladów użycia przemocy, a mało jest znanych mi przypadków, w których ktoś topi się w wannie, nie broniąc się.

– Ktoś zatarł ślady? Ale dlaczego? – zapytał Tchórz.

Lew popatrzył na niego, sondując, czy pyta poważnie, bo rzeczywiście, z braku doświadczenia, nie wie dlaczego, czy też ma specyficzne poczucie humoru.

– Ciało jakiś czas dryfowało w wodzie. Nawet jeżeli morderca byłby gwałcicielem, który nie użył prezerwatywy, to i tak mogło nie być już śladów spermy. Brakowało tkanki miękkiej na udach, więc nawet jeśli wcześniej były tam siniaki, to my nie mogliśmy ich już zobaczyć. Poza tym położenie plam opadowych – odparł.

– Co z plamami? – dopytywał Tchórz.

W jego głosie nie było cienia zażenowania faktem, że nie miał bladego pojęcia o tym, co było oczywiste dla podkomisarza. W Warszawie wszyscy w kryminalnym zdawali się ukrywać swoją niewiedzę, przynajmniej do momentu, gdy stawali się dostatecznie starzy, by to, co pomyślą ich koledzy, nie miało, jak dla Lwa, absolutnie żadnego już znaczenia. Stojący przed nim sierżant był jednak bardzo młody.

– Plamy opadowe były w miejscach, w których spodziewałbym się znaleźć siniaki bądź obtłuczenia przy topieniu. Czyli – ciągnął podkomisarz – na karku i plecach. Gdyby koniuszki palców nie były objedzone przez ryby lub ptaki, szukałbym pod paznokciami też naskórka napastnika.

– To co teraz? – zapytał Kuna.

– Przejrzymy nasze notatki z rozmów, może do czegoś dojdziemy.

Siedzieli przez kolejną godzinę. W tym, co mówili kempingowicze, było wiele nieścisłości lub wręcz wykluczających się informacji. Ktoś twierdził, że widział, jak jakaś staruszka, której opis pasował do Chrząstkiewiczowej, szła koło północy w kierunku pubu na głównej ulicy Wicierzy. Ktoś inny o tej samej godzinie widział, jak szła w przeciwną stronę. Jedni twierdzili, że Chrząstkiewiczowa była smutna i coś ją gryzło, inni natomiast, że tryskała humorem. Po godzinie Jowita wyszła, by zrobić nową kawę. Wróciła z pustym termosem i zaskoczoną miną.

– Nie zgadniecie, kto czekał na korytarzu – powiedziała, po czym odwróciła się i kiwnęła w czyimś kierunku zapraszająco głową. Wkrótce za nią pojawiła się ogromna postać Ziątkowej. Kobieta lekko chwiejnym krokiem weszła do gabinetu.

– Wy wszyscy zajmujecie się sprawą tej zmarłej kobiety z plaży? – zapytała. Lew przytaknął i wskazał jej wolne krzesło.

– Proszę usiąść – powiedział.

– Ja właściwie to przyszłam tylko uściślić coś, bo nie chciałabym, żeby ktoś mnie w coś wmieszał – wymamrotała. Mówiła niewyraźnie, tak że słowa zlewały się ze sobą. Pocierała grubą ręką o usta, co dodatkowo utrudniało zrozumienie tego, co mówi.

– Rozumiem – powiedział powoli Lew. – Może najpierw napije się pani herbaty?

– Herbaty? – zdziwiła się kobieta.

– Tak, oczywiście – odparł, patrząc sugestywnie na sierżantów. Żaden z nich jednak nie drgnął. Dopiero chrząknięcie Jowity sprawiło, że Kuna wstał i poszedł po filiżankę. Wrócił po chwili z gorącym napojem i paczką ciasteczek.

– Jak już herbatka, to coś do herbatki też się przyda – powiedział, szczerząc się przy tym z zadowolenia w kierunku podkomisarza, któremu widocznie chciał zaimponować.

– Dziękuję – odparł Lew i sięgnął po ciastko. Ziątkowa, z pewnym zawahaniem, zrobiła to samo. – Więc co panią do nas sprowadza? Chciała nam pani pomóc, tak?

– Tak. Pomóc – odparła. – No więc mój mąż, Mariusz, on powiedział, że spał całą noc. Mówię o tamtej nocy, kiedy ta biedaczka zniknęła, a potem jej ciało znaleziono…

– Chodzi pani o noc z soboty na niedzielę? – dopytała Jowita. Kobieta na nią nie spojrzała. Jej niewielkie, szparkowate oczy utkwione były w Lwie. Kiwnęła jednak twierdząco głową.

– Tak. No więc ja chciałam tylko wyjaśnić, że ja tego potwierdzić nie mogę.

– Nie może pani potwierdzić, że mąż był całą noc z panią, tak? – zapytał Lew.

– Tak.

– Nie może pani, bo pani spała, czy dlatego, że pani wie, że go nie było?

– No więc ja słabo sypiam – zaczęła Ziątkowa wolno, starając się uporządkować to, co i jak chce powiedzieć.

– Czyli obudziła się pani i zauważyła, że męża nie było przy pani? – dopytywał Lew.

– Obudziłam się, gdy wstał. On jest bardzo niezdarny.

– Wstał i?

– Wstał i wyszedł. I wrócił dopiero koło czwartej rano. Było już prawie jasno.

– Rozumiem. A czy mąż o tym wiedział, że pani zauważyła jego zniknięcie? – zapytał Lew.

– Zapytałam go, gdzie był, a on odpowiedział, że tylko sikał i żebym spała dalej. Nie pytałam więcej.

– A jak długo go mogło nie być w pani odczuciu? – zapytała Jowita. – Godzinę? Więcej?

– Więcej, znacznie więcej. Z cztery godziny przynajmniej. Ale to nic nie znaczy. Państwo rozumieją, ja tylko chciałam, żeby nie było niedomówień. To nie oznacza, że ja go o coś oskarżam.

– Oczywiście, bardzo dobrze, że pani o tym mówi. Wprowadzanie śledczych w błąd jest przestępstwem. Wszyscy powinni robić tak jak pani – uspokajała ją Jowita.

– A czy coś innego się ostatnio zdarzyło, co panią w jakiś sposób zdziwiło? Czy coś w zachowaniu pani męża się zmieniło? – zapytał po chwili ciszy Lew.

– On się zmienił cały. Ale nie teraz, tylko tak ostatnio – powiedziała kobieta niepewnie, poruszając się na drewnianym stołku, jak gdyby testując jego wytrzymałość.

– Ostatnio? – dopytywał Lew.

– No przez parę ostatnich miesięcy znaczy. Stał się taki małomówny i patrzy tak na mnie jakoś dziwnie… i skąpy się stał okropnie. Ciągle mówi, że nie ma na nic pieniędzy i nie pozwala mi nic kupować. Dawniej taki nie był.

– Chce pani powiedzieć, że mąż ma problemy finansowe? – zapytała Jowita, która cały czas próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Ziątkową. Ta jednak wpatrywała się w podkomisarza w sposób wręcz natarczywy. Lew bez wyraźnych objawów dyskomfortu odpowiadał jej swoim spokojnym spojrzeniem.

– Nie wiem nic o żadnych problemach finansowych. Nie wiem, dlaczego on się tak zachowuje.

– Kiedy pani weszła dzisiaj do domu w trakcie naszej rozmowy z pani mężem, pewnie słyszała pani o tym, że niektóre kobiety, starsze, skarżyły się na to, że pani mąż je zaczepia – powiedział Lew i urwał, czekając, aż kobieta w jakiś sposób zareaguje na te słowa. Ona jednak nie powiedziała nic.

– Czy była pani tym zaskoczona? – przerwała ciszę Jowita.

– Nie bardzo – odburknęła.

– Dlaczego?

– Bo już się to wcześniej zdarzało. Kobiety czasami dzwoniły. Raz nawet jedna do mnie przyszła, bo jej się wydawało, że Mariusz coś od niej chce – powiedziała bez cienia emocji. Jowita wymieniła spojrzenia z podkomisarzem.

– Nie martwiło to panią, że mąż jest natarczywy wobec innych kobiet? – zapytała Jowita.

– Chłop musi zarabiać, co nie? – odparła.

Chwilę później Ziątkowa pożegnała się i wyszła. Czwórka policjantów siedziała w gabinecie, trawiąc nie tyle to, co powiedziała, ile to, w jaki sposób to zrobiła.

– Ludzie nigdy nie przestaną mnie zaskakiwać – powiedział Kuna.

– Nawet to, że jest taka otyła, to nic, ale ten jej niezmienny wyraz twarzy, jak jakiś pokerzysta normalnie – kiwał głową, mówiąc to, Tchórz.

– Czyli podsumowując, Chrząstkiewiczowej zniknęły pieniądze z konta, a Ziątek, którego ona parę godzin przed zniknięciem publicznie ośmieszyła, może mieć kłopoty finansowe, dziwnie się zachowuje i lubi nagabywać kobiety.

– A jego alibi właśnie się posypało – dopowiedział Kuna, któremu z emocji aż pojawiły się rumieńce.

– Czyli chyba wiemy, kogo zaprosimy na rozmowę do komendy – skwitował Lew, po czym wyjął telefon, by zadzwonić do Warszawy i dać znać, że wygląda na to, że na Pomorzu zostanie trochę dłużej.

# Rozdział 10

*Wklejał ostrożnie do albumu stare zdjęcia ze swojego życia. Nie miał zbyt wielu fotografii z dzieciństwa, postanowił więc wypełnić puste strony swoimi zapiskami. Sam pomysł był dobry. Chciał stworzyć coś, przy czym wieczorami mógł wspominać stare, dobre czasy. Problem polegał jednak na tym, że z dzieciństwem i rodziną wiązały się same złe wspomnienia, a tworzenie albumu z pominięciem tak ważnego etapu życia wydawało mu się jakimś oszustwem. Chciał zrobić to porządnie, jak należy. Po każdej stronie narastała w nim jednak irytacja, a na kartkach, na których miały być zapisane wspomnienia, pojawiało się coraz więcej oskarżeń jego nic niewartych przodków. Po jakimś czasie udało mu się zauważyć pewną cechę wspólną wszystkich złych zdarzeń. Były nim kobiety z jego rodziny. Oszołomiony tym odkryciem, postanowił pogrzebać lepiej w przeszłości i sięgnąć do tych, z którymi nie miał bezpośredniego kontaktu, jak pradziadowie, którzy jednak przez swoje decyzje mieli wpływ na jego obecne życie. Po dodaniu tych paru zdjęć krewnych i dopełnieniu historii jego życie nabrało nagle nowego znaczenia. Nie było dziełem przypadku lub, co gorsza, wynikiem jego nieuważnych decyzji. To, co nazywał do tej pory prześladującym go pechem, było w istocie złymi decyzjami jego matki wynikającymi z jej odziedziczonej skłonności do bezmyślności i agresji. Połączenie tych dwóch cech, które teraz widział tak wyraźnie też u swojej babki, ciotki i prababki, sprawiło, że on nigdy nie mógł rozwinąć skrzydeł, a przynajmniej tak było do tej pory. Teraz, gdy znał przyczynę, wszystko mogło się zmienić. Mógł odzyskać dawno utraconą kontrolę. Musiał tylko zrobić to, co powinien był zrobić dawno temu, a do czego wcześniej nie miał odwagi.*

# Rozdział 11

Jowita od razu zauważyła wyraźną zmianę na jego twarzy. Mariusz Ziątek był bardzo skupiony, na czole pojawiła się głęboka bruzda, która sprawiła, że jego czarne, grube brwi zlewały się niemal w jedną kreskę oddzielającą górę głowy od jej dołu. Usta też miał ściągnięte, tak że siedząc na krześle przed nimi, wyglądał teraz, jakby chciał kogoś pocałować.

– Czy jestem o coś oskarżony? – zapytał krótko. Jego oczy skakały między Jowitą a Robertem. Przesłuchiwali go razem, na zmianę zadając pytania. Musiało go to zaskoczyć i utrudnić rozeznanie w tym, kto jest tu szefem i na kim powinien wywrzeć wrażenie, a później zaraz presję.

– Nie – odpowiedział mu spokojnie Lew. – Chcemy się tylko dowiedzieć, dlaczego nas pan okłamał.

– Nie okłamałem – odpowiedział szybko. – Nie was w każdym razie. Nie zabiłem tamtej kobiety i w ogóle nie miałem z nią nic do czynienia.

– Powiedział nam pan, że był pan z żoną, a my już wiemy, że tamtej nocy wyszedł pan z domku kempingowego i wrócił dopiero po paru godzinach – odparła Jowita. – Więc jeszcze raz powtórzę swoje pytanie: gdzie był pan w nocy z soboty na niedzielę?

– A czy moja żona się dowie o tym, co tu powiem? – zapytał.

– To zależy od tego, co pan powie – odpowiedziała Jowita. – Możliwe, że będziemy musieli ją przesłuchać. Ale o to bym na pana miejscu teraz się zupełnie nie martwiła. Ma pan poważniejszy problem. Okłamał pan organy prowadzące dochodzenie.

Ziątek kręcił się trochę na krześle, po czym w końcu na nie oklapł i powiedział:

– Byłem z prostytutką.

– Jaką prostytutką? – dopytał Lew, gdy dalsze wyjaśnienia nie padały. Ziątek popatrzył na niego zażenowany, widocznie nie rozumiejąc tego, po co podkomisarz drąży temat, skoro on wyznał już wstydliwą prawdę.

– No taką zwykłą prostytutką. Co mam panu tłumaczyć. Prostytutka jak prostytutka.

– Często pan się spotyka z prostytutkami? – zapytał Lew, którego z jakiegoś powodu jego odpowiedź rozbawiła.

– No nie często. Ale widział pan moją żonę. Co mam powiedzieć. Czasami mi się zdarza. Teraz, jak ona się o tym dowie, to pewnie będzie się zdarzało częściej, bo mnie wykopie z domu – powiedział, po czym oklapł na krześle jeszcze bardziej, jakby zrzucił z ramion w końcu niepotrzebny ciężar.

– A gdzie pan poznał tę prostytutkę? – ciągnął Lew.

– No jak gdzie poznałem? Nigdzie. W lesie była – odpowiedział od niechcenia.

– Proszę napisać na kartce dokładnie, w którym miejscu była, i podać jej rysopis – powiedziała Jowita, podsuwając mu arkusz papieru.

Ziątek wziął leżący na stole długopis i zaczął rysować mapkę, po czym napisał w punktach parę przymiotników, które określały wygląd dziewczyny.

– Czyli w sobotę wieczorem, gdy pana rodzina poszła spać, wymknął się pan z domu, swoim samochodem podjechał pan we wskazane tu miejsce i tam odbył stosunek z młodą kobietą z długimi czarnymi włosami, w żółtej skórzanej kurtce z czarną różą na plecach, której imienia pan nie pamięta, i podejrzewa pan, że miała około metra sześćdziesięciu wzrostu, czy tak? – zapytał, odczytując z kartki podkomisarz.

– Tak.

– Czy był pan z tą kobietą wcześniej umówiony? – zapytała Jowita.

– Nie, skądże – odparł Ziątek obruszony.

– Czy był pan z nią tylko raz? – pytała dalej.

– Tak, raz – pokiwał głową.– Czy mogę już iść?

– Może pan, ale proszę nie wyjeżdżać z kempingu – powiedział Lew.

– Dlaczego? Przecież już wiecie, gdzie byłem.

– Będziemy wiedzieli, jak sprawdzimy tę informację – powiedziała Jowita. – Już nas pan raz okłamał.

– To co, chcecie teraz po lesie latać i prostytutki szukać? A jak nie znajdziecie?

– To gorzej dla pana, panie Ziątek, gorzej dla pana – powiedział Lew, wstając i dając mu znać, że ich rozmowa dobiegła końca.

Mariusz Ziątek wziął swoją teczkę i powolnym ruchem wkładał do niej telefon komórkowy. Jego wzrok był przez chwilę rozmydlony, jakby coś obliczał w głowie. Obliczenia wyszły widocznie pomyślnie, bo po chwili przyspieszył, pożegnał się i wyszedł żywym krokiem z komendy.

– To co robimy? – zapytała Jowita.

– Jedziemy do lasu, jak powiedział. Musimy ją przesłuchać – odpowiedział.

– A jak jej nie znajdziemy?

– To wtedy będziemy się zastanawiać – odparł Lew, spoglądając na zegarek. – Najlepiej będzie, jak się rozdzielimy. Jest jeszcze wcześnie. Nie wiemy nawet, czy ona się pojawi w środku tygodnia. Może pracuje tylko w weekendy. Wtedy była w końcu sobota.

– To może ja pojadę tam teraz, pojeżdżę trochę po drogach w tym lesie. Jeśli nikogo nie spotkam, to dam ci znać.

– Okej. Ja wrócę teraz na kemping do syna. Jak zadzwonisz, że jej nie znalazłaś, to podjadę tam znowu po dwudziestej i będę szukał do północy.

– Dobra – odparła Jowita i wzięła ze stolika klucze do samochodu, do których był przyczepiony różowy pompon. Lew wyszedł chwilę po niej. Na kempingu znalazł Mikołaja przed swoim laptopem w tej samej pozycji, w której zostawił go o poranku.

– Wychodziłeś z domu w ogóle? – zapytał, nie kryjąc zdenerwowania. – Miałeś zrobić zakupy.

Mikołaj powoli ściągnął słuchawki, lecz jego oczy w dalszym ciągu utkwione były w ekranie komputera.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

– No słyszę, tato, co ty się tak denerwujesz? Przecież wakacje są.

– Siedzisz bez sensu cały dzień przed tym komputerem. Nad morzem jesteśmy, do cholery, a ty tylko tkwisz w tych czterech ścianach.

– Ale, tato, o co tobie chodzi? Przecież to moja sprawa, co robię!

Rozmowa przerodziła się w kłótnię. Lew czuł złość, ale też coraz większą bezsilność.

– Dobra, koniec tej dyskusji – przerwał. – Chodź, pójdziemy teraz. Wybierzemy jakieś ciuchy razem, a potem może pójdziemy na przyjemny spacer.

– Co przyjemnego jest w spacerze?

Lew wziął głęboki oddech. Czuł złość, jakiej wcześniej nie doświadczył, rozmawiając z synem, za to wielokrotnie pojawiała się przy ciągłych kłótniach z Basią. Za wszelką cenę chciał jednak, by jego relacje z Mikołajem były inne niż z córką. Chciał coś zmienić. Cokolwiek.

– No dobrze, a co ty byś chciał zrobić?

– Ja już robię to, co chciałem robić – odpowiedział, wskazując komputer.

– Nie masz nic do ubrania.

– Jeśli nie wychodzę, to nie potrzebuję – powiedział Mikołaj, uśmiechając się. Sięgnął po słuchawki i skierował wzrok ponownie do komputera. Lew nie wytrzymał.

– Idziemy – powiedział głośniej, niż chciał, po czym wyszedł. Mikołaj pojawił się na zewnątrz po pięciu minutach.

– Trochę ci zajęło nakładanie butów – skomentował podkomisarz.

Mikołaj nic nie odpowiedział. Szli szybkim krokiem wzdłuż jedynej ulicy w miasteczku. Były na niej dwa sklepy z ubraniami. W pierwszym, który właściwie był tylko straganem, były same stroje kąpielowe. W drugim było trochę więcej ubrań, ale marnej jakości. Mikołaj, widząc pochmurną minę ojca, w końcu wybrał jedną parę zielonych spodenek i ruszył z nimi w kierunku kasy.

– Żartujesz chyba – powiedział Lew.

– Co znowu?

– Nie widzisz, co jest na tych spodniach?

– No roślina jakaś. Paproć czy coś – powiedział Mikołaj niby od niechcenia.

– To konopie i dobrze o tym wiesz.

– Niemożliwe – powiedział Mikołaj i przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Lew się roześmiał. Atmosfera zrobiła się lżejsza.

– *Sorry*, tato, taki żarcik, bo byłeś dzisiaj strasznie sztywny.

– Niezły nawet. Tutejsi by się chyba posikali ze śmiechu, gdyby syn policjanta zaczął paradować w takich spodniach.

– To co robimy. Tu niczego nie ma.

– Faktycznie. Chodź, pojedziemy do większego miasteczka. Może nawet do Słupska.

– O kurczę. Czyli zapowiada się prawdziwa zakupowa gratka!

Wsiedli w samochód i jechali za wskazówkami w nawigacji. W najbliższym większym miasteczku znaleźli przyzwoite ubrania. Cena była wyższa, niż chcieliby za nie dać, ale niechęć do dalszego łażenia po sklepach przeważyła szalę. Po zakupach wybrali się na chwilę na plażę. Lew rozłożył się na ciepłym piasku. Dochodziła już prawie osiemnasta. Było ciepło, ale nie gorąco. Na plaży przebywało niewiele osób, a ci, którzy byli, zabierali się do zwijania swoich parawanów. Mikołaj położył się koło ojca na minutę, po czym, znudzony, wstał. Pochodził trochę wzdłuż plaży. Nie mając pomysłu na to, co mógłby ze sobą zrobić, wrócił i siadł z westchnieniem na piasku. Lew znał to wzdychanie i wiedział, że wkrótce znudzenie jego syna doprowadzi go do kolejnego wybuchu. Usiadł koło niego i spróbował zagaić rozmowę. Ta jednak się im nie kleiła. Mikołaj odpowiadał półsłówkami, a podkomisarz odpływał co jakiś czas myślami do sprawy Chrząstkiewiczowej i zeznań Ziątka. Coś mu mocno w jego historii nie pasowało. Nie wiedział jednak jeszcze co.

– Chcesz wracać? – zapytał po półgodzinie syna.

Mikołaj kiwnął głową. Wsiedli do samochodu. Do Lwa zadzwonił jeden z kolegów z komendy z Warszawy. Chodziło o szczegóły jakiejś innej sprawy. Podkomisarz odpowiadał na jego pytania, jadąc nieuważnie. Musiał źle skręcić na jednym ze skrzyżowań, bo wkrótce znaleźli się na drodze otoczonej lasem.

– Nie jechaliśmy tędy – powiedział Mikołaj, Lew jednak nie zwalniał, cały czas słuchając czegoś, co mówił głos po drugiej stronie słuchawki. W pewnym momencie kątem oka zauważył coś żółtego w bocznej drodze. Zwolnił, a następnie zawrócił samochód. Podjechał w tamto miejsce raz jeszcze. Na gałęzi wisiała żółta skórzana kurtka z czarną różą na plecach. Lew zatrzymał samochód.

– Zostań w środku – powiedział do Mikołaja. – Muszę z kimś porozmawiać.

Mikołaj się rozejrzał.

– Przecież tu nikogo nie ma.

Lew nacisnął klakson i wyszedł z samochodu. Po chwili na drodze pojawiła się kobieta z długimi czarnymi włosami.

– Taki jesteś niecierpliwy? Jeszcze wcześnie – powiedziała zalotnie. Kiedy jej wzrok padł na siedzącego w samochodzie chłopca, jej wyraz twarzy zmienił się

gwałtownie – *Sorry*, tatusku, ale ja takich rzeczy nie robię. Ten na siedzeniu ma jeszcze mleko pod nosem.

– Ja chcę tylko porozmawiać – powiedział Lew, podchodząc.

– Ach, rozumiem. Chodzi o gadkę uświadamiającą z pokazywaniem, ale ja tego też nie robię. Do księdza się przejdźcie. On młodemu wytłumaczy, co i jak – roześmiała się.

– Jestem z policji – odpowiedział Lew, wyciągając dokumenty. – Przypadkiem zauważyłem twoją kurtkę wiszącą na gałęzi, gdy odwoziłem syna.

– A co ma moja kurtka do tego?

– Zginęła kobieta pięć dni temu. Znaleźliśmy jej ciało na plaży. Wygląda na to, że mogła zostać zamordowana.

– O kurde. Na plaży ją znaleźliście?

– Tak. Dzisiaj rano przesłuchiwaliśmy gościa, który może mieć z tą sprawą do czynienia. Jako alibi podał ciebie, a właściwie to osobę zgodną z twoim rysopisem, z kurtką taką jak twoja i zajmującą się tym co ty, tu w lesie, choć w trochę innym miejscu.

– W weekendy stoję gdzie indziej.

– Dlaczego? – zapytał Lew.

– Trudny dojazd. Tu przejeżdża więcej klientów, ale w weekend nie ma mnie tu kto podwieźć, a sama nie mam wozu. Stoję więc tam, gdzie dojeżdża bus.

– Mam zdjęcie faceta na komórce, spójrz. Jeździ żółtym volvo – powiedział podkomisarz, pokazując kobiecie swój telefon. Ta patrzyła chwilę, po czym pokiwała głową.

– Widziałam go kiedyś – powiedziała.

– W sobotę? Spotkaliście się?

– Zgubił drogę w nocy. Chciał wiedzieć, jak dojechać do Piły. Śpieszył się, a tu nie ma zasięgu, więc jego GPS źle go poprowadził.

– Skorzystał z twoich usług?

– Nie, wskazałam mu drogę i pojechał dalej.

– Jesteś pewna, że to ten? Noc była, a ty mówisz, że widziałaś go raz.

– Takich brwi się nie zapomina. Poza tym na początku się trochę przestraszyłam, bo bardzo gwałtownie zahamował – odpowiedziała.

– On twierdzi, że był z tobą tamtej nocy – drążył Lew.

– Na pewno nie. W weekend była totalna posucha. W sobotę miałam jednego klienta, i to mojego stałego, a w niedzielę padało i nawet nie wyszłam, bo bym sobie tylko, kurwa, dupsko przeziębiła. Nie mogę przecież stać tu w dresie.

– Będę potrzebował twoich danych i telefonu z adresem – powiedział podkomisarz.

– O nie, ja tu oficjalnie to mogę powiedzieć, że w lesie grzyby zbieram, ale nie chcę się w nic pakować – powiedziała, machając rękami z bardzo długimi paznokciami. – Wyglądasz na miłego gościa, więc pomyślałam, że jak mogę, to pomogę i powiem, co wiem, ale na komendę łazić nie będę, przynajmniej nie w tej sprawie – powiedziała, zawieszając głos.

– Jak nie w tej, to w jakiej? – zapytał Lew, widząc, że jest jeszcze coś, co kobieta chciała powiedzieć, ale w ostatniej chwili się zawahała.

– Skąd wiecie, że tamta kobieta nie utonęła po prostu w Bałtyku? – zapytała.

– Nie mogę zdradzić takich szczegółów – odpowiedział wymijająco. – Zrobiliśmy sekcję i wyszło coś, czego nie powinno być.

– Ta kobieta to ktoś ważny?

– Dlaczego pytasz?

– Tu policja nie docieka za bardzo. Właściwie to jak nie muszą, to nic nie robią. Po twoim akcencie słyszę, że jesteś nietutejszy. Pewnie z Warszawy, co? A jak z Warszawy aż kogoś przysłali, to pewnie ktoś ważny był.

– Znaleziona kobieta była zameldowana w stolicy, to wszystko – skłamał. – Potrzebuję twoich danych. To może okazać się sprawa o morderstwo, a ty podważasz alibi jedynego gościa, który jest na naszej liście podejrzanych.

– Dam ci, ale pod jednym warunkiem – powiedziała po chwili.

– Jakim warunkiem? Tu nie ma co się targować, jak mówiłem…

– Chcę, żebyś coś sprawdził. Była druga kobieta. To też nie był wypadek – przerwała mu.

– Druga kobieta?

– Tak, miesiąc temu zniknęła moja koleżanka. Jej ciało znaleziono na plaży. Policja powiedziała, że to było utonięcie, wypadek, ale ja jestem pewna, że tak nie było.

– Jak miała na imię?

– Naprawdę miała na imię Katarzyna Bierat, ale dla nas to była po prostu Kaśka.

– Była prostytutką? – zapytał, wpisując podane nazwisko w notatniku telefonu.

– Była świetną babką, a przy okazji zarabiała pieniądze, jak się dało. To nie była taka młoda koza jak ja. Miała już swoje lata, ale na starość też trzeba z czegoś żyć, a ona dalej świetnie się trzymała.

– Wiesz coś o tym, co robiła przed zaginięciem?

– Ona po pracy jeździła na plażę. Lubiła wschody słońca. Morsowała. Mówiła, że to utrzymuje ją w dobrej formie.

– Morsowała, czyli kąpała się w zimnej wodzie?

– Tak. Ona chodziła na te wschody słońca przez cały rok. Szalona była z niej dziewczyna.

– Dlaczego myślisz, że to nie był wypadek? Skoro chodziła sama się kąpać, woda zimna… łatwo o skurcz…

– Ona była świetną pływaczką. Kiedy była nastolatką, to nawet występowała na mistrzostwach Polski w pływaniu czy coś… Potem jej się tylko tak życie kijowo poukładało, ale ona nie była głupia. Tłumaczyła mi, jak to się robi, że nie wchodzi się głęboko do zimnej wody, najpierw robi się też oddechy i potem powoli, żeby ciało się przyzwyczaiło.

– Różnie bywa – przerwał jej Lew. – W wypadkach samochodowych też czasami giną zawodowi kierowcy, tak się zdarza i już.

– Ale ona mówiła, że ktoś za nią łazi.

– Bała się?

– Tak. Powiedziałam jej, że to pewnie tylko jakiś nieśmiały klient, ale ona nawet zmieniła miejsce, w które normalnie chodziła rano.

– No tak… – powiedział podkomisarz, wzdychając. Takich historii jak ta słyszał wiele. Znajomy denata lub denatki twierdził, że to morderstwo, chociaż zmarły umarł w sposób najbardziej adekwatny do jego stylu życia i podejmowanego ryzyka. Znajoma, o której mówiła mu teraz kobieta, pływała samotnie w morzu i została pewnego dnia znaleziona na jego brzegu. – Nie będę cię okłamywał. Mała szansa, że bez ciała coś da się teraz ustalić, i to bez podstaw…

– Jej ciało jest dalej w chłodni. Jej jedyna krewna mieszka w Stanach i przyjedzie dopiero za miesiąc – przerwała mu dziewczyna.

– W Słupsku?

– Tak – odparła.

– Rozmawiałaś z kimś z policji w sprawie swojej koleżanki? – zapytał.

– Tak, z taką sympatyczną z pozoru babeczką, Jolantą jakąśtam czy Jowitą… Nie pamiętam nazwiska.

Lew nie powiedział nic więcej, spisał tylko dane i wrócił do samochodu. Odwiózł milczącego przez całą drogę Mikołaja do domu na kempingu, po czym zadzwonił do Jowity, że zabiera osobiście Mariusza Ziątka z powrotem na kolejne przesłuchanie, bo jego alibi upadło.

# Rozdział 12

Rude włosy Jowity były bardziej płomienne niż wcześniej i błyszczały intensywnie. Miały też obcy, intensywny zapach.

– Dzisiaj urodziny mojego syna i zrobiłam przyjęcie. Zaprosiłam rodzinę, której dawno nie widziałam, i pomyślałam, że zrobię sobie fryzurę. Poszłam do nowego fryzjera, i to był błąd. Nałożył mi jakąś lewą farbę i teraz będę się bujała z taką wiewiórą przez miesiąc – wyjaśniła, widząc, że Lew się jej przypatruje.

Lew się uśmiechnął, ale nic nie powiedział.

– Wiesz, chyba nigdy nie słyszałam o tym, by żonaty facet zmyślał, że spotkał się z prostytutką. Przecież to kłamstwo mogło zrujnować, a może nawet już zrujnowało mu małżeństwo – zmieniła temat.

Lew, któremu w głowie w dalszym ciągu przewijała się ostatnia rozmowa w lesie, słuchał jej tylko jednym uchem. Stali w korytarzu. W pokoju, sam, siedział Mariusz Ziątek. Zostawili go tam, mówiąc, że jeszcze coś sprawdzają. Chcieli, by trochę się zestresował, by łatwiej było im później złapać go na kłamstwie, kiedy będzie próbował znowu ich wydymać.

– Dobra, minęła godzina – powiedział Lew, spoglądając na zegarek. – Myślę, że możemy zaczynać.

Weszli do środka. Ziątek obgryzał wcześniej ładnie wypielęgnowane paznokcie. Był spocony.

– Rozmawiałem z tą pana dziewczyną w żółtej kurtce, z którą pan rzekomo był w sobotę, i niestety ona również, jak wcześniej pana żona, nie potwierdziła pana słów – zaczął Lew.

– Ale jest już drugą kobietą, która tamtej nocy pana widziała. Więc wiemy jedno – nie spał pan wtedy – dopowiedziała Jowita.

– Źle to wygląda. Próbował nas pan oszukać drugi raz, a jak już wcześniej powiedziałem, na to jest konkretny paragraf kodeksu karnego – mówił dalej Lew,

przysuwając się do Ziątka na krześle na odległość bliższą, niż było to wygodne dla któregokolwiek z nich. Ziątek zaczął się kręcić na krześle. Było twarde.

– Pomyliłem się, byłem z inną, nie z tą w żółtej kurtce – powiedział po chwili.

– Tak myślałem, że pan to powie, i dlatego ściągnąłem to – odrzekł Lew, podając mu z teczki zdjęcia z monitoringu, na którym był jego żółty samochód z widoczną tablicą rejestracyjną.

– Co to? – wyburkął Ziątek.

– To pański samochód, z panem za kółkiem, na drodze prowadzącej do Piły – odparł Lew, wskazując palcem na pierwsze zdjęcie. – A tu wjeżdżający do Piły. Na ostatnim widzimy ponownie pański samochód w drodze powrotnej.

Mężczyzna pochylił się nad zdjęciami. Patrzył na nie w ciszy przez parę minut, po czym wybuchnął wymuszonym śmiechem.

– Czyli wszystko jasne. Nie muszę już nic mówić. Macie zdjęcia. Nie zabiłem tamtej kobiety, bo byłem wtedy w Pile, i koniec. Dziękuję i wychodzę.

– Nie tak szybko – zatrzymała go Jowita. – Te zdjęcia nie są bynajmniej dowodem pańskiej niewinności, tylko dowodem kłamstw. Oszukał nas pan.

– Na razie wiemy tylko, że z niewyjaśnionych powodów, w tajemnicy przed rodziną, w nocy, wyjechał pan z kempingu w Wicierzy i pojechał do Piły. Nie wiemy, co pan tam robił, choć to zapewne kwestia czasu. W każdym razie w tym samym czasie z kempingu zniknęła Chrząstkiewiczowa, która, jak się okazało, została utopiona nie w morzu, ale w wannie – powiedział spokojnie jednym tchem Lew, wymawiając dokładnie każde słowo i patrząc na reakcję mężczyzny.

– Na kempingu wanien nie ma. Ktoś musiał załatwić ją więc gdzieś indziej, a potem jej ciało podrzucić na plażę – dopowiedziała Jowita.

– I co, niby ja jeździłem z jej ciałem przez pięć godzin w bagażniku? Po co? – prychnął Ziątek.

– Niech pan nam to powie – powiedział, przysuwając się jeszcze bliżej Lew. – Po co jechał pan w środku nocy do Piły?

– Jezu… Przecież to niedorzeczne. Nie możecie naprawdę myśleć, że ja… – zaczął.

– Z każdym kłamstwem pogarsza pan swoją sytuację – przypomniała mu Jowita.

– Dobra, dobra – powiedział Ziątek. – Chodzi tylko o to, żeby się Krystyna nie dowiedziała. To o nią chodzi.

– Mówi pan o swojej żonie?

– Tak. Ona… ja jej już nie mogę znieść. Ona wygląda niewinnie, ale naprawdę to ona jest straszna. Cały czas chodzi za mną, męczy mnie o wszystko. Zależy jej tyko na pieniądzach. Ciągle jej mało.

– Jaki to ma związek z nocą z soboty na niedzielę? – przerwał mu Lew.

– Bo ja założyłem taki mały interes za jej plecami. Chcę się uniezależnić. I ten interes jest na kogoś innego, na wspólnika, i jechałem do Piły, bo zapomniałem wcześniej podpisać takie upoważnienie, a w poniedziałek miało dojść do transakcji.

– I wspólnik jest w Pile? – zapytała Jowita.

– Nie, on jest z Poznania, ale spotkaliśmy się w połowie drogi, czyli w Pile.

– Dlaczego ukrywa pan swój nowy biznes przed żoną? – zapytał Lew.

– Podpisaliśmy intercyzę przed ślubem. Mój teść jest bardzo nieufny. Bogaci ludzie często tak mają. I sam pan rozumie – powiedział, zwracając się bezpośrednio do podkomisarza. – Nie mogłem tak po prostu się rozwieść. Zostałbym z niczym.

– Czyli podsumowując, wolał pan skłamać, że spotkał się pan z prostytutką, niż przyznać się żonie do tego, że ma pan interes na boku, na cudze nazwisko, który finansuje pan, jak mniemam, z pieniędzy teścia?

– No tak… – przyznał bez cienia skruchy.

– Czyli liczy pan, że teść zrozumie prędzej pana niewierność i ją wybaczy niż oszustwo finansowe?

– Mój biznes jest legalny – żachnął się Ziątek.

– Pański biznes za cudze pieniądze? – skwitowała Jowita.

– Potrzebujemy tu danych pana tajemniczego wspólnika. Musimy sprawdzić pana, już trzecią, wersję wydarzeń – powiedział Lew, podając mu kartkę.

– Będę mógł wyjść? – zapytał mężczyzna.

– Na razie nie. Musimy być pewni, że tym razem nie mija się pan z prawdą.

– Moja żona będzie się niepokoić. Pomyśli, że coś zrobiłem.

– I słusznie – powiedziała Jowita, biorąc ze stołu zapisaną przez niego kartkę.

Alibi podane tym razem przez Mariusza Ziątka się sprawdziło. Jego wspólnik potwierdził ich spotkanie. Co więcej, miał z niego nagranie głosowe, które zrobił swoim telefonem. Widocznie on również nie ufał Ziątkowi do końca i wolał mieć jakieś zabezpieczenie na przyszłość.

– Wykluczamy go? – zastanawiała się Jowita, gdy Lew wyłączył głośnik w telefonie i rozłączył się po rozmowie ze wspólnikiem.

– Chyba musimy porozmawiać raz jeszcze z synem Chrząstkiewiczowej – odparł Lew.

– To będzie proste – wtrącił się Kuna, który słyszał ich rozmowę. – Właśnie wszedł.

Lew odwrócił się do wejścia. Korytarzem szedł Tadeusz Chrząstkiewicz. Był ubrany w granatową marynarkę i wąskie sztruksowe spodnie.

– Wygląda, jakby szedł na wesele – powiedziała Jowita, zanim mężczyzna był na tyle blisko, by ich usłyszeć.

– Dzień dobry – przywitał się z nim Lew. – Zapraszam pana do biura. Dobrze, że pan przyszedł, bo chcieliśmy z panem porozmawiać. – Podkomisarz wskazał mu miejsce za stołem.

– Macie coś? – zapytał, siadając.

– Sprawdzamy – odparł wymijająco Lew. – Ale tak, są pewne przesłanki mogące kierować nas ku twierdzeniu, że w śmierć pana matki mogły być zaangażowane osoby trzecie, ale to jeszcze nie przesądza sprawy.

– Wiedziałem! – powiedział, uderzając otwartą ręką w stół w sposób niemal teatralny. – Wiecie, kto to był?

– Na razie staramy się odtworzyć to, co się działo w ostatnich godzinach przed śmiercią pana matki – powiedział Lew. – Wiem, że już był pan o to przez moją koleżankę pytany, ale teraz, przez wzgląd na te przesłanki, chciałem prosić pana, by ponownie się pan zastanowił, czy pani Chrząstkiewiczowa nie wspominała panu lub pana żonie o czymś, co ją niepokoi. Może coś, co miało związek z pieniędzmi?

– Z pieniędzmi? Moja matka nigdy nie miała kłopotów finansowych. Wręcz przeciwnie, zawsze była bardzo zaradną kobietą – odparł szybko mężczyzna.

– Właśnie o to mi chodzi.

– Mamy wyciąg z konta pańskiej matki – wtrąciła Jowita.

– Wyciąg z konta? – zdziwił się Chrząstkiewicz. – A po co wam on? Przecież to ją zamordowano.

– Szukamy motywu – odrzekł Lew.

– Myślicie, że ktoś jej coś zrobił ze względu na jej pieniądze? Że chodziło o wyłudzenie?

– Bierzemy pod uwagę motyw finansowy – powiedziała Jowita. – Wiemy, że ktoś wyciągnął trzy tysiące złotych z konta pańskiej matki już po jej śmierci.

Chrząstkiewicz znieruchomiał.

– Wiecie, kto to był? – zapytał, a podkomisarzowi się wydało, że usłyszał w jego głosie lekkie drżenie. Jowita otworzyła usta, chcąc powiedzieć o nagraniach z kamery na bankomacie, ale Lew ją uprzedził.

– Ten, kto to zrobił, myślał, że udało mu się uniknąć nagrania na kamerze w bankomatach, ale nie wiedział o tym, że monitoring zawsze jest też ustawiony na budynku obok – powiedział. – Na dniach mamy dostać obraz z tych kamer, więc będziemy wiedzieli z całą pewnością, kto wyciągał gotówkę za pomocą kart.

– To byłem ja – przerwał mu syn denatki.

– Pan? – zapytała Jowita. Lew pokiwał głową.

– Znałem PIN do karty mamy. Mama dała mi karty, bo tego dnia chciała wyciągnąć gotówkę, a powiedziałem jej, że będę robił zakupy i przy okazji wyciągnę.

– I dlatego zakleił pan kamerę gumą do żucia? – wtrąciła Jowita.

– Ja… ja nie lubię, gdy mnie ktoś filmuje. Jestem nieufny. To wszystko.

– I zawsze pan tak robi, gdy wyciąga pan gotówkę z bankomatów? – zapytał Lew, odchylając się do tyłu na krześle.

– Tak.

– A tamtego dnia rano poszedł pan najpierw zobaczyć, jak się ma pana matka, i odkrył pan, że jej nie ma w domku, czy najpierw pan wybrał pieniądze z jej karty? – ciągnęła Jowita.

– Najpierw poszedłem do matki… Nie, chyba wracając z bankomatu poszedłem do niej… Nie pamiętam. Czy to ważne?

– Nie pamięta pan, co pan robił, gdy odkrył, że pana matka nie wróciła na noc do domku? – zapytała z wyraźnym powątpiewaniem Jowita.

– O co pani chodzi? No nie pamiętam i już. To dla mnie był bardzo trudny dzień – powiedział powoli, starając się powstrzymać rosnące w nim emocje.

– Jeżeli potwierdzi się przypuszczenie, że pana matka została zamordowana, to fakt, co pan robił rano, może mieć bardzo duże znaczenie – powiedziała Jowita.

– Grozi mi pani? – wybuchnął Chrząstkiewicz. – To ja chciałem śledztwa w sprawie śmierci mojej matki. Jestem ostatnią osobą, która chciałaby jej śmierci!

– W zeszłym roku pańska matka przelała panu znaczne kwoty pieniędzy. W tym już nie. Może jednak był jakiś zgrzyt między wami? – pytała dalej Jowita.

Chrząstkiewicz zrobił się czerwony na twarzy.

– Nikt panu nie grozi – uspokajał go Lew. – Takie szczegóły są ważne w dochodzeniu do prawdy, to wszystko. Moja koleżanka nie miała niczego innego na myśli.

– To dobrze – powiedział, wstając i ruszając w kierunku wyjścia.

– Panie Chrząstkiewicz – zatrzymał go Lew. – W jakiej sprawie pan dzisiaj tu przyszedł?

– No tak, przez to wszystko zapomniałem – zawrócił. – Chciałem zapytać, czy możemy pochować moją mamę. To jest dla całej rodziny koszmar. Chcielibyśmy zacząć przygotowania do pogrzebu.

– Rozumiem – odpowiedział Lew. – Niestety. Na razie ciało pana matki musi zostać w prosektorium. Dam panu znać, kiedy zostanie wydane.

– Dziękuję – odparł mężczyzna, po czym wyszedł.

– Robert, myślisz, że to on? – zapytała Jowita.

– Myślę, że trzeba sprawdzić dokładniej ich sytuację finansową – odrzekł podkomisarz. – Ale faktem jest, że to przez niego tu jestem. Po co by naciskał na kogoś z Warszawy, jeśli sam załatwił mamusię.

– Pojadę pod te bankomaty. Może tam jest gdzieś w okolicy faktycznie jakaś kamera.

– Sądzisz, że kłamał? – zapytał Lew.

– Nie wiem, wszystko w tej sprawie jest jakieś niejasne i nie trzyma się kupy. Nawet to, że on zasłaniał te kamery. Po co to robił. Nie wierzę w tę jego bajeczkę, że robi tak zawsze.

– Ja też nie. To jedź. Ja też sprawdzę jedną rzecz – powiedział Lew.

Spojrzał na zegarek. Miał wrócić na kemping, zbliżała się pora kolacji, ale jedna myśl nie dawała mu spokoju. Wyszukał w telefonie numer prosektorium, by sprawdzić, czy ktoś będzie o tej porze mógł go jeszcze wpuścić. Odebrał ten sam pracownik, którego spotkał ostatnio. Obiecał zaczekać.

# Rozdział 13

Miesiąc, nawet w chłodni, zmienia znacząco wygląd ciała. Kobieta miała pięćdziesiąt osiem lat, zgodnie z tym, co wyczytał Robert Lew z jej karty. Zapewne jej ciało w obecnym stanie nie odzwierciedlało w żaden sposób tego, jakie wrażenie robiła za życia. Jedynie, co Lew mógł zaobserwować, to to, że kobieta była umięśniona, miała bujne kształty, szerokie biodra, zdawała się być w dobrej kondycji fizycznej. Była dosyć wysoka, miała gęste włosy. To mogło sprawiać, że wyglądała młodo jak na swój wiek. W Warszawie nie spotykał jednak prostytutek powyżej czterdziestki. Może klientela była inna, a może kobiety w tym wieku, trudniące się tym zawodem, nie stały już na ulicy ani nie pracowały w klubach.

Lew w ciszy przyglądał się jej ciału.

– Macie zdjęcia zaraz po znalezieniu jej zwłok? – zapytał.

– My? – zdziwił się stojący obok pracownik. – My nie. I wątpię, że ktokolwiek je zrobił.

– Czy te ślady na nadgarstku to sińce? – zapytał podkomisarz o ciemniejsze miejsca na ręce.

– Możliwe.

– Ale pewności pan nie ma?

– Nie mam. Na rękach są plamy opadowe. Poza tym, jak mówiłem w czasie naszego pierwszego spotkania, nie jestem lekarzem medycyny sądowej ani patomorfologiem. Tylko pracownikiem chłodni.

– Tak, jej plamy opadowe bardziej pokrywają się z tym, czego spodziewałbym się przy plamach po utonięciu w morzu – powiedział Lew bardziej do siebie niż do stojącego obok mężczyzny. Wziął przez niebieskie rękawiczki dłoń denatki do ręki i zaczął ją oglądać. Miała idealnie pomalowane na czerwono długie paznokcie. Nie było na nich śladu wpływu słonej wody ani niczego innego.

– W to była ubrana? – zapytał Lew, patrząc na białą sukienkę.

– Nie. Jej koleżanka, zdaje się, przyniosła te ubrania, a wynajęta przez jej siostrę firma pogrzebowa przygotowała ciało do wydania. Ostatecznie nie wydaliśmy ciała, bo ta siostra, która ma przyjechać ze Stanów, zachorowała, a ktoś z rodziny musi dokonać rozpoznania.

– Czyli została umyta… Ona ma coś pod paznokciami. Dwa paznokcie są krótsze. Pewnie były złamane, a oni je tylko spiłowali, a potem pomalowali, żeby lepiej się prezentowały. Poda mi pan jakąś próbówkę?

Pracownik prosektorium zniknął na chwilę z pomieszczenia, po czym wrócił z próbówką i patyczkiem. Pobrał materiał i opisał próbówkę, nadając jej numer z karty kobiety.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał.

– Proszę wysłać do Zakładu Medycyny Sądowej i sprawdzić na obecność obcego DNA.

– Ci z zakładu pogrzebowego sporo się natrudzili, by jej ciało tak dobrze się prezentowało – powiedział pracownik, odkładając torebkę na bok. – Kiedy do nas przyjechała, to była masakra. Idę o zakład, że w środku ma wszystkie kości połamane.

– Dlaczego tak pan sądzi? – zapytał Lew.

– Niech pan sam spojrzy – powiedział pracownik, odpinając guziki sukienki, pod którą znajdowało się coś w stylu gipsowego opatrunku. – A na udzie to miała wielką ranę z wystającą kością. Podobno w nocy, kiedy się utopiła, był sztorm, i to przez siłę fal, które uderzały jej ciałem o skały, tak ją przemaglowało.

Lew uniósł sukienkę, by spojrzeć na szramę na udzie. Zamiast tego znalazł tam ślad po szyciu.

– To też robota tych z zakładu pogrzebowego? – zapytał.

– Tak. Zawsze tak robią, jak dostają ciało po wypadkach. Kiedyś jednemu gościowi do trumny to całą nogę zrobili, bo urwało mu w trakcie wypadku motocyklowego i nie mogli jej znaleźć.

– Czy zaskoczyło pana to, jak wyglądało ciało denatki? – zapytał Lew.

– Panie, mnie już nic nie zaskoczy – odparł pracownik, zakrywając ciało Katarzyny Bierat. – Chce pan jeszcze coś sprawdzić?

– Nie, wezmę tylko dane denatki z karty i wychodzę. Dziękuję za pana czas – odparł Lew, wyciągając swój telefon i fotografując jej kartę.

Spojrzał jeszcze raz na jej zapadnięte teraz oczy. Jej twarz wyglądała na umęczoną. Podkomisarz wiedział jednak, że to tylko wrażenie, i to, jak teraz wygląda, nie ma wiele wspólnego z tym, jak czuła się zaraz przed śmiercią i wyglądała krótko po niej. Mimo wszystko był to widok, który wwiercał mu się coraz bardziej w pamięć. Odruchowo przetarł twarz. W samochodzie chwycił za telefon i zadzwonił do Jowity. Musiał jej powiedzieć o wysłaniu próbek spod paznokci do badania. Chciał też się dowiedzieć, dlaczego nie zrobiono jej sekcji zwłok. Nie dowiedział się jednak zbyt wiele. Ku jego zdziwieniu Jowita zaczęła szlochać. Umówił się z nią w barze, który widział po drodze, a który wyglądał na względnie przyjemne miejsce. Przyszła dopiero po trzydziestu minutach. Wyglądała na bardzo przybitą.

– Myślisz, że to ten sam człowiek? – zapytała, zamawiając dwie setki.

– Nic na razie nie myślę – odparł. – Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego mi o tej kobiecie nie powiedziałaś wcześniej. Obie umarły w podobnym wieku, ich ciała znaleziono na plaży przed południem kolejnego dnia od zaginięcia.

– Ja… ja po prostu o tym nie pomyślałam. Tu co roku ktoś się topi. To Pomorze w końcu. Tak jak u was są wypadki samochodowe, u nas utonięcia.

– Rozumiem, ale wiedziałaś, że to prostytutka. Kobiety pracujące w ten sposób są częściej narażone na przemoc. Miała zaciemnienia w okolicach nadgarstków…

Jowita zwiesiła głowę. Lew zauważył, że jej kark lekko drga. Zastanawiał się, czy znowu się rozpłakała i co powinien zrobić. Nie cierpiał partactwa w pracy, ale Jowitę z jakiegoś powodu bardzo polubił niemal od pierwszego dnia. Była ciepła i radosna, a teraz wyglądała jak zraniony mały ptaszek. Chciałby ją przytulić, ale wiedział, że mogłaby to źle zrozumieć. Nie powiedział więc już więcej nic, tylko zamówił kolejną kolejkę wódki. Pili razem tak długo, aż Lew uznał, że pora, by odwieźć ją do domu. Zamówił taksówkę i poczekał, aż dojdzie pod drzwi. Potem sam pojechał taksówką na kemping. Słona i chłodna bryza znad morza pobudziła go, gdy wysiadał. Było całkiem ciemno. Na kempingu była tylko jedna latarnia, której słabe światło oświetlało jedynie wjazd. Lew potknął się parokrotnie, nim w końcu dotarł do swojego domku. Wszedł do środka i zaczął się nieporadnie przebierać. Po chwili dopiero usłyszał ciche chlipanie syna.

– Niko? Nie śpisz?

– Jak mogłeś nie wrócić? – zapytał Mikołaj, siadając na łóżku. – Gdzie byłeś?

– W pracy – wymamrotał Lew, siadając na łóżku syna.

– Ale cuchniesz. Piłeś. Wcale nie byłeś w pracy.

– Byłem, ale coś się stało i musiałem pomóc…

– Dobra, daruj sobie – powiedział Mikołaj, kładąc się z powrotem do łóżka.

– Hej, nie gniewaj się – odparł Lew, pochylając się nad nim, ale syn odepchnął go ręką.

– Nie przybliżaj się. Śmierdzisz wódką. Daj mi spokój.

– Dobra, jak chcesz – odparł podkomisarz. – Nie chcesz nic ze mną robić, jak jestem tu, ale obrażasz się śmiertelnie, jak muszę iść do pracy.

– Jest noc, tato! Nawet nie zadzwoniłeś! Naprawdę nie widzisz różnicy?! – krzyknął.

– Nie tak głośno! Te ściany są z tektury. Pobudzisz wszystkich. I dobrze… przepraszam cię. Powinienem był pomyśleć, że będziesz się o mnie martwił. W końcu mam takiego troskliwego syna.

Mikołaj westchnął głośno.

– Wzdychasz zupełnie jak twoja matka – powiedział Lew i od razu pożałował swoich słów.

– A ty się zachowujesz zupełnie tak jak przed jej śmiercią – odparł syn. – Czyli do dupy.

# Rozdział 14

*Ludzie wydawali się tacy bezmyślni. Widział, jak czytali mądre poradniki o tym, jak dobrze żyć, po czym, bez żadnego skrępowania, kupowali paczkę chipsów. Oglądał, jak wydają swoje pieniądze na niepotrzebne drobiazgi, choć chwilę wcześniej słyszał, jak narzekają na długi. Był świadkiem, jak rodzice, którzy po wypiciu paru piw, zataczając się, mówili swoim dzieciom o tym, by uważały przy wchodzeniu do morza. Widział to wszystko każdego roku, a jednak za każdym razem tak samo go to zaskakiwało. On sam zawsze starał się być uważny i rozważny. Wiedział, co i ile czego powinien jeść. Z tygodniowym wyprzedzeniem przygotowywał sobie rozpiskę wszystkiego, co musi kupić, po czym starannie wydzielał sobie porcje na każdy posiłek. Szczególną przyjemność sprawiało mu ważenie i dokładne krojenie warzyw i owoców, tak by każdego dnia jeść dokładnie pięć porcji, tyle, ile jest rekomendowanych. Każdy rozsądny człowiek powinien tak robić, on jednak nie znalazł nawet drugiego sobie podobnego, który z taką sumiennością przykładałby się do zaleceń Instytutu Zdrowia.*

*Już jako dziecku wtłoczono mu, że jedynie ci, którzy przykładają się i stosują do zasad, zajdą wysoko. Wtłoczono mu to słowem i ciężką ręką wielu opiekunek w licznych instytucjach opieki zastępczej. W końcu w domu dziecka, w którym mieszkał do skończenia piętnastu lat, wyjaśnili mu, jaka zasada była najważniejsza, a brzmiała ona: „Nie wychylać się". Nauczył się jej i stosował każdego dnia. I szybko stał się najlepszy. Był do tego stopnia „niewychylającym się dzieckiem", że część opiekunów nie mogła zapamiętać jego imienia. Nie było potrzeby. On zawsze wstawał o właściwiej porze i zjawiał się w jadalni. Sam się ubierał i pakował. Po szkole odrabiał lekcje i nigdy nie spóźniał się ani na obiad, ani na kolację. Sprzątał parę zabawek, które miał. Otrzymywał oceny na tyle średnie, że jego nauką nigdy nikt nie musiał się zajmować. Nie był wybitnym uczniem, któremu ktoś chciałby poświęcić więcej czasu. Nie był też uczniem miernym, z którym trzeba było coś nadrabiać. Jedyne, z czym sobie nie radził i nad czym nie miał kontroli, to swój pęcherz. Moczenie łóżka było jego jedyną przywarą, ale i z nią sobie szybko dał radę. Gdy wszyscy w pokoju zasnęli, ściągał prześcieradło, spodnie od piżamy odkładał na bok łóżka i kładł na materac worek na śmieci. Nastawiał sobie budzik na pół godziny przed*

*innymi. Dawało mu to czas na ponowne zaścielenie łóżka i ubranie się. Kiedy o szóstej trzydzieści przychodziła opiekunka, siedział w piżamie na swoim łóżku i przeciągał się, jakby dopiero się obudził. Ponieważ tak dobrze mu wychodziło dostosowanie się do wszystkich panujących zasad, był przekonany, że czeka go życie pełne sukcesów. Rozczarował się jednak. Jego życie było pełne porażek i goryczy. Nie mógł tego długo zrozumieć. Nie poddawał się i ciągle próbował. Każde kolejne przedsięwzięcie było jednak coraz większą klapą. Największy szok przeżył, odkrywając, że jego kolega z domu dziecka, Piotrowski, który jako dziecko był największą czarną owcą, ma wszystko to, czego on sam pragnął. Spotkali się przypadkiem w urzędzie pracy. Zauważył go, bo mówił głośno do pani w okienku. Zawsze taki był. Już gdy był dzieckiem, było go słychać nawet przez zamknięte drzwi. Zawsze o coś prosił, czegoś się domagał. Gdy przez jeden rok siedzieli koło siebie w jadalni, on zawsze prosił o dokładkę. Było w tym coś nieprzyjemnego. Wszystkie dzieci wiedziały, że tego, co najsmaczniejsze, nie ma zbyt wiele. Stosownie było więc prosić o dokładkę co parę dni, tak by każdy miał szansę coś dla siebie uszczknąć. On jednak prosił o dokładkę każdego dnia. Nie zawsze ją dostawał, ale niezrażony, prosił zawsze, przez co summa summarum dostawał i tak częściej od innych. Było w tym coś odrażającego. Jeszcze gorzej było w szkole. Nie był wybitny. Właściwie to był całkiem średnim uczniem, ale robił tyle szumu wokół swojej średniości, jakby co najmniej był geniuszem. Przy każdej trójce płakał, przy dwói dostawał prawdziwych spazmów. Poprawiał każdą ocenę tygodniami, aż udręczeni nauczyciele dawali mu w końcu taką, jaka go satysfakcjonowała, nawet jeżeli do końca nie nauczył się niczego. I po latach ten sam człowiek odnosił sukces właściwie na każdym polu, tak rodzinnym, jak i zawodowym. Wypili razem kawę. Następnego dnia zaprosił go na obiad i zaproponował wspólną pracę. Zakała stał się jego ostatnią deską ratunku. Przyjął pomoc. Zaczął go też bacznie obserwować. Musiało mu coś umykać, coś ważnego. Jakaś zasada, reguła, której nie pojął za młodu. W starych szpargałach znalazł jego zdjęcie z dzieciństwa. Powiesił je nad stołem, przy którym pracował. Obok powiesił drugie, które wziął z jego biurka, kiedy ten nie patrzył, gdy podpisywali dokumenty. Między dwoma zdjęciami narysował kredą linię. Co stało się w tym czasie, co tak odmieniło życie tego mężczyzny, a jego ominęło? To była zagadka, którą zamierzał rozwiązać.*

# Rozdział 15

– Jeszcze czterdzieści okrążeń, panienki – powiedział ktoś za oknem. Było słychać tupot nóg. Ktoś się przewrócił i zapłakał. Nie było słychać jednak żadnych słów pocieszenia.

– Wstawaj i biegnij! No chyba że nóżki już bolą i wolicie jednak powiedzieć, kto zwinął to piwo ze sklepu?

Była noc, choć mrugające światło jedynej latarni na kempingu przedostawało się przez cienkie zasłony do ich pokoju. Lew przetarł oczy i spojrzał na telefon. Była trzecia nad ranem. Usiadł na łóżku i odchylił ręką zasłonę. Przed oknem po betonowym placu biegała w kółko piątka dzieciaków. Co okrążenie robili dziesięć pompek, które głośno odliczał siedzący na ławce trener. Wśród biegnących Lew rozpoznał chłopca, którego dzień wcześniej przyłapał na kradzieży w sklepiku. Dzieciaki wyglądały na wykończone. Podkomisarz wstał i otworzył drzwi, które skrzypnęły. Chłopiec, biegnąc dalej po okręgu, spojrzał na Lwa przestraszony.

– Przepraszam, że obudziliśmy – powiedział trener, podnosząc rękę.

– Nocny trening? – zapytał Lew.

– Jeden z nich coś przeskrobał, ale żaden nie chce się przyznać – odparł trener.

– Odpowiedzialność zbiorowa? – powiedział Lew.

– Lepsza taka niż żadna. Ktoś tym dzieciakom musi jakoś wtłoczyć zasady do głowy.

– Jest trzecia nad ranem, nie da się tego przesunąć na jakieś bardziej ludzkie godziny?

– Da się, tylko wtedy słabiej wsiąka, że tak powiem – zaśmiał się trener. – Zresztą, proszę mi wierzyć, lepiej, gdy teraz pana obudzą, biegając, niż za dziesięć lat kradnąc panu samochód.

Lew wątpił, że któreś z biegnących dzieciaków połakomiłoby się na jego samochód, nawet gdyby zostawił go z kluczykami w stacyjce, ale z drugiej strony,

kto wie. Może trener miał rację i zasady należało wtłaczać siłą? Lew wrócił do łóżka i spojrzał na śpiącego po drugiej stronie syna. Był zaledwie o głowę niższy od niego, a stopę miał już o dwa numery większą. Jemu też przydałyby się pewnie jakieś zasady, zanim wyrośnie na wielkiego byka i będzie chciał rozdawać karty w domu. Podkomisarz sam dobrze pamiętał moment, w którym jego ojciec się zorientował, że jego syn go nie tylko przerósł, lecz także jest od niego silniejszy. Lew miał wtedy niespełna dziewiętnaście lat i w ciągu jednego lata z chuderlawego chłopca przeistoczył się w silnego mężczyznę. Znając pewnie porywczość Roberta, która dawała się we znaki już w jego wczesnych latach, i wiedząc, że żaden z jego kolegów nie odszedł bez sińca pod okiem po powiedzeniu czegoś obraźliwego, ojciec już więcej nie użył argumentu siły. Nie chciał sprawdzać, czy jego własny syn byłby skłonny do siłowych metod wyrównywania porachunków również w kierunku członka swojej rodziny. Od tamtej pory zasady panujące w domu rodziców powoli zaczynały być przez syna kwestionowane. W końcu ojciec tego nie wytrzymał i kiedy młody Lew je złamał po raz kolejny, po prostu kazał mu poszukać sobie nowego mieszkania. W domu władca mógł być tylko jeden. Mikołaj w niczym nie był podobny do niego, ani emocjonalnie, ani fizycznie. Niemniej jednak zasada ta zdawała się tak samo działająca, z tą tylko różnicą, że do tej pory Lew nie egzekwował właściwie żadnych zasad od swoich dzieci, a w przypadku Mikołaja mogło być to równie katastrofalne w skutkach, jak było w przypadku jego starszej córki.

– Chcesz mi coś powiedzieć, czy będziesz tylko tak tu płakał – usłyszał Lew zza okna. – No dobra, jak nie, to jeszcze sto kaczuszek migiem. Macie na to pięć minut. Jak się komuś nie uda, to wszyscy robicie tu dodatkowe dziesięć okrążeń.

Lew położył się na łóżku. Cerata, w którą był owleczony materac, zaszeleściła. Próbował się ponownie wygodnie ułożyć. W domku było duszno, a jego bolała głowa. Czas płynął wyznaczany odliczaniem trenera za oknem. W końcu odliczanie ucichło. Ktoś musiał się przyznać albo trener uznał, że zasady wsiąkły wystarczająco głęboko. Sen jednak nie nadchodził. Lew przekręcał się z boku na bok, aż zadzwonił telefon. Podniósł go. Była już siódma. Laboratorium potwierdziło, że pod paznokciami prostytutki był materiał organiczny, który mógłby świadczyć o tym, że się broniła. Przez upływ czasu i działanie wody morskiej oraz środków użytych przez zakład pogrzebowy nie byli w stanie określić DNA. Prawdę mówiąc, nie byli nawet w stanie określić, czy materiał pochodzi od

człowieka. Równie dobrze kobieta mogła przed śmiercią wbić swoje paznokcie w panierowanego kurczaka, którego jadła na obiad. Ale trop to trop. A ten, zważywszy na okoliczności, musiał zostać sprawdzony. Lew poderwał się więc z łóżka i pospiesznie ubrał. Zadzwonił do Jowity, mówiąc jej o tym, czego się dowiedział, i prosząc, by przyjechała. Przed wyjściem obudził Mikołaja. Zostawił mu pieniądze na coś drobnego. Wychodząc, zobaczył bawiącą się radośnie grupę dzieci. Kolorowymi farbami malowały wzory na swoich twarzach, rechocząc przy tym głośno. Nie wyglądały jak poważna młodzież z obozu karate.

– Nowi? – zapytał przechodzącą koło wyjścia z kempingu właścicielkę.

– A dzień dobry, podkomisarzu. Tak, nowa kolonia przyjechała wczoraj wieczorem. Urocze dzieciaki. Kiedy wyjadą, będziemy mieli masę sprzątania – powiedziała pani Irenka.

– Dlaczego?

– Bo to obóz artystyczny. Oni zawsze się głośno śmieją, tańczą i malują po wszystkich płaskich powierzchniach na terenie obozu. Fajnie to wygląda przez pierwszy tydzień, a później zostają takie rozmazane kolorowe plamy, które musimy z mężem szczotką ścierać.

– A oni tego nie mogą zrobić? – pytał Lew, rozglądając się, czy przypadkiem nie pojawił się już samochód jego koleżanki.

– No mogą, mogą, i zawsze pytają, czy to zrobić, ale wie pan, jak to jest… przecież ja im nie powiem, żeby własne dzieła zmywali. Dzieciakom tylko smutno by się zrobiło.

– Rozumiem. No nic, muszę lecieć – powiedział Lew.

– Panie podkomisarzu, tak sobie myślałam o pana synu – zatrzymała go.

– O Mikołaju?

– No tak, on tak siedzi tam w tym domku sam… może powie mu pan, żeby przyszedł na świetlicę? Tam mamy bilard i inne gry.

– Samemu w bilard i tak nie pogra – odparł Lew.

– No tak, ale na świetlicy zawsze są jakieś dzieciaki. Poznałby kogoś i od razu by mu było raźniej.

– Ma pani rację. Dziękuję, powiem mu – odparł Lew, po czym ruszył w kierunku samochodu Jowity, który stał zaparkowany tuż przed bramą.

– Cześć – powiedziała, gdy wszedł. – Mam kawę w termosie. Chcesz?

– Chętnie. Właściwie to jeszcze nic nie piłem – odparł.

– To częstuj się. W schowku mam plastikowe kubki – odparła. – Gdzie chcesz jechać?

– Pokaż mi najpierw, co masz z tamtej sprawy – powiedział Lew, nalewając sobie ciemny płyn do kubka.

– Właściwie to nie było sprawy. Jej ciało dryfowało przy brzegu, kiedy ją znaleziono – powiedziała Jowita, otwierając teczkę opatrzoną nazwiskiem „Katarzyna Bierat". – Była ubrana w strój kąpielowy. Kilometr dalej znaleźliśmy na plaży jej ubrania.

– Skąd wiecie, że jej?

– Koleżanka, która z nią mieszkała, je rozpoznała.

– Pracowała tamtego wieczora? – pytał Lew.

– Nie wiadomo – odparła Jowita.

– Nie wiadomo, bo nikt nie zapytał, czy nie wiadomo, bo nikt nie wiedział? – dopytywał.

– Robert, słuchaj, ja wiem, że teraz to wygląda jak fuszerka, ale gdy ją wyławialiśmy, to nic nie wskazywało… zrozum, była w stroju kąpielowym, a w dodatku była znana z tego, że lubiła wypić.

– Ja słyszałem coś innego – powiedział Lew, starając się, by jego głos brzmiał możliwie łagodnie.

– Co słyszałeś?

– Że dbała o siebie, morsowała tak jak ty. Ktoś, kto przebiera się do kąpieli w morzu w nocy, raczej nie pływa pod wpływem.

– Ja za to znałam tę kobietę osobiście – odparła Jowita, podnosząc głowę wysoko do góry, jakby starała się dodać sobie tym odwagi i pewności siebie. Jej włosy nie miały już tak płomiennego koloru. Widocznie przemyła je parę dobrych razy, by farba puściła. Kolor był lepszy, ale przesuszone włosy zaczęły się puszyć. – Może nie widziałam, jak przeszła tę radykalną metamorfozę ostatnio i stała się guru zdrowego stylu życia wśród lokalnych prostytutek, ale pamiętam, jak pijaną i obrzyganą wyciągałam ją z rowu, gdy po udanej nocy przepijała wszystko, co zarobiła.

– Jasne, rozumiem – odpowiedział Lew. – Ja pewnie też dałbym sobie ręce odciąć, że to był wypadek, i może był! Wciąż nie mamy pewności, że któraś z tych kobiet została zamordowana. To mogły być nieszczęśliwe wypadki albo zwykłe utonięcie. To wszystko.

– To gdzie chcesz jechać?

– Zabierz mnie najpierw tam, gdzie znaleziono ciało Bierat.

– Dobrze. Po drodze, jeżeli nie masz nic przeciwko, wstąpię w jedno miejsce.

– Po drożdżówki? – zapytał Lew.

– Jeśli jesteś głodny, to wyciągnij sobie ciasto z mojego plecaka – powiedziała, podając mu go na kolana.

– Jesteś super – odrzekł Lew.

– Mam zgłoszenie. Nic ciekawego, tylko muszę kogoś uspokoić. To potrwa minutkę.

– Nie ma sprawy. Nie śpieszymy się dzisiaj.

Ruszyli. Samochód jechał wolno ścieżką wzdłuż wydmy, omijając powoli budzących się wczasowiczów.

– Co będzie z ciałem tej prostytutki, Katarzyny Bierat? – zapytała.

– Wysłałem je, żeby zrobili sekcję. Może na coś trafią – odpowiedział, starając się jednocześnie, by kruszonka z ciasta nie spadała na tapicerkę fotela. – Daleko jedziemy?

– Nie, parę kilometrów tylko. Skręcamy tu, w pola. Na końcu jest taki samotny dom.

– Kto tam mieszka? – pytał Lew z czystej ciekawości oraz po to, by rozluźnić napiętą atmosferę, która pojawiła się nagle miedzy nim a Jowitą.

– Starsza już pani. Samotność jej doskwiera.

– No tak… uwielbiam takie wezwania.

Jowita po chwili zaparkowała przed niebieskim płotem, za którym rosły polne kwiaty. Dom był spory, choć tylko jego dolne piętro, z odpadającym tynkiem o mdłym różowym kolorze, wydawało się wykończone i zamieszkałe. Pierwsze piętro oraz poddasze pozostały nieotynkowane. Gdy tylko zatrzymali samochód, do bramki podeszła chwiejącym się krokiem staruszka. Nie miała zębów, a jej zapadnięta przez to twarz wyglądała żałośnie. Choć tego dnia było co najmniej

dwadzieścia pięć stopni, kobieta miała na sobie sweter i kamizelkę. Lew opuścił okno do połowy. Jowita wyszła z samochodu.

– Dobrze, że jesteście! – krzyknęła zaskakująco mocnym głosem. – Czekałam i czekałam!

– Co się znowu dzieje, pani Burzyńska – zapytała Jowita, podchodząc do niej.

– Kurwy! Kurwy na poddaszu! – powiedziała staruszka. – Dobrze, że pani przyjechała z tym drugim, to je przepędzicie.

– Niech się pani uspokoi. Pani Burzyńska, co się dzieje z tym poddaszem? Ktoś się włamał?

– Nie włamał – odpowiedziała. – Wchodzi tam taki jeden i z kurwami się kurwi całą noc. Spać nie mogę. Słyszę to całą noc!

Jowita podrapała się po głowie i sprawdziła godzinę.

– Chce pani, żebym teraz zajrzała na to poddasze z panią?

– Przed chwilą tam byłam i nikogo nie ma. W nocy musicie się zaczaić, żeby te kurwy złapać. To przecież tak nie może być, żeby ludziom do domu wchodziły!

– Czyli tylko w nocy panią niepokoją? – dopytywała Jowita.

– No w dzień to ja często w ogrodzie jestem, to nic nie słyszę – odparła.

– Myślę, że to mogą być zwierzęta – powiedziała Jowita.

– No zachowują się jak zwierzęta! – krzyknęła ponownie głośno staruszka.

– Chodzi mi o to, że na poddaszach i strychach często hałasują nocą kuny, nie kurwy, rozumie pani?

– Kuny? – powtórzyła za nią staruszka.

– Tak, takie małe futrzaki.

– Żarty sobie pani ze mnie robi? – powiedziała Burzyńska, ściągając mocno brwi, jakby próbowała zobaczyć policjantkę wyraźniej.

– Pani Burzyńska, przecież mieszka tu pani całe swoje życie. Tu jest spokojnie, nic się nie dzieje. Niech się pani nie denerwuje, a na poddasze najlepiej jakąś łapkę kupić, na kuny albo szczury – odparła Jowita, wracając do samochodu. – Wszystko dobrze. Zdrowia życzę.

Ruszyli dalej.

– Nieważne, czy to duże miasto, czy wieś z jedną ulicą, wszędzie jest tak samo – powiedział Lew na tyle cicho, że Jowita nie miała pewności, czy w ogóle mówi do

niej.

– Tak samo, czyli jak?

– Wszędzie są takie samotne staruszki, które wzywają policję albo straż, albo ratowników, bo po prostu chcą z kimś porozmawiać. Wszędzie jest tak samo wiele osób samotnych – odparł.

– Coś w tym jest – odburknęła. – Choć w przypadku Burzyńskiej to nie wiem, czy bardziej doskwiera jej samotność, czy choroba psychiczna. Ona miała liczną rodzinę, ale wszystkich po kolei z tego domu wyrzucała. Teraz jest sama, ale gdyby chciała, to by nie była. To był i jest nadal jej wybór.

– Nie lubisz jej – stwierdził Lew.

– Chyba nie, ale na szczęście to nie ma znaczenia – zaśmiała się.

– Myślałem, że ty lubisz wszystkich – powiedział podkomisarz.

– Sądzisz, że jestem naiwna? – zapytała.

– Nie. Po prostu masz coś w sobie takiego otwartego i nie jest to ani wyuczone, ani na siłę. To jak kolor twoich włosów, po prostu jest. Polubiłem tę twoją cechę. Nawet może ci jej zazdroszczę.

– Sporo coś mnie analizowałeś jak na to, że pracujemy ze sobą dopiero parę dni.

Lew wzruszył ramionami.

– Nie ma w tym żadnego podtekstu. To chyba moje skrzywienie zawodowe, ale lubię wiedzieć, z kim pracuję. Na innych ludzi, których spotykam codziennie, praktycznie nie zwracam uwagi. Nie mam pojęcia na przykład nawet, jak ma na imię kobieta, która od dwudziestu lat pracuje w warzywniaku przed komendą w Warszawie, a codziennie u niej coś kupuję.

– Tutaj znaleźliśmy jej ubrania – przerwała mu, wskazując na małą dróżkę między drzewami na wydmach, prowadzącą na plażę. – Chcesz zobaczyć?

– Jasne, skoro tu i tak jesteśmy – odparł. Zaparkowali samochód i wysiedli. Wejście na plażę było dzikie, wytyczone jedynie przez stopy zapuszczających się w te rejony wczasowiczów. Lew rozejrzał się dookoła.

– Kto przychodzi tu na plażę? Po drugiej stronie drogi jest las, nie widać żadnych domków ani kempingów.

– Jest jeden kemping harcerski położony jakieś siedemset metrów stąd. Oni przez tę leśną dróżkę mają pewnie tu najbliżej do morza, a ludzi też tu mniej niż

gdzie indziej.

Na plaży było całkiem pusto, chociaż pogoda była idealna. Na niebie nie było ani jednej chmury, a woda stała spokojnie, sprawiając, że morze przypomniało teraz bardziej ogromne, bezkresne jezioro.

– Czyli jeżeli to nie był wypadek, to morderca wybrał to miejsce albo dlatego, że jest odosobnione, albo dlatego, że ma tu blisko – powiedział Lew.

– Albo dlatego, że ona lubiła tu przychodzić. Może za nią poszedł i zabił ją na plaży. Miała w końcu na sobie strój kąpielowy.

– Mogło tak być, ale nie sugerowałbym się tym zbytnio. Mogła mieć strój kąpielowy pod ubraniem i przebierać się w niego albo już w domu, albo w swoim samochodzie, jeżeli go posiadała. Przebieranie się wieczorem może nie być zbyt przyjemne, nawet dla morsów. W końcu na plaży często wieje, a kiedy ona zginęła, był czerwiec. Ile było wtedy stopni? Pewnie nie więcej niż piętnaście.

– W czerwcu dni były ciepłe, ale noce i poranki jeszcze chłodne – odparła Jowita, po czym wyciągnęła przed siebie dłoń i wskazała palcem jakiś odległy punkt po ich prawej stronie. – Wyłowiono ją tam.

– A Chrząstkiewiczową? – zapytał Lew.

– Tam – odparła Jowita, pokazując ręką w lewą stronę.

– Możesz sprawdzić kierunek i siłę wiatru w dniach ich zaginięcia?

– Co do Chrząstkiewiczowej, to mam gdzieś w notatkach. Ktoś nawet to przeliczał na metry, to znaczy ile mogło przepłynąć ciało… gdzieś mam w mailach – powiedziała, szukając informacji w telefonie.

– Pamiętasz, gdzie dokładnie znaleziono ciało Bierat?

– Tak.

– Poprowadź mnie plażą – poprosił Lew, po czym zaczął stawiać duże kroki i je liczyć. Przestał liczyć dopiero, gdy dotarli na wskazane przez Jowitę miejsce. – Osiemset czterdzieści trzy metry.

– Siła wiatru była znacznie większa, ale znalazłam wzór… – powiedziała, wpisując dane do kalkulatora na telefonie. – Wychodzi mi, że jeżeli ciało wrzucono w tamtym miejscu, z którego ruszyliśmy, to dryfowało osiem godzin. Musiała więc utonąć albo zostać wrzucona o poranku, koło piątej rano.

– Jaki to był dzień tygodnia? – zapytał Lew.

– Biernat znaleziono w czwartek, a Chrząstkiewiczową w niedzielę – odpowiedziała.

– Tu jest dosyć odludnie, widać było jakieś ślady na plaży? Może ślad ciągnięcia czegoś ciężkiego? – dopytywał.

– Niczego nie zauważyliśmy, ale wtedy nie była to sprawa o morderstwo. Na plaży zresztą przy silnym wietrze i sztormie ślady szybko znikają, zwłaszcza gdy ich nikt nie szuka. Łatwo je też zatrzeć, jeżeli się tego chce.

Lew rozglądał się chwilę.

– Chcesz zobaczyć, gdzie mieszkała? – zapytała Jowita.

– Nie. Jeszcze nie, najpierw niech przyjdą wyniki sekcji. Jeżeli nic tam nie będzie podejrzanego, nie chcę niepokoić jej koleżanek – odparł.

– To co teraz?

– Chyba czas na porządne śniadanie. Chcesz zjeść z nami, na kempingu? – zaproponował.

– Nie, dzięki. Mam trochę papierkowej roboty. Daj znać, jak coś przyjdzie.

Wracali drogą przez las, wzdłuż wydm. Krajobraz był prawie niezmienny, przecinany prostopadłymi do drogi ścieżkami prowadzącymi na plażę. Co jakiś czas pojawiały się małe osiedla złożone z nowo wybudowanych domków kempingowych.

– Jeszcze pięć lat temu nie było tu prawie niczego, tylko ten jeden stary kemping pod lasem i parę domków wczasowych. Teraz kto ma tu choć skrawek ziemi, buduje te małe drewniane chatki, a chętnych na wynajem podobno nie brakuje. W sezonie przyjeżdża tu tylu ludzi, że powinni nam przesyłać pomoc z Warszawy, bo przestępczość tak skacze – zaśmiała się głośno. – W zeszłym roku jednego złodzieja, który okradał plażowiczów, złapał policjant właśnie od was, ze Stołecznej, który akurat przyjechał na wakacje. Sympatyczny bardzo, o ile pamiętam, to pracował w narkotykowym.

– W tym zawodzie nigdy nie ma się wakacji, co?

– Ja nie narzekam, ale faktycznie sama wybieram miejsca z dala od ludzi. Ostatnio wynajęliśmy taki domek w samym środku lasu, koło Biebrzy. Cudnie było po prostu. Jak chcesz, to dam ci namiary.

Lew otworzył usta, żeby podziękować, ale powstrzymał się i tylko kiwnął głową.

– Kiedy ostatni raz miałeś porządny urlop? – zapytała go, widząc jego konsternację.

– Właściwie to przez ostatnie lata wykorzystywałem cały urlop na jakieś nieprzewidziane trudne momenty, jak musiałem zostać w domu z moim ojcem albo dzieciakami, a potem po śmierci mojego ojca w tym roku też wziąłem parę dni, żeby uprzątnąć rzeczy…

– Przykro mi – powiedziała.

– Już był w takim wieku… nie byliśmy zaskoczeni. Ostatnio miał się dużo gorzej. Mimo wszystko to trudne doświadczenie. Zwłaszcza syn to przeżył, choć nie dlatego chyba, że był aż tak związany z dziadkiem, tylko dlatego, że to kolejna taka zmiana w jego życiu… Nie ma chłopak łatwego dzieciństwa, choć Bóg mi świadkiem, że się staram.

– A masz jeszcze jakieś dni wolne?

– Chyba trochę jeszcze mam, ale też jeszcze pół roku przed nami do stycznia. Pewnie się przydadzą.

Jowita pokiwała głową. Dalej jechali w ciszy. Lew wysiadł przy wejściu na kemping. Poszedł do domku, by zjeść z Mikołajem śniadanie. W środku jednak nikogo nie było, a drzwi były zamknięte. Podkomisarz spojrzał przez szparę między zasłonami w oknie. Zobaczył leżący na stole telefon swojego syna. Lew nie miał dodatkowej pary kluczy, zaczął więc rozglądać się dookoła. Wokół biegała gromada dzieci w różnym wieku i trudno było pośród tej żywiołowej grupy rozpoznać jedną, konkretną osobę. Kemping miał ponad dwa hektary powierzchni i Lew równie dobrze mógłby szukać igły w stogu siana. Postanowił zacząć od miejsc, którymi mógłby zainteresować się jego syn. Zaczął od kortu do gry w tenisa, później poszedł w kierunku boiska do piłki nożnej. Mikołaja nie było ani tam, ani w stołówce, ani nawet w sklepiku. Zmęczony i zrezygnowany przysiadł na tarasie przed recepcją. W zamkniętym na klucz domku została jego karta płatnicza, a robił się coraz bardziej głodny. Z recepcji wyszła pani Irena i spojrzała na niego badawczo.

– Co tam, kochaneczku? – zapytała. – Słabość pana podkomisarza ogarnęła? To przez zmianę pogody. Wczoraj pogoda wiosenna, a jutro to prawdziwy skwar ma być.

– Syna szukam – powiedział Lew. – Nie ma pani przypadkiem dodatkowej pary kluczy do naszego domku? Młody zamknął drzwi i nie mam jak się dostać do środka.

– A pewnie, że mam – powiedziała, śmiejąc się donośnie. – A syn jest w świetlicy. Gra w ping-ponga ze Sławkiem. Żal się nam chłopaka zrobiło, to go Sławek wyciągnął, żeby się trochę rozruszał.

Właścicielka zniknęła w recepcji, by pojawić się po chwili z wielkim pękiem kluczy. Wyciągnęła z pęku jeden z nich i go podała.

– Tylko proszę mi potem oddać, gdy będziecie wyjeżdżać, bo więcej nie mam.

– Oczywiście – powiedział Lew. – I dziękuję za pomoc z Mikołajem. To trudne, jak się pracuje i ma dziecko przy sobie.

– Nie musi mi pan niczego tłumaczyć – przerwała mu pani Irena. – Ja wszystko rozumiem. Już tu długo bardzo pracuję i już wszystkie modele rodziny przez ten czas przerabiałam. Najważniejsze, że macie siebie nawzajem i się kochacie.

Lew nic nie odpowiedział, tylko ruszył w kierunku świetlicy. W środku znalazł Mikołaja, tak jak mówiła właścicielka, grającego z jej mężem, który był już mocno zdyszany.

– Dzień dobry – przywitał się, kiwając głową do pana Sławka. – Cześć, Mikołaj, mogłeś mi zostawić kartkę czy coś. Już pół godziny cię szukam po całym kempingu.

– Przecież sam mnie namawiałeś, żebym wyszedł – odburknął. – Dziękuję, panie Sławku, za grę.

– Godny z ciebie przeciwnik – wysapał staruszek. – Ale jutro się odegram.

Lew i Mikołaj wyszli ze świetlicy.

– Tato, jak mogłeś mnie zostawić na pastwę tych ludzi – powiedział syn do ojca, gdy tylko weszli do domku. – Wiesz, co oni robili?

– Mówisz o pani Irenie i panu Sławku? – zapytał Lew zaskoczony.

– Tak! Najpierw pani Irena wpadła tu, jak byłem jeszcze w piżamie, i siłą prawię mnie wywlekła na tę świetlicę. Później przedstawiała mnie wszystkim dzieciakom, które tam były, jakbyśmy byli w przedszkolu. To było chore. Totalnie chore i żenujące. Myślałem, że ucieknę, ale wtedy pan Sławek wymyślił konkurs ping-ponga, w którym nikt nie chciał wziąć udziału, więc mnie zmusił, żebym

z nim grał. Myślałem, że on tam umrze na zawał, ale nie odpuszczał. Graliśmy tak już godzinę!

Lew nie mógł powstrzymać śmiechu. Mikołaj patrzył na niego obrażony.

– Nigdy ci tego nie wybaczę – powiedział, na co Lew wybuchł jeszcze głośniejszym śmiechem. W końcu i Mikołaj nie wytrzymał i dołączył do niego.

# Rozdział 16

Było gorąco. Wiatr przestał wiać i temperatura powietrza wzrosła niespodziewanie do ponad trzydziestu trzech stopni. Ich domek, pokryty blachą, przeobraził się w szklarnię i stał się niezdatny do mieszkania przez większą część dnia. Telefon Lwa dzwonił od rana. Jedna ze spraw, w której brał udział w Warszawie, nagle ruszyła. Pojawiły się nowe informacje. Chcieli, by wrócił albo przynajmniej im pomógł na odległość na tyle, na ile było to możliwe. Przenośny internet ledwo łapał zasięg. Siedzieli razem z Mikołajem na drewnianej ławce piknikowej pod drzewem, z otwartymi laptopami. Koło nich co jakiś czas przechodziły idące na plażę rodziny z leżakami pod pachami. Dzieci przebiegały, głośno się śmiejąc, zupełnie nie zwracając uwagi przy tym na wszystkie ważne sprawy, którymi się zajmował podkomisarz. Lew co jakiś czas siarczyście przeklinał, gdy po raz kolejny łącze się zrywało i tracił możliwość zalogowania się do systemu policyjnego, który i bez takich dodatkowych bodźców często sam się zawieszał. Siedzący naprzeciwko Mikołaj miał wzrok utkwiony gdzieś powyżej ekranu laptopa. Postacie z gry domagały się uwagi, pokrzykując co jakiś czas, on jednak nie reagował.

– Nie da się pracować w takich warunkach. Gdyby chociaż dało się siedzieć w środku, to przynajmniej nie byłoby tego hałasu… Chcesz coś ze sklepiku? Pójdę po coś zimnego – zapytał Lew, a zapatrzony gdzieś Mikołaj nic nie odpowiedział. Lew podążył za nim wzrokiem. Dwadzieścia metrów od nich było boisko do piłki ręcznej, na którym grała piątka dziewczyn. Lew uśmiechnął się do siebie.

– Brakuje im jednej osoby – powiedział głośniej.

– Co? – wyburknął Mikołaj.

– Jednej drużynie brakuje zawodnika. Może się przyłączysz?

– Na pewno nie. Tam są same dziewczyny. Zresztą, jakby chciały z kimś zagrać, toby wzięły kogoś ze swojego obozu. Tam jest z milion dzieciaków – odparł, wracając do swojego komputera.

– Chcesz coś ze sklepiku? – powtórzył pytanie Lew.

– Cokolwiek zimnego z bąbelkami – odparł.

W sklepiku było równie gorąco jak na zewnątrz, chociaż zamontowano tam klimatyzację. Za ladą, mimo upału, stał sprzedawca z maską podsuniętą prawie pod same oczy. Z czoła ściekał mu pot. Lew wybrał z lodówki dwa napoje i postawił koło kasy.

– Gorąco – powiedział.

– Gorąco – odparł sklepikarz.

– Zepsuła się panu klima?

– Nie, sam wyłączyłem. To szatańskie urządzenie. Jak się je włączy, to nic się nie da wyregulować, tylko od razu człowieka zamraża, a w taki upał to prosta droga do zapalenia płuc.

– No tak – pokiwał ze zrozumieniem głową podkomisarz. Na komendzie nie mieli klimatyzacji, więc historie o ich zbyt intensywnym wychładzaniu ludzi do szpiku kości słyszał tylko od innych, głównie pracujących w korporacjach. Trudno mu było teraz jednak komukolwiek współczuć. Gdyby miał wybór, zaryzykowałby to zapalenie płuc, byleby tylko obniżyć temperaturę ciała choć o parę stopni. Lew wyszedł ze sklepiku. Przechodząc koło recepcji, usłyszał podniesiony kobiecy głos, po czym zobaczył coś, co było prawdopodobnie pantoflem, a uderzyło z trzaskiem w szybę. Po chwili z recepcji wyszedł właściciel, pan Sławek, trzymając w ręku ewidentnie wystraszonego młodego czarnego kota. W oknie pojawiła się pochmurna tym razem twarz pani Ireny, która mimo że nie było jej już słychać, wyraźnie przeklinała, czego można było się domyślić z ruchu jej ust i miny. Pan Sławomir wyglądał na równie zestresowanego jak trzymane przez niego zwierzę. Zobaczywszy jednak podkomisarza, automatycznie uśmiechnął się szeroko na powitanie.

– Dzień dobry, czy wszystko dobrze? – zapytał, puszczając na ziemię kota, który od razu czmychnął w najbliższe krzaki. – Dobrze pan sypia?

– Sypiam nieźle, ale dzisiaj dosyć przygrzało i w domku jest gorzej niż w piekarniku – odparł Lew.

– Taki urok domków letniskowych – odparł właściciel niepewnie, wiedząc, że na doskwierający podkomisarzowi problem nie może nic zaradzić. Wszystkie lepiej usytuowane domki pod drzewami były zajęte. Do tego, zgodnie z prognozą, przed

nimi cały tydzień zapowiadał się bardzo upalnie, a pan Sławomir wiedział z doświadczenia, że każdego dnia będzie coraz gorzej.

– To dziki kot? – zapytał podkomisarz, wskazując na kota, który teraz, siedząc pod liściem, wysuwał powoli jedną łapę, by chwycić jego rozwiązaną sznurówkę w bucie.

– Taka kotka przybłęda się u nas okociła wiosną. Co miałem zrobić, wziąłem ją do garażu i tam zrobiłem posłanie dla niej i małych. Jak maluchy podrosły trochę, to rozdałem je po sąsiadach, tylko ten jeden został, sierota.

– Pana żona, zdaje się, go nie lubi.

– Irenka ma wrażliwą duszę, ale dosyć zestresowaną – odpowiedział właściciel, uśmiechając się niepewnie. – Maluch jest w tym wieku, że cały czas na coś poluje. Tak się złożyło, że najchętniej poluje właśnie na jej stopy.

– Chyba tym razem mu się za to oberwało – powiedział Lew.

– Jemu się oberwało, a mnie przy okazji. Tak to już bywa w małżeństwie z długim stażem. Heh, co począć. Wziąłem go pod pachę i zaszyję się gdzieś do obiadu – powiedział pan Sławomir, po czym ruszył przygarbiony gdzieś w bezpieczne miejsce. Lew się uśmiechnął i poszedł z coraz mniej chłodnymi napojami w dłoni w kierunku ławki, przy której siedział Mikołaj. Dziewczyny przestały już grać w piłkę. Cała grupa obozowa przygotowywała się głośno do wymarszu z kempingu. Koloniści karate natomiast, przebrani w swoje stroje bojowe, grupami zmierzali w kierunku lasku za kempingiem, gdzie zapewne zamierzali rozpocząć trening. Idący na końcu trener kiwnął głową w kierunku Lwa. Mikołaj, jako jedyne dziecko na kempingu, siedział sam z głową przed laptopem. Ekran był wygaszony. Chłopak musiał siedzieć nieruchomy już dłuższą chwilę, zamyślając się ponownie.

– Masz – powiedział Lew, wręczając mu butelkę.

– Tato, jak długo tu jeszcze będziemy? – zapytał Mikołaj. Jego oczy były lekko czerwone.

– Co jest? – zapytał podkomisarz. – Płakałeś?

– Ja? No co ty, tato. Po co miałbym płakać?

– No nie wiem – odparł. – Ty mi powiedz. Masz czerwone oczy.

– Nie płakałem, tylko szczypią mnie oczy. Przecierałem je przed chwilą – odparł.

– Pewnie od kurzu na materacu – pokiwał głową Lew. – Czekam na jedną informację. Może niedługo będziemy wracać do Warszawy. Mam tam sporo pracy, a tu chyba nic nowego na razie się nie pojawi.

– To dobrze – odparł Mikołaj, po czym wrócił do swojej gry.

Lew siłował się z internetem i systemem przez kolejne dwie godziny, po czym pracę przerwał mu wyczekiwany telefon od patologa. Lew, widząc, kto dzwoni, wszedł do nagrzanego domku i zamknął za sobą drzwi.

– Halo, podkomisarz Robert Lew, słucham.

– Dzień dobry, dzwonię z Zakładu Medycyny Sądowej – powiedział głos po drugiej stronie.

– Czekałem na wasz telefon w sprawie Bierat – odpowiedział Lew. – Macie coś?

– Mniej pewnie, niż się pan spodziewał, ale coś mamy – odparł głos w słuchawce. – Przyczyną śmierci było utopienie. Sprawdziliśmy zawartość płuc, niestety bez rezultatów, to znaczy nie byliśmy w stanie już ustalić, czy przyczyną utopienia było dostanie się do niej wody słonej czy słodkiej.

– Ale powiedział pan, że coś macie – przerwał mu Lew.

– Tak. Z tomografii komputerowej ciała wynika, że denatka miała wykręcony bark i liczne złamania, w tym złamanie otwarte kości biodrowej. Odnotowaliśmy również zadrapania na wysokości uda. Nie znaleźliśmy śladów spermy w pochwie, ale kobieta na pewno odbyła przed śmiercią stosunek, co wynika z otarć.

– Czy są ślady gwałtu?

– Trudno byłoby to potwierdzić. Nie mogę go jednak wykluczyć.

– A co z otarciami na nadgarstkach?

– Mogły być efektem mocnego uścisku, ale tu ponownie należy to interpretować w kontekście jej pracy. Miałem kiedyś w Zakładzie ciało kobiety, która była w podobnym wieku i też była prostytutką. Jej ciało było całe pokryte sińcami, podobnie jak tej. Masakra po prostu. Okazało się jednak, że kobieta zmarła z powodu udaru, a wszystkie urazy były spowodowane tym, że ze względu na wiek musiała wypełniać nisze zainteresowań seksualnych klientów.

– No tak, żeby zarobić, pozwalała klientom na więcej.

– Tak. Tu mogło być tak samo.

– A te złamania? Jesteście w stanie coś o nich powiedzieć?

– Do wszystkich doszło już po śmierci. Tylko bark został wykręcony jeszcze, gdy żyła – odparł głos w telefonie. – A i jeszcze sprawdziliśmy ilość płynów ustrojowych. Z wyliczeń wynika, że straciła dużo krwi. Zakładam jednak, że doszło do tego przez otwarte złamanie kości udowej i przerwanie tętnicy w tamtym miejscu.

– Mówiłeś wcześniej, że do złamania doszło już po śmierci – powiedział Lew.

– Tak, ale widocznie ciało było jeszcze ciepłe, a krew dalej płynna.

– Okej, dzięki. Czekam w takim razie na kopię raportu – odparł Lew.

– Prześlę mailem w ciągu sześciu godzin – zakomunikował głos w słuchawce, po czym zaległa cisza.

Lew przetarł ręką po spoconym czole. Wrócił do siedzącego na zewnątrz Mikołaja.

– Chcesz się przejść na plażę? – zapytał.

– W taki upał?

– Moglibyśmy wziąć ręczniki i ochłodzić się w morzu.

– Nie, dziękuję. Tu mi dobrze – odpowiedział, zerkając na wracające na boisko dziewczyny.

– No dobrze, to zostań. Ja się przejdę – odparł Lew, biorąc wiszący na sznurze ręcznik. Z kempingu na plażę szło się wąską, udeptaną dróżką przez las na wydmie. Na plaży panował skwar. Na niebie nie było ani jednej chmury. Morze ucichło bez wzbudzającego jego fale wiatru. Tuż przy wejściu na plażę zostało rozstawionych mnóstwo kolorowych parawanów, zza których wystawały parasole. Lew spojrzał w prawo. Jakieś sto metrów dalej plaża wydawała się znacznie mniej zapełniona. Ruszył w tamtą stronę. Gorący piasek parzył jego gołe stopy, wsypując się do środka sandałów. Podkomisarz wędrował między labiryntem rozstawionych koców i parawanów, aż doszedł do miejsca, które wcześniej sobie upatrzył. Ściągnął spodnie i koszulkę i odłożył je na piasku obok ręcznika. Powoli zaczął wchodzić do morza. Woda na brzegu była przyjemnie chłodna. Gdy wszedł głębiej, a woda dosięgała już jego pasa, przyjemny chłód zmienił się jednak w ziąb, a jego ciało pokryła gęsia skórka. Stał w miejscu przez parę minut, czekając, aż jego ciało przyzwyczai się do nowej temperatury. Z minuty na minutę czuł się jednak coraz gorzej. W końcu, gdy poczuł skurcz łydki, kuśtykając, wrócił na brzeg. Wytarł się i ubrał z powrotem. Skwar wydał mu się łatwiejszy do

zniesienia. Usiadł na piasku. Chcąc nie chcąc, zaczynał słyszeć rozmowy prowadzone przez siedzące obok rodziny. Jego uszy były atakowane przez wybuchy śmiechu rubasznej kobiety oraz mało wybredne komentarze jej towarzysza. Czując, że potrzebuje spokoju i ciszy, by pozbierać myśli, podkomisarz ruszył dalej przed siebie brzegiem morza. W końcu dotarł do miejsca, o którym Jowita mówiła, że prawdopodobnie tam Chrząstkiewiczowa weszła do wody. Rozejrzał się dookoła. Było to miejsce odludne nawet w ciągu dnia. W lesie na wydmie była widoczna szpara między drzewami, wskazująca ścieżkę. Lew ruszył w jej stronę. Leśna ścieżka wiła się miedzy krzakami borówek. Widoczne gdzieniegdzie dorodne podgrzybki zdawały się potwierdzać obserwację podkomisarza, że chodzą tędy głównie nieliczni wiedzący o niej tubylcy, którzy o tej porze roku zajmowali się obsługą gości przybyłych z całego kraju. W końcu ścieżka dochodziła do deptaka, który ciągnął się aż do głównej ulicy w Wicierzy. Podkomisarz przypuszczał, że idąc w prawo, dojdzie do kempingu, a następnie do głównej ulicy we wsi. Skręcił więc w lewo, by sprawdzić, ile dróg dochodzi z tamtej strony do deptaka. Szedł czterdzieści pięć minut, aż doszedł do rozjazdu, na którym poprzedniego dnia zaparkowali z Jowitą, gdy pokazywała mu miejsce, w którym znaleziono Katarzynę Bierat. Do tego miejsca doliczył ponad siedem dróg szutrowych prowadzących z głębi lasu do deptaka. Zawrócił. Doszedł ponownie do ścieżki idącej na plażę, do miejsca, gdzie prawdopodobnie wyrzucono ciało Chrząstkiewiczowej. To mogło być to samo miejsce, do którego ona szła sama. Lew ruszył w kierunku kempingu. Podkomisarz rozglądał się dookoła. Choć o tej porze dnia mijał co jakiś czas idące na spacer rodziny, wątpił, że spotkałby tam kogokolwiek po zachodzie słońca. Deptak w tym miejscu był nieoświetlony, a droga wyboista. Szedł dobre dwadzieścia minut, nim doszedł do bramy głównej. Dopiero od niej wzdłuż deptaka rozstawiono latarnie, które oświetlały wieczorem trasę spacerowiczom. Jeżeli podkomisarz miałby obstawiać, założyłby się, że samotna starsza kobieta, która była pod wpływem sporej dawki alkoholu, więc musiała mieć choć lekki problem z chodzeniem, ruszyła właśnie w kierunku miasteczka. Lew poszedł dalej. Po trzydziestu metrach dotarł do szerokiego, wysypanego białymi kamieniami głównego wejścia na plażę. Tam też był oświetlony podest z dwoma drewnianymi ławeczkami. Lew zamknął oczy i próbował odtworzyć w myślach trasę, jaką przeszła kobieta. Idący wokół tłum skutecznie mu to jednak uniemożliwiał. Będę musiał wrócić tu w nocy – pomyślał.

# Rozdział 17

– Po co chcesz zobaczyć jej mieszkanie, skoro uważasz, że to był wypadek?

Wchodzili na wysokie, czwarte piętro starej kamienicy. Na klatce schodowej czuło się wszechobecną i nigdy nieznikającą wilgoć połączoną z zapachem pleśni. Jowita szła przed Lwem, zatrzymując się co jakiś czas, by złapać oddech, po czym ruszała ponownie – zbyt szybkim jak dla siebie tempem – po wysokich stopniach. Była wyraźnie zirytowana, ale zapytana, sama nie potrafiłaby określić, co bardziej ją zdenerwowało – fakt, że sekcja nie dała jasnych odpowiedzi, czy to, że podkomisarz, prawdopodobnie przez wzgląd na jej uczucia, po raz kolejny nie powiedział wprost tego, co myślał – że nawaliła i teraz muszą robić rzeczy, które powinna była zrobić ona miesiąc wcześniej. Wiedziała, że ten policjant z Warszawy nie ma do niej słabości, nie podobała mu się jako kobieta. To było coś zupełnie innego, co czuło do niej wielu mężczyzn wcześniej – sympatia i życzliwość, czyli dwa uczucia, które czasami w stosunkach międzyludzkich, a zwłaszcza damsko-męskich, bardziej jej życie komplikowały, niż upraszczały.

– Nie powiedziałem, że tak uważam. Po prostu stwierdziłem, że ten bark mógł być powodem jej utonięcia. Mogła mieć wcześniejszy uraz, który w trudnym momencie, w reakcji na zimną wodę albo silny prąd morski, uniemożliwił jej wypłynięcie. A jej mieszkanie trzeba zobaczyć tak czy inaczej.

– Powinnam była je przeszukać miesiąc temu – powiedziała Jowita pod nosem.

– Uważałaś, że to utonięcie.

– No właśnie, w tym problem – odparła.

Byli na miejscu przed pomalowanymi na fioletowo drzwiami z fikuśnym numerem „13” zrobionym z mosiężnych cyferek. Jowita nacisnęła dzwonek. Po drugiej stronie rozbrzmiała wesoła muzyczka.

– Idę – ktoś krzyknął.

– Dzieliła mieszkanie ze swoją koleżanką – powiedziała półszeptem Jowita.

Drzwi się otworzyły. Po drugiej stronie stała młoda kobieta, która nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Miała zafarbowane na fioletowo włosy spięte w dwa warkocze czarnymi wstążkami. Chociaż pora była wczesna, dziewczyna miała mocny makijaż i pomalowane na czarno usta. Mimo wszystkich tych starań, by może wyglądać na niedostępną, gdy tylko się uśmiechnęła, jej twarz robiła się urocza. W oczach nie miała strachu, który Lew widział u wielu jej rówieśniczek.

– Cześć – powiedziała, otwierając im drzwi.

Lew powtórzył za nią „cześć", po czym się przedstawił i wyjaśnił, po co przyjechali. Jowita milczała.

– Mam na imię Barbara, ale wszyscy mówią mi Berta – przedstawiła się dziewczyna.

– Moja córka ma na imię Barbara. Mówiliśmy do niej zawsze Bibi, ale teraz już jest chyba na to za duża. Wkurza się w każdym razie, jak tak do niej mówię. W sumie, jak nie mówię, to też się wkurza – powiedział Lew, próbując przełamać lody. Szybko jednak zauważył, że dziewczyna zupełnie nie wydaje się skrępowana ich obecnością i z łatwością angażuje się w rozmowę. – Bibi też kiedyś zafarbowała włosy na fioletowo, ale nie za bardzo jej wyszło.

– Ha! Bo to jest naprawdę trudne i niewiele osób wie, jak to dobrze zrobić – odpowiedziała dziewczyna. – Nie wiem, czy jestem w stanie wam jakoś pomóc w sprawie Kaśki.

– Wystarczy, że na razie pokażesz nam jej pokój – powiedziała Jowita.

– Pokój Kaśki jest tam – oznajmiła młoda kobieta, wskazując drzwi po przeciwnej stronie holu.

– Wynajmujecie to mieszkanie?

– Nie, należało do Kaśki i jej siostry. Dostały je chyba po rodzicach albo dziadkach – odparła.

– A ty tu mieszkałaś z nią, bo? – zapytał Lew.

– Kumplowałyśmy się – odparła.

– Była między wami wyraźna różnica wieku. Skąd się znałyście? – pytał dalej.

– Z klubu przy zatoce. Pracowałam tam dorywczo, a ona tam bywała. Zauważyła mnie kiedyś, jak miałam doła, bo w domu lipa była, i zaczęłyśmy rozmawiać. Równa z niej kobieta była. Wzięła mnie bez pytania do siebie i tak już zostałam. Dobrze nam było razem.

– Czy też pracujesz jak ona? – zapytał Lew.

– Chodzi ci o to, czy jestem prostytutką? – zapytała, nie kryjąc uśmiechu. – Nie. Nadal pracuję w klubie, tyle że teraz mam normalną umowę. Podaję drinki, nic więcej.

– Tamtego dnia, gdy zginęła, widziałaś się z nią? – zapytała Jowita. Jej głos był ochrypnięty, jakby walczyła z czymś krztuszącym w gardle.

– Tak, już chyba nawet o tym policji mówiłam. Miała jednego klienta umówionego, a potem miała pójść popływać.

– Wiesz, co to za klient? – zapytał Lew.

– Mówiła na niego „stary Mieciu", ale dokładnie to nie wiem, kim on jest. Wiem tylko, że starszy. Ma żonę sparaliżowaną od dawna i był jej stałym klientem.

– Spotykali się w jakimś konkretnym miejscu?

– W motelu za klubem.

– Czy miała ostatnio jakichś brutalnych klientów? – zapytała Jowita.

– Brutalnych? – zdziwiła się dziewczyna. – Zawsze znalazł się jakiś dziwak, ale mi nie mówiła, żeby ktoś jej coś robił.

– A skarżyła się na bark? – zapytał Lew.

– Nie pamiętam, by się skarżyła w ogóle na cokolwiek w życiu. Kaśka była bardzo pogodna. Wulkan energii. I mądra była bardzo. Jakbyście ją spotkali, to w życiu byście nie pomyśleli, że ona tak zarabia. Dużo czytała, można było ją o wszystko zapytać. A w teleturniejach była najlepsza. Oglądałyśmy czasem jakiś w telewizji i ona zawsze odpowiedzi znała. Ja ją nawet namawiałam, żeby się zgłosiła.

– Jak była taka mądra, to dlaczego robiła na ulicy? – zapytała Jowita. Dziewczyna popatrzyła na nią z urazą.

– Ona nigdy nie pracowała na ulicy, pani policjantko – powiedziała, specjalnie artykułując słowo „policjantka", tak jakby było równie uwłaczające jak „prostytutka". – Miała spokojny biznes. Głównie stali klienci. Jak był gorszy miesiąc, to szła do klubu albo do knajpy przy sanatorium, tam zawsze jakiś chętny się znalazł. Nie potrzebowała wiele, tyle, żeby opłacić rachunki i mieć na jakieś przyzwoite ciuchy. Lubiła swoje życie, tak myślę.

– Dobrze, to zobaczymy teraz jej pokój – powiedział Lew, przerywając im. Dziewczyna wskazała im go ponownie. Drzwi wewnętrzne do wszystkich pokojów również zostały pomalowane fioletową farbą. W środku ściany były jasnoróżowe, a szafki białe. Na sporym łóżku było parenaście poduszek w falbaniastych poszewkach. Na ścianie wisiały w złotych ramach wyszyte na płótnie koty. Na podłodze leżał futrzasty dywan. Obydwoje weszli do środka, zamykając za sobą drzwi. Pokój wydawał się bardzo czysty i zadbany.

– Wierzysz tej dziewczynie? – zapytała ściszonym głosem Jowita.

– W co?

– No w całą tę historyjkę o tym, że poznały się i ta babka ją tak jakby nigdy nic do domu wpuściła, i jeszcze pozwoliła tu mieszkać. Ludzie tak nie robią. Nie wpuszczają obcych, nawet młodych dziewczyn w tarapatach. A przynajmniej nie robią tego za darmo.

Lew uśmiechnął się do siebie. Pomyślał o Nikoli, o tym, jak przywiózł ją w nocy parę lat wcześniej do swojego domu. Wzruszył ramionami. Może faktycznie ludzie tak nie robią – pomyślał, ale nic nie odpowiedział. Otworzył drzwi szafy. Na podłogę od razu wypadły ubrania, które wcześniej były wciśnięte do niej na siłę. Jowita w tym czasie mocowała się z szufladami przy toaletce, które również, wypchane po same brzegi, otwierały się z trudem.

– Porządek widać tylko pozorny – powiedziała. – Założę się, że tak samo było w jej życiu.

– To znaczy? – zapytał Lew, wkładając rękawiczki, by przeszukać ubrania.

– No wiesz, niby lubiła swoje życie, morsowała, może nawet ćwiczyła i jadła sałatki na lunch, a jak nikt nie patrzył, to wpierdzielała boczek i pochopnymi decyzjami psuła całe swoje życie. Miała taki bałagan schowany w ładnych szufladach.

– Nie będę pierwszy rzucał kamieniem – odparł Lew. – Też mam ostatnio problem z porządkiem w chałupie.

– Ale założę się, że masz taki sam problem wszędzie – czyli brudne blaty kuchenne i nieumyta wanna.

– No tak.

– A ona pewnie miała łazienkę i kuchnię wypolerowaną. Ona porządek miała tylko tam, gdzie zaglądają inni. Jak przyszedł gość z wizytą albo koleżanka na

wino, to widzieli tylko porządek. I pewnie też takie wydawało się jej życie, gdy o nim opowiadała. Ale jak tylko ktoś zadał więcej pytań albo trochę ją poobserwował, to cały teatrzyk się sypał.

– Dziewczyna z nią mieszkała, a widać, że niczego takiego nie widziała – zauważył Lew.

– Ta dziewczyna jest jeszcze nastolatką. Nic nie wie o świecie, łatwo można ją nabrać. Zresztą, może ona sama się oszukuje.

– Dlaczego miałaby to robić? Przecież Bierat nie była jej krewną.

– Może nie była krewną, ale jak na razie to ta dziewczyna idzie prostą drogą, by wieść takie samo życie. Może nie chciała zobaczyć czegoś, co by mogło ją od tego odwieść.

– Pracuje w klubie, to jednak coś innego. Moja córka też tak dorabia w wakacje.

– Twoja córka ma ciebie. To inna sytuacja. A ona nie ma nikogo i szybko zrozumie, że to, co zarabia, nie wystarcza na życie w samotności. Po prostu tak jest. I w końcu zgodzi się na coś więcej niż podawanie drinków. Może lepiej dla niej, że nie mieszka już z tą Kaśką. Przynajmniej nikt nie ciągnie ją w tę stronę – powiedziała gorzko.

– Myślisz, że chciała ją zwerbować – zapytał, trzymając oprawione zdjęcie przedstawiające dwie kobiety w podobnym wieku. Jedną z nich była Katarzyna Bierat. Zdjęcie musiało być zrobione niezbyt dawno, ale różnica w wyglądzie kobiety z fotografii i ciała, które widział w prosektorium, była uderzająca. Kobieta ze zdjęcia, mimo wieku, miała to coś w oczach, co musiało do niej przyciągać mężczyzn.

– Taka fajna babka, a nie ułożyła sobie życia – powiedziała oschle Jowita. Lew spojrzał na nią. Lekko drżały jej ręce, a usta były zaciśnięte.

– Może jej się wydawało ułożone – powiedział Lew. – Jakby ktoś z boku popatrzył na moje życie, to by się pewnie załamał.

– Tak, pewnie masz rację – powiedziała po chwili, a rysy jej złagodniały. – Jakby ktoś spojrzał na moje, to pewnie też by tak zrobił. – Roześmiała się.

Do pokoju weszła dziewczyna.

– Czy długo będziecie? Muszę wyjść zaraz do pracy – powiedziała.

– Wiesz może, czy Katarzyna Bierat prowadziła jakiś dziennik? Robiła zapiski?

– Nie, nie robiła – powiedziała szybko dziewczyna. Za szybko.

Lew i Jowita wymienili spojrzenia.

– Słuchaj, my chcemy ustalić tylko, co stało się z twoją przyjaciółką. Musimy zadać czasami jakieś mniej wygodne pytanie, ale to zostanie między nami – powiedziała Jowita.

– Nie miała dziennika, jestem pewna – odpowiedziała dziewczyna.

– Szkoda. Chętnie byśmy porozmawiali z jej klientami, zwłaszcza tymi ostatnimi – odparł Lew. – A czy wiesz coś o mężczyźnie, który ją śledził?

– Nie… – powiedziała zaskoczona. – Niczego takiego mi nie mówiła. Ale dlaczego o to pytacie. Przecież ona się utopiła, no nie?

– Tak. Ale badamy, czy była na plaży sama, czy z kimś.

– Myślicie, że to nie był wypadek? – zapytała widocznie przerażona dziewczyna.

– Na razie nic nie myślimy. Po prostu sprawdzamy różne możliwości. To nasza praca i tyle – odpowiedział Lew.

– Ale słyszeliśmy od jednej z jej koleżanek po fachu, że Katarzyna się kogoś bała. Ktoś podobno za nią chodził. Na pewno nic ci nie mówiła? – drążyła policjantka.

– Nie – odparła dziewczyna.

– No dobrze, my skończyliśmy – powiedział Lew, wychodząc na korytarz i wyciągając swoją wizytówkę z kieszeni spodni. – Jakbyś sobie coś przypomniała, to daj nam znać.

Dziewczyna nie odezwała się więcej, ale schowała wizytówkę do swojego portfela.

– I co? Niczego nie znaleźliśmy – powiedziała Jowita, siadając ciężko na miejscu kierowcy.

– Ale się sporo dowiedzieliśmy – odparł Lew.

– Czego, że miała bałagan?

– Że mimo zbliżonego wieku nic ją z Chrząstkiewiczową nie łączyło. Prowadziły zupełnie inny tryb życia. Nawet budowa ich ciała się różniła. Biernat była przynajmniej dwadzieścia centymetrów wyższa od Chrząstkiewicz. Była też tęższa, a to ma znaczenie. Gwałciciele i mordercy mają raczej jeden typ ofiary.

– Czyli?

– Czyli – odparł Lew, tym razem mówił wolniej, jakby sam słuchając słów wychodzących z jego ust – albo te dwie śmierci nie łączy zupełnie nic, albo morderca działa na zasadzie przypadku. A przypadkowe, chaotyczne działanie charakteryzuje raczej osoby niedoświadczone i młode.

– Albo o niższym ilorazie inteligencji – dopowiedziała Jowita.

– Tak – zgodził się z nią Lew. – A to oznacza, że na miejscu powinno być znacznie więcej śladów.

– Może było, tyle że w miejscu zabójstwa, którego nie znamy.

– Jest jeszcze taka możliwość, że jednak mamy do czynienia z mniej chaotycznym sprawcą i starszym, a zmiana typu ofiary jest celowa.

– Dlaczego miałby zmienić typ? Nigdy nie słyszałam o sprawcach zmieniających swoje ofiary.

– Bierat, mimo swojego wieku, była w dosyć dobrej kondycji fizycznej. Była też stosunkowo ciężka. Jeżeli była pierwszą ofiarą, to morderca nie był jeszcze doświadczony. Mogło mu się wydawać, że ze względu na wiek i zawód będzie łatwą ofiarą, ale się pomylił. A może coś innego mu nie pasowało. Czasami wyobrażenie mocno odbiega od rzeczywistości. Prawda jest taka, że całkiem możliwe, że nigdy nie poznajemy pierwszych ofiar seryjnych morderców, bo one właśnie znacznie odbiegają od pozostałych.

– To co zrobimy? Musimy od czegoś zacząć. Nie możemy po prostu założyć, że jednak nie ma związku.

– Obawiam się, że będzie trzeba obejrzeć wiele, bardzo wiele nagrań z monitoringu miejskiego – odparł Lew.

– U nas nie ma aż tylu kamer. Na pewno jest jakaś pod klubem. Może też na stacji, naprzeciwko motelu i koło okolicznych sklepów – powiedziała Jowita.

– Trzeba ustalić trasę, jaką przeszły obie kobiety – odrzekł.

– Jak podzielimy pracę na naszą czwórkę… – westchnęła policjantka, ruszając z miejsca.

– Trójkę, niestety – powiedział Lew. – Muszę wracać do Warszawy. Jakby coś się pojawiło, to przyjadę znowu. Na razie jestem tu zbędny, a tam mam masę roboty.

– No trudno. Mam nadzieję, że morderca, jeżeli faktycznie istnieje, będzie dla nas wyrozumiały i zaczeka – powiedziała, śmiejąc się, Jowita.

# Rozdział 18

Wieczorem upał zelżał, ale w ich domku dalej był zaduch. Woleli jednak to od zgiełku panującego na zewnątrz. Właściciele, kłócąc się przy tym niebotycznie, przygotowywali kolejne cotygodniowe ognisko. Dzieciaki z obydwu obozów szalały po całym kempingu. Pan, który miał pełnić rolę wodzireja przy wieczornej imprezie, montował swój wysłużony sprzęt grający, puszczając przy tym z jednego głośnika piosenki disco polo.

– Może zjemy dzisiaj rybkę smażoną gdzieś na mieście? – zaproponował Lew znudzonemu synowi.

– Mając na myśli miasto, mówisz o tej jednej ulicy tutaj, czy chcesz gdzieś pojechać? – zapytał, przerzucając po raz kolejny kartki jedynej gazetki o komputerach, jaką przywiózł ze sobą.

– Ta smażalnia na końcu deptaka wygląda całkiem sympatycznie – odpowiedział Lew.

– Mówiłeś, że jest droga i tylko kretyni jedzą taką drogą rybę mrożoną – zaśmiał się Mikołaj.

– Tak, to prawda, tak mówiłem. Ale jutro rano wracamy do Warszawy, a ja chętnie napiłbym się piwa.

– To chodźmy, tato. Lepsze to niż siedzenie tutaj.

Wyszli z domku. Na betonowym placu małe dzieci rysowały kredą. W oddali, przy boisku do kosza, zbierała się młodzież, by rozegrać mecz. Pan, który podłączył już swój keyboard do głośników, zaczął śpiewać jakąś swoją autorską piosenkę o miłości i tęsknocie za piękną Zośką.

– On chyba ma z osiemdziesiąt lat – powiedział Mikołaj z uznaniem.

– Chcesz iść w jego ślady i grać na ogniskach? – zapytał Lew, mocując się z zamkiem do drzwi.

– No może nie aż tak, ale w sumie fajnie, że on tak się spełnia i jest dalej aktywny w tym wieku. Wygląda na zadowolonego.

– Ludzie różnie wyglądają. To, że ktoś wygląda na zadowolonego, nie znaczy, że taki jest. Zazwyczaj to pieniądze, a właściwie ich brak popycha ludzi do różnej pracy zarobkowej – mówił Lew, ale przerwał, gdy zobaczył, że oczy jego syna zwrócone są gdzieś indziej, w kierunku boiska. – Cholera, zapomniałem portfela. Idź już, dogonię cię.

Lew ponownie zaczął otwierać drzwi domku, a Mikołaj odszedł powłóczystym krokiem. Kiedy podkomisarz odnalazł po minucie swój portfel, zauważył, że syn rozmawia z jedną z dziewczyn przy boisku. Zaczekał więc w środku. Mikołaj przybiegł po chwili.

– Mają tam problem. Kolega zwichnął kostkę i nie mają piątej osoby do drużyny – wysapał.

– A ja nie mogę znaleźć tego portfela. Pewnie zostawiłem go w samochodzie Jowity – odparł Lew, udając zmartwionego. – To może zagraj z nimi, a ja jeszcze poszukam. Nie ma sensu, żebyś tu ze mną siedział. Najwyżej później pójdziemy.

Chłopak kiwnął głową i zniknął. Lew usiadł ponownie przed swoim laptopem. Otworzył skrzynkę mailową i starał się skupić na odpisywaniu na zaległe listy. Po godzinie jego ciało jednak całkiem się poddało. Był spocony i zmęczony. Wziął prysznic, ale to niewiele zmieniło. W środku wciąż panował zaduch. Na zewnątrz właściciele rozpalili już ognisko i na wiszącym nad nim ruszcie pojawiły się kiełbaski. Zapach był nęcący. Lew wyszedł na zewnątrz. Mikołaj, cały spocony z wysiłku, grał dalej w piłkę. Uśmiechał się i coś krzyczał co jakiś czas do dzieciaków z drużyny. Lew podniósł rękę, żeby do niego pomachać, ale po chwili ją opuścił. Jego syn był już w końcu w takim wieku, w którym odmachiwanie do ojca niekoniecznie było najfajniejszą sprawą. Podkomisarz nabrał sobie na papierowy talerzyk kiełbaski i chleb i rozglądając się dookoła, szukał wolnej ławeczki. Wszystkie były zajęte. Po chwili zobaczył ławkę, przy której siedziały tylko trzy osoby. Jedną z nich widział już wcześniej. Była to sympatycznie wyglądająca kobieta dwudziesto-, może trzydziestoletnia, z długimi do pasa włosami i w kolorowym ubraniu. Na nadgarstkach miała zawiązane kolorowe rzemyki, a na szyi zawieszkę.

– Przepraszam, czy mogę się dosiąść? – zapytał.

– Jasne – odparła. Lew usiadł, ostrożnie balansując kiełbaskami na chybotliwym talerzu. Spojrzał na plakietkę na szyi dziewczyny. Był na niej napis „Kinga – opiekun grupy".

– Pracujesz na obozie? – zagadnął.

– Tak, to już mój czwarty turnus. A ty? Sam na wakacjach?

– Nie, jestem z synem i właściwie nawet nie do końca jesteśmy na wakacjach. Znaczy on ma wakacje, ale ja tu akurat miałem pracę i go wziąłem ze sobą.

Kiełbasa nie była zbyt smaczna, ale wystarczająco dobra, by ją zjeść do końca i pozbyć się uczucia głodu.

– Tam, w tych dużych termosach, jest woda? – zapytał, wskazując na termosy stojące na stole przed właścicielką kempingu.

– Raczej napój herbatopodobny, ale podobno, kto go nie spróbuje, ten nie jest prawdziwym kempingowiczem – odpowiedziała.

– To w takim razie chyba zaryzykuję. Przynieść ci?

– Nie, ja spasuję – odpowiedziała.

Napój herbatopodobny był przede wszystkim bardzo słodki i na ile podkomisarz mógł powiedzieć po pierwszych łykach, chyba nie zawierał w ogóle herbaty. Dzieciaki grające w piłkę skończyły grę. Mikołaj nałożył sobie kiełbaskę, ale zamiast podejść do Lwa, usiadł z resztą grupy na trawie pod drzewem. Lew uśmiechnął się i wrócił na swoje poprzednie miejsce.

– Ta herbata jest aż taka dobra? – zapytała Kinga, widząc jego uśmiech.

– Nie, jest paskudna – odpowiedział. – Ale cieszę się, że mój syn dobrze się bawi. Zresztą pierwszy raz, odkąd tu przyjechaliśmy.

– W domu bawi się lepiej?

– Właściwie to głównie siedzi przed komputerem i gra. Tu jest słabszy zasięg, więc i zabawa gorsza.

– Na naszym obozie dzieciaki mają tylko pół godziny na telefony, żeby zadzwonić do rodziców. Poza tym są na detoksie. To im dobrze robi – powiedziała.

– Pewnie Mikołajowi też by dobrze zrobiło – odparł Lew. – Ale nawet jakbym mu ograniczył czas przy kompie, to i tak na nic by się to zdało. Muszę w końcu pracować, czasami długo. Zresztą, co on tak sam by w domu miał siedzieć...

– Poczucie winy, co?

– Poczucie winy? – powtórzył za nią Lew.

– No tak, często to słyszę na warsztatach, które prowadzę dla rodziców. Jestem pedagogiem szkolnym. Na warsztatach mówię rodzicom, co z mózgiem ich pociech robią gry i social media, i od razu widzę, który rodzic długo pracuje albo jest po rozwodzie i ma opiekę naprzemienną. Tacy rodzice często noszą w sobie ogromne poczucie winy. Kupują wtedy dzieciom masę prezentów, pozwalają jeść słodycze, ale to nie załatwia problemu dystansu między nimi. W końcu więc załatwiają szybki internet i dobry komputer gamingowy i problem w postaci niezręcznych minut ciszy z dzieckiem mija. Dziecko znika, a gdy się pojawia, z przejęciem opowiada o grze. Jest już w innym, swoim świecie. Niektórzy rodzice nazywają to rozwijaniem pasji. Dla mnie to po prostu nałóg, nic więcej.

– Wow – powiedział ponuro Lew.

– Przepraszam, pewnie nie miałeś ochoty wysłuchiwać takiego umoralniającego monologu. Czasami mam problem z oddzieleniem życia prywatnego od pracy – powiedziała, uśmiechając się miło.

– Mam na imię Robert – przedstawił się podkomisarz, podając jej rękę.

– Kinga – odrzekła.

– Masz rację, jestem samotnym rodzicem i może mam jakieś poczucie winy. Niestety mam za mało kasy, żeby zarzucać moje dziecko prezentami. A co do gier, to po prostu nie widzę tego, bym miał na to jakiś wpływ. Wszyscy jego koledzy robią to samo.

– Wcale nie wszyscy – odparła. – Wierz mi, wiele rodziców wyznacza bardzo konkretne limity. Poza tym patrz na to, ile mamy dzieciaków na obozie. Co roku lista zapełnia się długo przed wyjazdem. Wiele z nich jeździ z nami przez parę lat z rzędu – czyli da się przeżyć bez dostępu do neta.

– Na obozie to co innego.

– To prawda, jest łatwiej. Ale to jest jakieś wyjście. Możesz zapisać syna na taki obóz jak nasz – powiedziała.

– Pracuję w policji i sam utrzymuję dom i dzieci… Nie za bardzo mnie stać na obozy, zwłaszcza te fajne, na które mój syn by jeszcze chciał pojechać.

Kinga kiwnęła głową. Siedzieli w ciszy, słuchając rozmów dzieciaków obok. Wodzirej odszedł od swojego keyboardu i podszedł do małego laptopa.

W głośnikach zatrzeszczało, po czym ryknęła z nich bardzo głośna wesoła szkocka muzyka. Na środku placu stanął wysoki opiekun grupy z mikrofonem i zaczął zachęcać dzieciaki z obozów artystycznego i karate do wspólnej zabawy. Kazał się wszystkim ustawić w kręgu, w parach. Pokazywał kroki, a reszta powtarzała za nim. Siedzący na ławkach kempingowicze klaskali. Pierwsze dwa tańce były stosunkowo wolne. Przy trzecim natomiast, o wiele bardziej żywiołowym, wiele osób lądowało na pupie, wywołując tym salwy śmiechu. Do tańczących dołączyła nawet grupa siedząca dotąd pod drzewem, w tym Mikołaj.

– No kto by pomyślał. Mój syn tańczy! – powiedział głośno Lew, starając przebić się przez muzykę.

– Wygląda, jakby się świetnie bawił – odkrzyknęła Kinga. – Wiesz co, jak będzie chciał, to tak długo, jak będziecie, może uczestniczyć w naszych zajęciach.

– To bardzo miła propozycja, dzięki. Niestety jutro rano wracamy. Mam znowu coś do zrobienia w Warszawie.

– Słuchaj, jeden chłopak wyjechał dzisiaj rano z naszego obozu, bo zwichnął nogę. Mamy wolne miejsce. Może chciałbyś jednak syna zapisać? Bez kosztów dojazdu i na niepełny turnus byłoby taniej.

Lew podrapał się po swoim kilkudniowym zaroście.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Jasne, popatrz, jak on się dobrze bawi. Zaraz zadzwonię do organizatora i podam ci konkretną kwotę.

Lew kiwnął głową. Wyciągnął telefon i sprawdził stan swojego konta. Pensja już przyszła, więc była szansa.

# Rozdział 19

*On kiedyś też odniósł sukces. Teraz na wspomnienie tego, jak w urzędzie wypełniał dokumenty, zakładając kolejny biznes, czuł ucisk w dole brzucha. Mimo lat planowania i starań żył za marne grosze oraz dzięki ludzkiej łasce. To drugie było chyba nawet gorsze. Gdy Piotrowski zadzwonił do niego, że załatwił mu ponownie pracę, że będzie mógł znowu spróbować, wszystkie jego mięśnie zdawały się kurczyć. Czuł się skamieniały w środku. Resztkami woli wycedził wtedy przez telefon „dziękuję". Wiedział, że bez tej pomocy wszystko stracone. Jednocześnie głos w jego głowie krzyczał, jak to możliwe, że taki fajtłapa, ktoś tak lekkomyślny i zuchwały może być po tych wszystkich latach w o wiele lepszej sytuacji od niego. Później było jeszcze gorzej. Piotrowski zaprosił go na obiad. Próbował się wymówić, ale tamten nalegał. Przyszedł o umówionej porze. Drzwi otworzyła mu kobieta. To zupełnie go zbiło z tropu. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że ten sikający do łóżka piegus z domu dziecka się ożeni. Do tego przy obiedzie nie dało się nie zauważyć, że ich małżeństwo było bardzo udane. Jej usta praktycznie się nie zamykały, a mówiła głównie o swoim mężu. Jej głos był donośny, ale zdecydowanie miły dla ucha. Patrzyła na męża takim ciepłym spojrzeniem, jak ktoś, kto ciągle, mimo upływu lat, kocha tak samo. Pomyślał, że to musi być wspaniałe uczucie, mieć kogoś, dla kogo jest się pępkiem wszechświata. Wtedy coś po raz pierwszy ukuło go gdzieś głęboko w trzewiach. Od tamtej pory ból ten pojawiał się wielokrotnie. Z początku sporadycznie, z czasem stał się nieodzowną częścią każdego dnia. Mężczyzna polubił go nawet. Przypominał mu o tym, co powinien mieć, a czego nigdy nie dostał. Przypominał mu o tym, o co miał się upomnieć już wkrótce.*

*Przy kolejnej wizycie u nich w domu ukradł im fotografię ślubną. Nie mógł się powstrzymać. Byli w siebie tam tak wpatrzeni. On też chciał mieć jakiś udział w tym ich szczęściu. Następnego dnia skserował swoje zdjęcie paszportowe, odpowiednio je pomniejszył i wkleił w miejsce, gdzie wcześniej na zdjęciu była głowa Piotrowskiego. Teraz jego żona czule patrzyła na niego i to on był pępkiem jej wszechświata. Patrzył na to zdjęcie od tamtego dnia każdego ranka i każdego wieczora. W nocy, leżąc pod kołdrą, próbował wyobrazić sobie, jaką moc i poczucie wartości musi dawać taka władza nad drugim*

*człowiekiem, nad kobietą. Do tej pory kobiety praktycznie go nie interesowały. Były we wrogim, przeciwnym mu obozie, od jego matki począwszy, po wszystkie śmiejące się z niego koleżanki w ośrodku opiekuńczym. Teraz już wiedział, że tylko ujarzmienie ich siły da mu to, czego potrzebował. To był jego nowy plan na przyszłość.*

# Rozdział 20

Telefon komórkowy Mikołaja był albo ciągle rozładowany, albo wyłączony. Tak czy inaczej podkomisarz miał problem, by się do niego dodzwonić. Przeszło mu nawet przez myśl, że Mikołaj nie odbiera, bo chce go za coś ukarać, lecz szybko odgonił tę myśl prostą kalkulacją. Wiedział, że syn za bardzo lubi swoje gry, do których miał zdawkowy dostęp na swoim telefonie, by wykorzystywać go do odgrywania się na swoim ojcu. Poza tym ostatnie dwa tygodnie, które spędził w Warszawie sam, bez syna, poświęcił w dużej mierze nadrobieniu zaległości w pracy, więc mogło się zdarzyć, że nie dzwonił do niego aż tak często, jak mu się wydawało. Dni mijały mu szybko. Zlewały się w jeden ciąg. Wieczorne piwo w pubie również temu sprzyjało. Dopiero drugiego dnia w Warszawie, gdy cisza w domu zaczęła mu dziwnie doskwierać, uzmysłowił sobie, że od sześciu lat nie miał wieczora tylko dla siebie. Nie wiedząc, co właściwie sam ze sobą miałby robić, wykonał parę telefonów i po godzinie znalazł się z kumplami przy piwie. Dziesiątego dnia wieczorem ktoś niepewnie nacisnął dzwonek do drzwi. Niespodziewanym gościem była Nikola. Stali przez chwilę przy drzwiach. Lew, zaskoczony, że dzwoniła do drzwi, zamiast – jak przez ostatnie lata – po prostu przez nie przejść, nie wiedział nawet, jak zacząć rozmowę. Do tego trudno mu było rozpoznać dawną zbuntowaną nastolatkę z konkretnym pomysłem na to, w co chce się ubierać i jak chce to nosić, w nowej koronkowej stylizacji podobnej do wielu innych, które widział na młodych dziewczynach w Warszawie.

– Cześć – powiedziała Nikola. Jej głos brzmiał jak dawniej, tyle że był cichszy i mniej stanowczy.

– Cześć. Wejdziesz? – zapytał, po czym przeszło mu przez myśl, że skoro już nie mieszkają razem, to może nie powinien jej proponować wejścia do domu, który nie był sprzątany od dobrych dwóch miesięcy. Nikola kiwnęła potakująco głową, nie miał więc już wyboru. Cofnął się, by ją wpuścić do środka. Weszła wolnym krokiem. Widział, że starała się nie rozglądać za bardzo, oczy jej jednak omiatały

całą przestrzeń. Nie potrafiła się widocznie powstrzymać. Usiadła na jednym z wysokich krzeseł przy blacie kuchennym.

– Właściwie to przyszłam jeszcze po parę swoich rzeczy – powiedziała. – Nie będę ci zabierać wiele czasu. Jest Niko?

– Jest na obozie w Wicierzy, nad morzem – odparł. Czuł, że powinien ją o coś zapytać, ale jak ognia starał się unikać wejścia na co najmniej milion trudnych tematów, które jak kula gradowa narosły między nimi przez ostatnie miesiące. – Jak się masz? Widzę, że zmieniłaś styl. Ładnie ci w różowym, chociaż lubiłem też twoje pstrokate bluzki.

– Tak. Też je lubiłam, ale chyba wybił mój czas, żeby dorosnąć.

– Nie mów mi tylko, że chcesz stać się nudnym dorosłym, jak reszta.

– Nie, aż tak to nie, ale zdecydowanie chcę znaleźć dobrze płatną pracę, a taki strój w tym pomaga. Poza tym czuję się w środku teraz tak właśnie jakoś… różowo.

– No tak – wymamrotał Lew, nie wiedząc, co więcej mógłby powiedzieć. – Mogę ci jakoś pomóc z tymi rzeczami?

– Rzeczami? – zapytała, wlepiając wzrok w brudny zlew.

– No z tymi, po które przyszłaś.

– Nie, poradzę sobie. Nie jest tego wiele.

– Jasne – odparł. – Jestem umówiony…

– Tak, oczywiście. Przepraszam, nie sądziłam, że gdzieś będziesz wychodził. Zazwyczaj byłeś w domu, ale skoro Nika nie ma, to chyba normalne, że… – powiedziała, po czym zawiesiła głos.

– Tak? – zapytał, gdy przez dłuższą chwilę nic nie mówiła.

– Jak chcesz, to wpadnę tu, zanim Niko wróci, i ogarnę trochę. Będzie mu miło – powiedziała, patrząc w podłogę.

– To bardzo miło z twojej strony, ale to, co powiedziałaś ostatnio… Miałaś rację, nie powinniśmy być dla ciebie takim obciążeniem. Nie martw się, wiem, że teraz jest tu bałagan, ale ja go posprzątam. Mam jeszcze dwa dni. Zdążę – uśmiechnął się, choć w głębi serca czuł smutek połączony z głęboką wdzięcznością. Dopiero teraz, gdy Nikola nie mieszkała dłużej z nimi, poczuł, jak wiele pracy i serca wkładała w to, by żyło im się wszystkim dobrze. Pewnie za rzadko jej dziękował,

jeżeli w ogóle to robił. Teraz nie mógł sobie nawet przypomnieć, czy to robił w ogóle. Zobaczył też w tej chwili, jak wielkim obciążeniem dla tej młodej, dorastającej dziewczyny pozbawionej rodziny była ich własna trauma. Pozwolili jej nosić ich brzemię wspólnie z nimi, chociaż ona miała już tak wiele swojego ciężaru na plecach.

– Nie martw się – powtórzył. – U nas się wszystko poukłada. Damy sobie radę i ty też sobie dasz... zresztą już sobie świetnie dajesz radę. Rozkwitasz. Cieszę się – powiedział.

Nikola pokiwała głową, nie podnosząc jej, po czym ruszyła w kierunku swojego dawnego pokoju, który był w garażu. Wyniosła z niego małe pudełko, w którym mogło się zmieścić niewiele więcej niż trzy zeszyty, i mówiąc „cześć", wyszła. Lew wziął z wieszaka wiatrówkę i kluczyki do samochodu. Spojrzał na dom i obiecał sobie, że następnego dnia posprząta. Ten wieczór jeszcze miał należeć do niego. Gdy wsiadał do samochodu, poczuł wibrację ściszonego telefonu. Na wyświetlaczu pojawiło się znajome imię.

– Jowita? – powiedział, odbierając telefon.

– Cześć. *Sorry* za porę. Pewnie masz wolne, ale jest taka sprawa, która nie daje mi spokoju.

– Co jest? – zapytał.

– Przyszedł dzisiaj na komendę młody facet. Powiedział, że nie może znaleźć żony. Dyspozytor nie przyjął sprawy, bo kobiety nie było według jej męża dopiero parę godzin. Teraz jednak przyszedł ponownie, tyle że twierdzi, że się pomylił i że jego żony nie ma już od wczorajszego wieczora – powiedziała policjantka.

– Ile lat ma ta zaginiona? – zastanawiał się podkomisarz.

– Trzydzieści osiem – odpowiedziała.

– Znacznie młodsza – myślał na głos.

– Tak. Też tak sobie pomyślałam, ale później dotarło do mnie, że dzisiaj jest niedziela, a ona zaginęła w sobotę, tak jak Chrząstkiewiczowa.

– Ale Katarzyna Bierat zaginęła, o ile pamiętam, w środę – odparł Lew uspokajającym tonem.

– Tak, w środę, ale przed Bożym Ciałem – potwierdziła Jowita. – Czyli dzień przed dniem świątecznym.

Lew chwilę milczał. Ciszę przerwała Jowita.

– Ta kobieta mieszkała co prawda na innym kempingu niż Chrząstkiewiczowa, ale przez okrągły tydzień, codziennie, z kempingu „Leśny" wynajmowała rowery, które są tam na stanie.

Lew spojrzał na zegarek.

– Będę za cztery godziny u was – powiedział. – Muszę się spakować. Niech ktoś zacznie przeszukiwać plażę.

– Po nocy?

– Tak – odpowiedział, po czym się rozłączył.

Pakowanie poszło mu sprawnie. Nie miał zbyt wielkiego wyboru. Zrobił w ostatnim czasie tylko jedno pranie, więc ściągnął wszystkie niedoschnięte koszule ze sznura i wsadził je do torby. Dzięki temu był w komendzie w Słupsku szybciej. Na miejscu zastał Jowitę czekającą na niego na zewnątrz.

– Może to nic – powiedziała na powitanie. – Może ona po prostu musiała odpocząć i wyjechała bez pożegnania...

– Czyli nie znaleźliście ciała?

– Nie – powiedziała niemal szeptem.

– Jak się nazywa?

– Sandra Dunder, a jej mąż ma na imię Sebastian – odpowiedziała, trąc dłońmi zaspaną twarz.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Lew, pocierając ręce. Noc była zaskakująco chłodna jak na tę porę roku.

– W środku. Zaprowadzę cię – powiedziała, po czym wskazała podkomisarzowi mały pokój w komendzie, gdzie przy biurku wyładowanym pustymi kubkami po kawie siedział wysoki mężczyzna o półdługich blond włosach. Mimo wyraźnego zmęczenia i zaczerwienionych oczu widać było, że jest przystojny. Szerokość jego ramienia, zakryta teraz pod koszulą, wskazywała również, że jest umięśniony i wysportowany. Na jego rękach spał chłopczyk.

– Dobry wieczór, jestem podkomisarz Lew. Czy mogę zobaczyć zdjęcie pańskiej żony?

– Zdjęcie? – powtórzył za nim mężczyzna, jakby nie mógł w pierwszej chwili zrozumieć sensu wypowiedzi podkomisarza. Dopiero po chwili wyciągnął swoją

komórkę i wyszukał zdjęcie. Był to portret. Z telefonu uśmiechała się do Lwa urodziwa blondwłosa kobieta.

– A ma pan takie, na którym widać całą jej sylwetkę? – zapytał Lew.

– Tak, na pewno… o tu, z plaży. Zrobiłem je dwa dni temu – powiedział, pokazując drugie zdjęcie, na którym widać było Sandrę Dunder w samym bikini. Tak jak jej mąż, była smukła i wysportowana zarazem.

– Wygląda, jakby dużo ćwiczyła. Umiała szybko biegać? – zapytał po chwili.

– Nie wiem, czy szybko, ale biegała często.

– Czy coś mogłoby sprawić, że byłaby łatwą ofiarą? – zapytał podkomisarz.

– Łatwą ofiarą? Czyli sądzi pan, że na pewno coś się jej stało – powiedział Sebastian Dunder, wstając. Był o głowę wyższy od Roberta Lwa.

– Nic, proszę pana, nie sądzę. Dopiero przyjechałem, ale zastanawiam się, czy jest coś, powiedzmy jakaś wada, jak na przykład zwichnięta kostka albo coś innego, co by mogło wpłynąć na to, że ktoś mógłby pomyśleć, że jest łatwym celem. To standardowe pytanie.

– Nie, w każdym razie nie sądzę…

– Podobno za pierwszym razem zgłosił pan, że żona zaginęła dzisiaj. Później jednak zmienił pan zdanie i zgłosił, że zaginęła już wczoraj. Jak to możliwe, że nie zauważył pan momentu, w którym zniknęła? – zapytał Lew. Był ciekaw odpowiedzi jedynie ze względu na prowadzone śledztwo, ale w jego głosie musiało być coś takiego, co pozwoliło mężowi zaginionej uznać, że go oskarża. Zgarbił się na krześle i oklapł, nie odpowiadając przez dłuższy moment.

– Nie wiem, jak to się stało. Mało sypiam.

– Mało pan sypia? – powtórzyła za nim Jowita.

– Tak. Mamy dwuletniego syna – powiedział, wskazując głową na dziecko na rękach. – Starsza córka – ciągnął, odwracając się w kierunku sofy, na której dopiero teraz podkomisarz zauważył śpiącą dziewczynkę – spała od małego sama w swoim pokoju, ale z drugim dzieckiem chcieliśmy wszystko robić inaczej, wolniej i spokojniej… ale nie wyszło. On ma dwa lata i dalej budzi nas w nocy, chociaż śpi koło nas. W domu zazwyczaj śpię w pokoju gościnnym, bo rozumieją państwo – mam pracę i muszę być wyspany… ale na wakacjach, i to w małym domku, nie ma gdzie uciec od nocnych płaczów, więc oboje byliśmy ostatnio ciągle niewyspani… i ja po prostu zasnąłem po tym, jak położyłem dzieci. Byłem pewien,

że Sandra wróciła po swoim joggingu, bo słyszałem, jak ktoś spuszczał wodę w łazience. Rano obudziłem się też dosyć późno. Jej nie było, ale myślałem, że poszła na poranną mszę. Ja nie chodzę do kościoła, ale ona tak. Zacząłem się martwić dopiero, jak do południa nie wróciła.

– Skąd pan wie, że jednak nie wróciła do domu w nocy? – przerwał mu podkomisarz.

– Moja starsza córka, Kornelia, powiedziała mi, że to ona była w ubikacji i że widziała, że mamy nie ma. Podobno próbowała mnie nawet obudzić, ale mocno spałem.

– Pił pan jakiś alkohol? – drążył Lew.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał mężczyzna.

– Próbuję określić, na ile faktycznie twardo pan spał, a pana osąd w nocy i nad ranem był zaburzony.

– Wypiłem może dwa piwa na ognisku, nie więcej.

– Na ognisku?

– Co tydzień organizują w sobotę takie ognisko z muzyką na kempingu obok – odpowiedział, a Lew z Jowitą wymienili między sobą spojrzenia. – Dlaczego to takie ważne?

– Rozumiem, że ma pan na myśli kemping „Leśny”? – zapytała Jowita.

– No ten sam, z którego wypożyczamy rowery, a co?

– Ognisko jest tylko dla osób mieszkających na terenie tamtego kempingu. Wy mieszkacie na innym, prawda? – zapytał Lew.

– To prawda, ale znamy właściciela i on sam nas zaprosił.

– Mogę cię prosić na słowo? – powiedział podkomisarz, patrząc na swoją koleżankę. Jowita kiwnęła głową i razem wyszli na korytarz.

– Wiem, że ta kobieta nie jest podobna do dwóch poprzednich, ale jest wiele punktów stycznych; dzień i kemping – powiedziała, gdy tylko podkomisarz zamknął za sobą drzwi.

– Nic nie wiemy o związku Biernat z kempingiem – przerwał jej Lew. – Ale zgadzam się z tobą. Coś jest na rzeczy.

– Jeżeli tak, to jutro znajdziemy ciało – powiedziała ponuro.

– Niekoniecznie – nie zgodził się z nią podkomisarz. – Sandra jest inna od dwóch poprzednich. Jeżeli za jej zniknięciem stoi ten sam człowiek, to jej inność może sprawić, że uda nam się ją uratować.

– Myślisz, że będzie się bronić?

– To też. Jest na pewno sprawniejsza. Trudniej będzie ją zabić. Ale też jest znacznie bardziej atrakcyjna. Może chcieć spędzić z nią więcej czasu, a to dla nas szansa – powiedział, pocierając ręce, jakby przygotowywał się do dużego wysiłku.

– Zwołam chłopaków – odparła. – I poinformuję komendanta.

– Zrób to. Będziemy potrzebowali posiłków. Poproś go koniecznie o wsparcie. Będzie trzeba zacząć przeszukiwać teren.

– W nocy?

– Tak, nie ma czasu do stracenia.

# Rozdział 21

*Napełniał duży dzbanek wodą. Była zimna, ale nie wystarczająco. Otworzył małą lodówkę turystyczną i wyciągnął z niej worki z lodem. Dodał parę kostek do dzbanka i czekał, aż się rozpuszczą, ochładzając wodę w dzbanie. Musiała być naprawdę zimna, żeby efekt był właściwy – by wstrząsnąć jej ciałem i duszą.*

*Czekając, patrzył na jej powyginane nienaturalnie ciało. Jeszcze się nie obudziła, ale wiedział, że to nastąpi niebawem. Jeżeli będzie musiał czekać na nią za długo, jego frustracja wzrośnie, a wtedy jego działania mogą stać się chaotyczne, jak ostatnio, a tym razem nie mógł pozwolić sobie na błąd. Ten raz miał być idealny. Miał zakończyć wszystko. Teraz musiał jednak czekać. Słysząc, jak kawałki lodu pękają w wodzie, przypomniał sobie fragment Biblii, który czytała im siostra zakonna w domu dziecka. Był to jego ulubiony fragment, w którym Bóg wyjawia sposób na pozbycie się trądu i oczyszczenie przez siedmiokrotne zanurzenie w rzece ciała. Było w tym działaniu coś kusząco prostego. Wymagało jednocześnie poświęcenia. Woda w rzece była zimna, tak jak zimna była woda w kranie w domu dziecka. Bojler grzejący wodę dla wszystkich podopiecznych pozwalał na komfortową kąpiel jedynie pierwszej piątce. Pozostali musieli się zadowolić wodą letnią, a ostatni zimną. Siostra codziennie ustawiała kolejkę do łazienki zgodną z zasługami każdego dziecka. Dla ostatnich, których czekała lodowata woda, miała jedynie pocieszające słowa z Biblii oraz zapewnienie, że taka woda sprawi, że dodatkowo będą silniejsi i zahartowani. Ta myśl podobała mu się bardzo, ale nie mógł się do zimna przemóc. Gdy lądował na końcu kolejki, stawał pod ścianą kabiny, odkręcał wodę, ale pod nią nie wchodził, udając jedynie, że się myje. Czasami zostawał w ten sposób pod prysznicem dłużej niż inni, by wzbudzić uznanie u siostry. Jeden z innych wychowanków jednak zauważył to, że spod prysznica wychodzi całkiem suchy. Inny doniósł, że na jego ciele są nadal ślady brudu po spędzonym tamtego dnia czasie w lesie. Siostra kazała mu się rozebrać do majtek i wejść z powrotem do kabiny. Odkręciła zimną wodę i zaczęła go nią sama polewać tak długo, aż zsiniały mu wargi. Choć było to upokarzające, samo wspomnienie wcale nie było złe. Tamtej nocy, stojąc pod lodowatą wodą naprzeciwko siostry zakonnej, doznał czegoś na kształt objawienia. Choć wcześniej wydawało mu się, że nie jest w stanie znieść zimnego*

*prysznica, po minucie stania pod lodowatą wodą zrozumiał, że nie czuje już niczego. Był w stanie nie tylko to przetrwać, lecz także stać tak długo, aż siostrze zrobi się go całkiem żal i sama poczuje się winna. Do końca nie płakał ani nie prosił, by przestała. Odzyskał utraconą kontrolę. Przejął inicjatywę. Do dzisiaj pamiętał, jakie wspaniałe uczucie w ciele towarzyszyło zakończeniu tamtego prysznica. Czuł się jak nowo narodzony, pozbawiony trądu.*

*Kobieta poruszyła nieznacznie nogą. Powoli jej ciało odzyskiwało czucie. Mężczyzna pomyślał o tym, jak za chwilę zacznie jej wlewać lodowatą wodę do gardła, niezbyt szybko, by ta chwila mogła trwać możliwie długo. Jeżeli byłoby to możliwe, spróbuje nawet chwilę przeciągnąć w dni. Pomyślał o tym, jak jej ciało będzie się szamotało, by uwolnić się od czegoś, co w istocie pozwoli na jego ostateczne wyzwolenie i zmyje wszelkie wcześniejsze winy i brud. Oczyści ją. W tym momencie, wyobrażając sobie to, co zaraz nieuchronnie nastąpi, poczuł, że jego spodnie w kroku robią się natarczywie ciasne, co tylko utwierdziło go w tym, że to, co robi, jest dobre.*

# Rozdział 22

Komendant policji w Słupsku, z którym Robert Lew zamienił przez ostatnie tygodnie jedynie parę zdań, teraz, przy bliższym poznaniu, okazał się człowiekiem bardzo rzeczowym i sprawnie działającym. Choć miał rangę znacznie wyższą niż Lew, zdawał się młodszy od niego o co najmniej pięć lat. Miał też podobną do Jowity otwartość i coś, co sprawiało, że szybko zdobywał zaufanie. Miał jeszcze jedną cechę, która szczególnie przypadła Robertowi do gustu – pokorę. Bez problemu zgodził się na to, by Lew włączył się do dochodzenia oficjalnie, już nie w roli konsultanta, i poprowadził dalsze działania. Komendant Plebańczyk w ciągu paru godzin załatwił dwa zespoły ludzi, które po otrzymaniu instrukcji od Lwa miały iść w teren.

– Przeszukajcie w pierwszej kolejności trasę, po której zgodnie z wiedzą męża mogła biec Sandra Dunder. Szukajcie nie tylko śladów uprowadzenia, takich jak ślad ciągnięcia czy porzucone ubranie lub jego fragmenty, lecz także kamer, również tych prywatnych. Może na tej trasie zobaczycie dom z prywatnym monitoringiem. Nie znamy dokładnej godziny, wiemy tylko, że zaginiona rozstała się z mężem przy ognisku po godzinie dwudziestej. Trzy osoby teraz rozmawiają z wczasowiczami, którzy mogli być również wtedy obecni i coś zobaczyć. Jeżeli pojawią się nowe informacje, dostaniecie wiadomość – powiedział podkomisarz, po czym dał znać, że odprawę uznaje za zakończoną. W osobnym pokoju, który przeznaczono na centrum dowodzenia, czekała na niego Jowita, komendant Plebańczyk, jego zastępczyni Michalak oraz sierżanci Kuna i Tchórz.

– Podkomisarzu – zwrócił się do niego Plebańczyk. – Powiedz nam, co myślisz o porywaczu.

– Nie jestem profilerem – odpowiedział Lew, stając przy białej tablicy magnetycznej, na której do tej pory pojawiły się jedynie trzy nazwiska kobiet: Bierat, Chrząstkiewicz i Dunder. – Myślę, że w pierwszej kolejności musimy założyć, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą.

– Dlaczego w pierwszej kolejności? Przecież, zgodnie z moją wiedzą, równie dobrze ostatnie zaginięcie może nie mieć nic wspólnego z dwoma poprzednimi utonięciami. Dlaczego równolegle nie zbadamy obu możliwości – zaproponowała Michalak. Była wysoką kobietą, zbliżającą się do wieku emerytalnego. Wyglądała na surowy męski typ. Jej budowę podkreślała źle dobrana krótka fryzura i wąskie usta pomalowane brązową kredką.

– Ponieważ wtedy tracilibyśmy cenne zasoby, które teraz nam są niezbędne – odrzekł Lew.

– Jakie zasoby? – zapytał Plebańczyk.

– Zasoby ludzkie – odpowiedziała za Lwa Jowita siedząca obok niego. Brak snu próbowała zamaskować mocniejszym makijażem, co niezbyt jej służyło. – Jeżeli mamy do czynienia z seryjnym mordercą, to tej kobiecie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo już teraz, więc musimy rzucić wszystkie nasze siły, by zapobiec najgorszemu.

– Rozumiem – kiwnął głową Plebańczyk. – Kogo więc szukamy?

– Jak powiedziałem wcześniej, nie jestem profilerem, a na ściągnięcie jakiegoś mamy teraz zbyt mało czasu. Mogę się jedynie opierać na swoim doświadczeniu. Jeżeli założymy, że te trzy kobiety łączy ten sam sprawca, to musimy zwrócić uwagę na czas. Nic nam nie wiadomo o wcześniejszych zaginięciach, ale to trzeba sprawdzić. Stefan – zwrócił się do siedzącego na końcu stołu sierżanta Kuny – czy mógłbyś sprawdzić sprawy z ostatnich pięciu lat, które dotyczyły kobiet?

– Czego mam szukać? – zapytał sierżant.

– W pierwszej kolejności przyjrzyj się utonięciom.

– Tego będzie u nas sporo – powiedział Kuna.

– Szukaj kobiet w wieku od trzydziestu do siedemdziesięciu lat, które zaginęły jeden dzień przed dniem wolnym od pracy. Potem poszukaj zgłoszeń o zaginięciach kobiet. Może jakieś ciało nie wypłynęło.

– Dobrze – odparł Kuna, zapisując wszystko skrzętnie na swojej komórce.

– Spora rozpiętość wiekowa – zauważyła Michalak. – To raczej nietypowe.

– To prawda – zgodził się z nią Lew. – Zakładam, że morderca może być osobą niepewną siebie. Może być niski albo w jakiś sposób niepełnosprawny lub jest po prostu słaby fizycznie. Dwie pierwsze ofiary były w podeszłym wieku i były stosunkowo łatwym celem. Mogły nie być jednak zgodne całkowicie z jego

preferencjami seksualnymi. Wybrał je, bo były w jego zasięgu. Sandra Dunder jest inna, jest seksowna, wysportowana i atrakcyjna. Jest też stosunkowo niska, co może sprawić, że w jego oczach jest łatwą zdobyczą. Ze względu na swoją atrakcyjność może być spełnieniem fantazji erotycznych mordercy. To dla nas szansa.

– Szansa? – zdziwił się Tchórz.

– Może chcieć spędzić z nią więcej czasu. Dwie poprzednie zamordował w zaledwie parę godzin po zniknięciu. Może nawet mordował je od razu. Dzisiaj nie znaleźliśmy jednak ciała. Musimy więc założyć, że Sandra żyje – powiedziała Jowita. Komendant Plebańczyk popatrzył na nią z wyraźnym uznaniem.

– A jakie znaczenie mają dzień i czas zniknięcia? – zapytała Michalak.

– Jeszcze nie wiemy – odarł Lew. – Możemy oczywiście założyć, że chodzi o dzień wolny od pracy. Wówczas moglibyśmy zawęzić poszukiwania do osób, które pracują w tygodniu i w sobotę, ale nie pracują w niedziele i święta.

– To może być też jakiś fanatyk religijny – wtrącił Tchórz. – Pierwsza zginęła przecież przed Bożym Ciałem. Może on je porywa wcześniej, ale uśmierca w święta?

– Może, ale nie sądzę, bo w takim wypadku dzisiaj znaleźlibyśmy ciało Sandry – przerwał mu Lew. – Może też chodzić o ofiary, a nie o mordercę. Może w te dni po prostu z jakiegoś powodu łatwiej mu było znaleźć ofiarę.

– A ognisko na kempingu? – zapytał Plebańczyk. – Słyszałem, że pytaliście o to przesłuchanych.

– Tak, pytaliśmy, choć nie wiemy, czy chodzi o samo ognisko, czy o kemping „Leśny" jako taki. Może też chodzić po prostu o porę. Po ognisku może się zdarzyć, że ktoś pójdzie na wieczorny spacer sam, i to znacznie później, niż robił to w poprzednie dni, właśnie ze względu na to wydarzenie. Bierat nie była obecna na ognisku, tylko znalazła się późno sama na plaży – powiedziała Jowita, a Plebańczyk po raz kolejny obdarzył ją pełnym aprobaty spojrzeniem, na który tym razem zareagowała lekkim rumieńcem.

– Czy możemy wywnioskować coś o samym mordercy, o jego psychice, po pierwszych dwóch ofiarach? – zapytała Michalak.

– Sądzę, że mamy do czynienia z osobą sfrustrowaną, nieodnoszącą sukcesów w życiu osobistym ani zawodowym, choć mogącą mieć stałą pracę. Jeżeli jest

w związku, to jest to związek głęboko nieszczęśliwy, a jego żona jest despotyczna. Wówczas morderstwa byłyby pewną manifestacją siły i chęcią odreagowania konieczności podporządkowania się w życiu codziennym kobiecie. Taką rolę może również pełnić matka lub inna silna postać kobieca w jego życiu. Całkiem możliwe również, że morderca nigdy nie był w żadnym stałym związku i zaczął mordować ze względu właśnie na problem w nawiązywaniu relacji z płcią przeciwną. Być może zmaga się z jakąś formą impotencji. Morderstwo to czyn ostateczny i nie każdy, na szczęście, jest do tego zdolny. W życiu tego mężczyzny musiało się coś wydarzyć, co odcisnęło na nim ogromne piętno. Z badań wynika, że większość morderców pochodzi z patologicznych rodzin lub przeżyło w dzieciństwie jakąś traumę.

– A co z wodą? – zapytał Plebańczyk. – Dlaczego akurat je topi, a nie dusi. Masz jakąś teorię na ten temat?

– Na razie nie. Ale topienie, jeżeli ofiara jest w jakiś sposób obezwładniona, jest łatwiejsze niż duszenie, które wymaga siły, której on prawdopodobnie nie ma, skoro wybierał na początku słabsze kobiety.

– A dlaczego teraz odważył się porwać młodszą, wysportowaną? – zapytał Kuna.

– Może poczuł się już w tym pewnie, skoro udało mu się z dwoma poprzednimi, a może po prostu trafiła mu się okazja. Sandra Dunder, według tego, co mówi mąż, miała po ognisku jeszcze pobiegać. Może sobie coś zrobiła, na przykład skręciła nogę albo wypiła alkohol, który zadziałał dopiero podczas treningu… Możemy tylko spekulować – powiedział Lew.

– Czyli wykluczasz to, że morderca miał jakiś konkretny plan? – podsumowała Michalak. Wyraz jej twarzy był niemal niezmienny. Podkomisarzowi trudno było odgadnąć, czy za jej dystansem stoi profesjonalizm, czy też po prostu znudzenie.

– On miał plan, ale nie dotyczył on konkretnej osoby, przynajmniej nie w tym przypadku – odpowiedział po chwili Lew. – Topienie wymaga miejsca i odpowiednich urządzeń, jak choćby wanna czy bieżąca woda. Trzeba w jakiś sposób ofiarę uprowadzić po cichu i przewieźć ją do wcześniej ustalonego miejsca. Możemy więc założyć, że morderca dysponuje samochodem oraz domem.

– Dlaczego domem? Przecież topić można choćby w garażu – powiedziała Michalak.

– Tak, to prawda – odparł Lew. – O ile ten garaż jest na tyle daleko od innych zabudowań, że nie słychać topionej ofiary.

Lew otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale drzwi do pokoju otworzyły się i pojawiła się w nich głowa dyspozytorki.

– Jowita, mogę cię prosić? – zapytała.

Jowita wstała i wyszła za nią na zewnątrz.

– Masz jakiś plan? – zapytał Plebańczyk podkomisarza.

– Standardowy. Jak na razie punktem stycznym jest kemping. Trzeba więc dokładnie sprawdzić listę pracowników, łącznie z animatorami i innymi wchodzącymi regularnie na teren kempingu, jak choćby ksiądz, który prowadzi tam msze, i towarzyszące mu osoby.

– Mamy prześwietlić księdza? – powtórzył za nim Kuna.

– Nie znam tamtejszego księdza. Wiem tylko, że raz w tygodniu, w niedzielę, pojawia się na stołówce, gdzie odprawia msze. Teoretycznie może spełniać niektóre z naszych kryteriów, jest bowiem mężczyzną, może mieć trudne relacje z kobietami i problemy seksualne, do tego niedziela i inne dni świąteczne mogą mieć dla niego szczególne znaczenie. Więc tak, prześwietlcie również księdza, myślcie nieszablonowo.

– Ale róbcie to raczej po cichu – wtrącił Plebańczyk. – Wolałbym, żeby to nie wyszło poza te cztery ściany.

– Jasne, szefie – odparł Kuna.

Zebranie powołanego zespołu się skończyło. Nikt jednak z pokoju nie wyszedł. Wszyscy otworzyli swoje laptopy i zabrali się do pracy. Jowita wróciła po chwili z dzbankiem świeżej kawy dla wszystkich. Usiadła ciężko koło Lwa.

– Sprawy domowe? – zapytał.

– Nie, znowu Burzyńska – odpowiedziała.

– Burzyńska… – nie mógł sobie przypomnieć tego nazwiska Lew.

– Pamiętasz tę staruszkę od kurew na poddaszu?

– A tak, już pamiętam – uśmiechnął się. – No cóż, jak mówił mój ojciec: starość nie radość.

# Rozdział 23

Mikołaj wyglądał inaczej i nie chodziło o to, że jego podrośnięte włosy opadały mocno na oczy, ani też o to, że miał podbite jedno oko. Było coś w układzie jego ramion, co sprawiło, że Lew nie poznał go z daleka, gdy szedł. Był wczesny ranek. Poprzedniej nocy pracowali bez ustanku. Na liście podejrzanych dosyć szybko znalazło się jedno nazwisko. Resztę nocy spędzili na sprawdzaniu wszelkich dostępnych informacji o nim. Fakt, że był w młodości notowany, a notatka z tamtego incydentu istniała jeszcze w papierowej wersji, znacznie im w tym pomogła. Gdyby nie świetna pamięć zastępczyni komendanta, Michalak, nie pomyśleliby nawet o nim. Sprawa była mało znacząca i ostatecznie umorzona. Nie została więc przeniesiona do rejestru cyfrowego, a jego nazwisko uszło ich wcześniejszej uwadze. Z notatki wynikało, że podejrzany wychowywał się w domu dziecka, gdzie miał opinię trudnego.

– Tato! – zawołał Mikołaj. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, który po chwili gwałtownie zniknął. – Chyba nie przyjechałeś jeszcze po mnie. Miałeś być dopiero w środę.

– Cześć, synku, ja też się stęskniłem – odpowiedział, przytulając go. – Nie, jeszcze cię nie zabieram. Przyjechałem tu znowu służbowo. Będę spał tym razem w Słupsku. Cieszę się, że ci się podoba. Co się stało z okiem?

– Nic takiego. Dostałem mocną piłką.

– Nie mogłem ostatnio się do ciebie dodzwonić – powiedział Lew.

– Zgubiłem ładowarkę, a nie miałem już kasy, żeby kupić nową.

– I nikt nie mógł ci pożyczyć?

– Nikt inny nie ma iPhone'a – wzruszył ramionami Mikołaj.

– Niesamowite – odparł Lew. – Mój syn przeżył tydzień bez komórki.

– Bardzo śmieszne, tato – burknął Mikołaj.

– Kupię ci ładowarkę dzisiaj, gdy będę w mieście.

– Wolę pieniądze. Tu jest taki jeden sklepik, w którym oprócz pamiątek są kable i inne takie. Mają ładowarki, widziałem. A ty pewnie będziesz zbyt zajęty.

– Masz rację, pewnie będę – odparł Lew, wyciągając pieniądze z portfela. – Zjemy razem kolację?

– Dzisiaj mamy mecz od siódmej. Będziemy na boisku.

– Okej. Postaram się być wcześniej, a jak nie, to może wpadnę jutro, po śniadaniu.

– Nie musisz – odpowiedział szybko Mikołaj. – Znaczy nic się nie stanie, jak nie będziesz miał czasu, jestem w końcu na obozie i do nikogo innego tu rodzice nie przyjeżdżają na śniadanie.

– Jasne, rozumiem – powiedział Lew, po czym poklepał go po ramieniu. Mikołaj pobiegł z powrotem do swojej grupy.

Lew obszedł teren kempingu. W recepcji znalazł właścicielkę pochyloną nad rachunkami.

– Dzień dobry, pani Ireno – powiedział. Kobieta, pochłonięta w lekturze, wzdrygnęła się. – Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

– Głupstwo! – powiedziała przez ściśnięte gardło. – Powiedziałabym, że miło pana znowu widzieć, gdyby nie to, że podejrzewam, że przyjechał pan w jakiejś smutnej sprawie.

– Tak, jestem służbowo. Chciałbym porozmawiać z pani mężem.

– Ze Sławkiem? – zdziwiła się. – Ale on nic nie wie i proszę uwierzyć, jak mówię to ja, jego żona – zaśmiała się.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Jest na naszym drugim kempingu.

– Mają państwo jeszcze drugi taki?

– Nie, jeszcze nie, ale się rozwijamy. Kupiliśmy parę hektarów nieużytków i chcemy je przerobić. To wymaga sporo czasu i pracy. Teraz tu było spokojnie przez ostatnie dni, mało osób przyjeżdżało i wyjeżdżało, więc on siedział głównie tam.

– A może mi pani powiedzieć dokładnie, gdzie to jest?

– To nie będzie potrzebne – powiedziała, wyciągając palec w kierunku okna, gdzie na podjeździe zaparkowała biała furgonetka. – Przyjechał. Pewnie zrobił się

głodny.

Lew skinął głową i wyszedł. Od właściciela i jego furgonetki dzieliło go mniej niż dwadzieścia metrów, zamiast więc zadzwonić, napisał do Jowity wiadomość. Pan Sławek podszedł do bagażnika samochodu, by go otworzyć, ale gdy zobaczył Lwa, zabrał rękę z klamki i zamiast tego podszedł do podkomisarza.

– Dzień dobry – powiedział. – Czy przyjechał pan w sprawie tej nowej zaginionej kobiety?

Lew skinął głową.

– Słyszał pan o niej? – zapytał.

– Tak, przed chwilą rozmawiałem z Ignacym Stawowskim, właścicielem kempingu, w który którym się zatrzymała tamta rodzina.

– Znał ich pan?

– Kogo? – zdziwił się właściciel.

– Rodzinę zaginionej i samą zaginioną? – zapytał Lew.

– Ja? Skądże. Znaczy nie wiem, o kogo chodzi, tylko że ktoś stamtąd – odparł.

– Czy zechciałby pan pojechać ze mną na komendę w Słupsku? Musimy spisać pana zeznania i formalnie przesłuchać.

– Dlaczego?

– Takie procedury. Wcześniej nie było na to czasu, ale formalnościom musi stać się zadość – odpowiedział podkomisarz, wskazując mu swój samochód. – Zapraszam.

– A moja żona? Muszę jej powiedzieć.

– Już z nią rozmawiałem. Proszę się nie denerwować – uspokajał go. Pan Sławomir w końcu kiwnął głową i wsiadł do samochodu podkomisarza. Pięć minut po ich odjeździe na teren kempingu wjechał samochód prowadzony przez Jowitę oraz dwa kolejne z oddelegowanymi do sprawy policjantami. Pani Irena wyszła zaskoczona z rejestracji.

– Dzień dobry, co się dzieje? – zapytała.

– Proszę się nie denerwować. Jako organ prowadzący sprawę musimy wszystko sprawdzić. Mam nakaz przeszukania państwa domu. Chciałabym również prosić o to, by otworzyła pani nam tamtą furgonetkę – powiedziała Jowita. Właścicielka zbladła i nie ruszyła się z miejsca.

– Pani Irenko, jeżeli chce pani, by mąż szybko wrócił, to proszę nam pomóc. To w jego interesie. Im szybciej skończymy, tym szybciej on będzie w domu – powiedziała policjantka.

Właścicielka patrzyła na nią zamglonymi oczami, jakby zupełnie nie rozumiała tego, co mówi.

– Podobno kupili państwo w tym roku działkę pod budowę nowego kempingu. Czy są na niej jakieś zabudowania?

– Nie… to znaczy tylko rozwalająca się stara stodoła. Poza tym to łąka – wyszeptała pani Irena cicho.

Zaschło jej w gardle i z trudem wydobywała z siebie głos.

– Gdzie jest ten kemping? Proszę pokazać mi na mapie – powiedziała Jowita, wyciągając ze swojego samochodu papierową mapę okolicy.

– Tutaj – powiedziała pani Irena, rysując kwadrat na mapie dziesięć kilometrów dalej.

– Dlaczego kupili państwo akurat tam? To dosyć daleko, by prowadzić dwie działalności naraz.

– To była okazja – odpowiedziała właścicielka. – Kupiliśmy po znajomości od kolegi Sławka. Dobrze się dogadali. Cena nie była wysoka, a do tego ładna okolica. Same lasy dookoła. Zacisznie tak.

– Będę potrzebowała kluczy do państwa domu. Tu mam nakaz – powiedziała, pokazując kobiecie dokumenty. Ta jednak nawet na nie nie spojrzała.

– W lecie śpimy tu, nad jadalnią. Drzwi są otwarte. A do mieszkania w Słupsku mam klucze na szafce w przedpokoju. Nasz adres to…

– Znamy adres – przerwała jej Jowita. – Dziękuję – powiedziała. Podeszła do pierwszego samochodu, w którym czekali policjanci, i wręczyła im mapę z zaznaczonym miejscem z działką.

– Jedźcie najpierw tam. Jest tam stara stodoła. W niej może znajdować się zaginiona. Potem sprawdźcie cały teren. Mogą tam być ukryte piwnice. Skoro była stodoła, to mogło być dawniej też całe gospodarstwo, które z czasem wyburzono, ale piwnice zawsze zostają.

Pierwszy samochód ruszył z piskiem opon. Jowita podeszła do kolejnego.

– Zaraz przyniosę wam klucz. Pojedziecie do ich mieszkania w Słupsku. Jeżeli nie będzie tam zaginionej, wypytajcie sąsiadów, czy właściciele pojawiali się w mieszkaniu w ostatnich dniach. Jak nie, to wróćcie pomóc mi tutaj.

# Rozdział 24

– Chce go pan pierwszy przesłuchać? – zapytała prokurator Krystyna Gierowska. W niczym nie przypominała prokuratorów, z którymi Lew miał zwyczaj pracować w Warszawie, a którzy nader chętnie mówili policji, co ma robić i w jakiej kolejności. Kazali się przywozić i odwozić po wszystkich spotkaniach do swoich biur. Głos prokurator Gierowskiej był przyjazny i dźwięczny jak u piosenkarki. Miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu i sporą tuszę. Na nos nakładała małe, złote, okrągłe okulary. Jej usta pomalowane były błyszczykiem, a włosy splecione w kok i podpięte ozdobną klamrą. Kroki kobiety, mimo jej wagi i dosyć wysokich szpilek, były zarówno miękkie, jak i szybkie. Stukot jej butów od rana był słyszalny w całej komendzie. Żaden z policjantów nie wydawał się jednak skrępowany jej obecnością.

– Tak – odparł. – Ale najpierw chcę się lepiej przygotować.

– Dobrze. Ja wejdę z panem, jak pan będzie gotowy. Nie będę panu przeszkadzać, ale chciałabym móc osobiście zobaczyć tego mężczyznę i ocenić jego reakcje na pana pytania, zanim zadam później swoje.

– Tak zróbmy – odparł.

– Jak chce się pan przygotować? – zapytała, a przy pytaniu słychać było stukot jej obcasów.

– Chcę przejrzeć nagrania i ustalić chronologię. Później chciałem jeszcze raz porozmawiać z mężem Sandry Dunder. Powiedział, że właściciel kempingu sam ich zaprosił na ognisko, chcę to zweryfikować. Umówiłem się też po południu na spotkanie z wychowawczynią domu dziecka, w którym wychowywał się pan Sławek. Może pojawi się coś związanego z topieniem się albo wodą, coś, co pomoże mi w czasie przesłuchania poprowadzić go we właściwym kierunku.

– Macie już jakieś wiadomości od chłopców przeszukujących ten drugi kemping? – zapytała, przebierając nogami w miejscu. Słychać było ponownie stukot jej obcasów, chociaż góra jej ciała wydawała się nieporuszona.

– Jeszcze nie.

– Jak to możliwe, że wcześniej o tym drugim kempingu nie wiedzieliśmy?

– Niedawno kupili tę działkę. Płacili w ratach i formalności dopełnili dopiero przed dwoma tygodniami, choć ogrodzenie postawili już sześć miesięcy temu. Jeszcze nie pojawiły się zmiany w księgach wieczystych i działka cały czas oficjalnie figuruje na poprzedniego właściciela. Mieliśmy szczęście.

– Pan miał szczęście, podkomisarzu. Bóg nam sprzyja – powiedziała.

– Nie wiem, czy mieszałbym w tę sprawę Boga, ale mam szczerą nadzieję, że odnajdziemy zaginioną żywą.

– Ja wierzę w Wyższą Interwencję, zwłaszcza że sam pan zauważył, że te straszliwe zbrodnie miały miejsce w święta kościelne – powiedziała, zaciskając usta. Jej złote kolczyki w kształcie obręczy się zakołysały. Lew nic nie odpowiedział. Wolał nie marnować czasu na jałowe dyskusje, które jedynie mogły zniechęcić do niego mimo wszystko sympatyczną panią prokurator, nawet jeżeli jej poglądy znacznie odbiegały od jego.

Drzwi komendy trzasnęły, zamknięte gwałtownie przez przeciąg. Do środka wszedł mąż zaginionej.

– Chcieli mnie państwo widzieć? – powiedział, patrząc na policjantów stojących w korytarzu.

– Tak, zapraszam pana – krzyknął w jego kierunku Lew. – Proszę ze mną. – Podkomisarz zaprosił go do jednego z pokojów. Usiedli.

– Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie o właścicielu kempingu – zaczął bez wstępu podkomisarz. Oszołomiony mężczyzna wybałuszył oczy.

– Macie podejrzanego? Czy to znaczy, że znaleźliście Sandrę?

– Jeszcze nie, ale robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ją znaleźć. Ponieważ pana żona zaginęła prawdopodobnie zaraz po wyjściu z ogniska na kempingu „Leśny", sprawdzamy wszelkie możliwe osoby i wątki powiązane z tym miejscem. Wspomniał pan wcześniej, że wypożyczaliście tam rowery. Kto państwa wtedy obsługiwał?

– No on, właściciel. Jego żona też była obecna, ale to on zajmował się rowerami.

– Czy to był wasz jedyny kontakt z nim? – dopytywał Lew.

– Nie, w piątek był u nas w domku – odparł mężczyzna.

– Na waszym kempingu?

– Tak – odpowiedział Dunder. – Zepsuł nam się bojler. Jakaś uszczelka poszła i właściciel naszego kempingu nie mógł sobie z tym poradzić, więc zadzwonił do niego. Przyszedł pan Sławek i wymienił uszczelkę, i potem wszystko już działało.

– Pana żona była wtedy w domku? – dopytywał Lew.

– Tak, wszyscy byliśmy. Dzieciaki dostały trochę kataru poprzedniego dnia, więc słabo spaliśmy i późno wstaliśmy z łóżek. Gdy przyszedł, byliśmy jeszcze w piżamach. Sandra się śmiała, że pewnie ciągle jest narażony na kempingu na widok niewymalowanych kobiet w podomkach, a on jej odpowiedział, że to sama przyjemność.

– Dużo rozmawiali?

– Niedużo. On jest raczej milczkiem. Trochę wycofany. Głównie więc my mówiliśmy. Sandra go wypytywała o różne trasy, gdzie moglibyśmy iść na grzyby albo gdzie lepiej biegać.

– Gdzie biegać? – powtórzył za nim podkomisarz.

– Tak, Sandra to straszny tchórz. Boi się wszystkich zwierząt, a zwłaszcza tych dzikich. W mieście biega bez problemu nawet późnym wieczorem, ale tu się trochę bała, że coś zacznie ją gonić. Owca

– Dziękuję, to wszystko. To wszystko, co chciałem wiedzieć – powiedział Lew. – Nie będę pana dłużej zatrzymywał.

– A mógłbym zostać tutaj? – zapytał Dunder.

– Tutaj? Po co?

– Jakbyście ją znaleźli… to chciałbym wiedzieć od razu. Ja nie mogę wytrzymać w tym domku, zwłaszcza teraz, jak jestem tam sam…

– Rozumiem pana dobrze – odparł Lew. – Niestety nie mogę panu pozwolić na zostanie tutaj. Pana obecność zakłóciłaby naszą pracę. Po drugiej stronie ulicy widziałem sympatyczną kawiarnię. Może pan tam wypić kawę. Jeśli coś będziemy wiedzieli, obiecuję, że do pana zadzwonię.

– Dziękuję, podkomisarzu – odpowiedział Dunder, ściskając mu mocno dłoń.

Chwilę później do Lwa podeszła Jowita. Była rozemocjonowana.

– Mamy coś – powiedziała.

– Znaleźliście coś w jego domu? – zapytał Lew.

– Nie, nasz zespół dalej szuka, ale ja przyjechałam, żeby ci coś pokazać – powiedziała, otwierając laptop. Na ekranie pokazał się niezbyt wyraźny czarno-biały film nagrywany z wysokości.

– Co to?

– Nagranie z monitoringu z wypożyczalni desek windsurfingowych. Widzisz – powiedziała, wskazując na biegnącą wolnym truchtem kobietę ze związanymi włosami – To Dunder. Widać ją przez dwie sekundy o dwudziestej pierwszej trzydzieści.

– Poprzednie kobiety zostały uprowadzone prawdopodobnie znacznie później.

– Tak, ale zobacz, kto chwilę później za nią idzie.

Na nagraniu pojawiła się sylwetka starszego mężczyzny w kaszkiecie.

– Taką samą czapkę znalazłam na wieszaku w jego domu. To on.

– Trochę mało widać, ale to dobry trop. Trzeba poszukać innych nagrań. Może gdzieś będzie widoczna twarz.

Jowita kiwnęła głową.

– Wiadomo już, czy znaleźli coś w tej stodole? – zapytał Lew, zanim wyszła.

– Nic, ale przeszukują teren wykrywaczem. Może coś znajdą.

– Mam nadzieję – powiedział ponuro Lew. Zegar niemiłosiernie tykał, a podkomisarz dobrze znał statystyki. Im więcej czasu upływało, tym mniejsza była szansa, że znajdą Sandrę żywą, nawet jeżeli jej porywacz jest zamknięty w pokoju na komendzie.

– Jadę porozmawiać z opiekunką z domu dziecka, żeby lepiej przygotować się do przesłuchania. Chcesz jechać ze mną? – zapytał. Jowita pokiwała głową. Jej z godziny na godzinę coraz bardziej oklapnięte i zmierzwione włosy zafalowały.

# Rozdział 25

Bożena Świdnicka ledwo wstawała z łóżka. Rwa kulszowa, która jej dokuczała, sprawiła, że ostatnie lata życia były nie do zniesienia. Ból nie odpuszczał nawet w nocy. Najgorszy był jednak towarzyszący jej coraz częściej wstyd. To okropne uczucie prześladowało ją od samego rana, gdy ponownie nie udało jej się dojść na czas do toalety i po drodze napotkała zaskoczony wzrok męża. Czuła to samo, gdy przychodziły odwiedzić ją wnuki, i widziała ich oczy rozglądające się po zakurzonym pokoju. Czuła to w końcu, gdy synowa bezpardonowo zaczynała sprzątać w jej kuchni i zmywać naczynia, których ona nie miała siły już utrzymać w dłoni. Tego dnia, w momencie, gdy odebrała telefon, wstyd ustąpił miejsca zupełnie innym uczuciom, które wzburzoną falą zaczęły zalewać jej umysł. Siedziała na łóżku i z trudem starała się włożyć skarpety. Bez powodzenia. Jej stare ciało zupełnie odmawiało jej posłuszeństwa, i to właśnie w takiej chwili, gdy praca jej życia mogła zostać całkowicie podważona, a nawet przekreślona, a z nią wszystko to, co uważała za cenne i wartościowe.

– Kochanie – powiedział mąż, przerywając jej bezowocne zmagania. – Przyszli już. Czekają w salonie.

– Już idę. Podaj herbatę – odpowiedziała, po czym rzuciła skarpety w kąt, a gołe stopy wsunęła w pantofle. Wzięła do ręki laskę i powoli, opierając się drugą dłonią o chropowatą ścianę, poszła wolno do salonu, w którym czekał na nią barczysty mężczyzna z kilkudniowym zarostem i podkrążonymi oczami. Przez myśl jej przeszło, że gdyby spotkała go wieczorem w parku, toby się przestraszyła. Obok niego siedziała pulchna rudowłosa kobieta o zbyt krótkim nosie i brudnych włosach. Ani on, ani ona nie wyglądali na ludzi godnych zaufania. Poprosiła więc, by się wylegitymowali. Podali jej dokumenty, które potwierdzały ich tożsamość, pozostało więc jej jedynie kiwnąć głową i usiąść na fotelu naprzeciwko nich.

– Dlaczego chcecie rozmawiać o Sławku? Co się takiego stało? – zapytała.

– Lada chwila zostanie zatrzymany w sprawie zaginięcia kobiety. Podejrzewamy, że mógł mieć też coś wspólnego z morderstwem dwóch innych kobiet… – powiedziała rudowłosa policjantka, zanim siedzący obok mężczyzna jej nie powstrzymał ręką. Być może mieli jej tego nie mówić, a może on zobaczył to, jak się delikatnie wzdrygnęła.

– Wiedziałam, że taki dzień nadejdzie – wycedziła, po czym opadła na oparcie fotela.

– Podejrzewała pani Sławka o to, że kiedyś popełni przestępstwo? – zapytał podkomisarz.

– Ja ich wszystkich o to podejrzewałam. Każde z dzieci, które przeszły przez tamten ośrodek Sióstr Bożej Łaski. Nie da się dzieci wychowywać bez rodziców. Nie da się ich tylko karmić i przebierać, i udawać, że wszystko jest w porządku. Zwłaszcza te, które doświadczyły takich strasznych rzeczy jak Sławuś…

– To był ośrodek prowadzony przez zakonnice?

– Tak, ale nie tylko. Oprócz zakonnic pracowało tam trochę kadry świeckiej, w tym ja – odparła.

– Może nam pani coś o nim opowiedzieć? Pracowała pani już w domu dziecka, gdy go przyjęto, prawda?

Świdnicka przytaknęła głową, nie od razu jednak zaczęła opowiadać. Przed oczami miała całą gromadę dzieci i kilkadziesiąt przyjęć, których była świadkiem. Jedne odbywały się w całkowitej ciszy, inne wręcz przeciwnie. Wspomnienia o nich były pełne rozdzierających krzyków, tak jak było właśnie w przypadku tego małego chłopca.

– Ma pan jego zdjęcie? Chciałabym zobaczyć, jak wygląda na starość. Bo on chyba już musi być stary, skoro ja mam już osiemdziesiąt siedem lat, a przyjmowałam go jako bardzo młoda dziewczyna – powiedziała.

Podkomisarz wyciągnął telefon i pokazał jej coś na wyświetlaczu. Oczy jednak nie były w stanie się skupić na tak małym obrazku, więc widziała jedynie rozmazane plamy. Wydawało jej się jednak, że widzi mężczyznę o miłej aparycji i sympatycznym uśmiechu, takim, który zapamiętała sprzed pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu lat.

– Sławka odebrano w czasie interwencji milicji. Pochodził z przemocowego domu. Oprócz niego mieliśmy wcześniej trójkę jego rodzeństwa, ale tamci zostali

adoptowani, więc gdy się u nas zjawił, nie znał nikogo. Miał zresztą niewiele ponad dwa lata, więc i tak mało by to zmieniło. Pamiętam, że gdy milicjanci go przynieśli, był jak zwierzątko. Krzyczał i się szarpał. Był brudny i nic nie potrafił. Płakał non stop przez pierwsze dwa dni. Potem w końcu zasnął i wtedy udało nam się go umyć i obciąć mu włosy, w których miał potworne kołtuny.

– Sprawiał duże problemy później? – zapytał policjant.

– O, jeszcze jakie! – odparła. – Zresztą oni wszyscy sprawiali, ale on przodował. Był wielkim łobuzem. Nigdy nie dawał za wygraną. Jak się na coś uparł, to nie odpuszczał. Długo bardzo nie chciał się myć, i kiedyś, nie mając już więcej sił na szarpanie się z nim i przekonywanie, powiedziałyśmy, że nie dostanie jedzenia, aż się nie umyje, i wiecie co? On nie jadł przez dwa dni. Nie miałyśmy więc wyboru i musiałyśmy w końcu ustąpić. Na szczęście jemu też potem trochę przeszło, zwłaszcza gdy po remoncie łazienek wstawili jedną wannę. Okazało się, że wannę lubił, tylko do pryszniców miał jakieś uprzedzenie. Może się bał, nie wiem.

– A wannę lubił? – dopytała policjantka. Świdnicka przypatrywała jej się przez chwilę. Nie wyglądała na nierozgarniętą, pytania jednak zadawała co najmniej głupie.

– Tak, wannę lubił – odpowiedziała, cedząc osobno każde słowo.

– Miał skłonności do agresji wobec innych? – zapytał policjant.

– Skłonności to nie wiem, ale czasami z kimś się pewnie pobił. Nie pamiętam jednak niczego szczególnego w jego zachowaniu. Powiedziałabym, że był mimo wszystko sympatycznym dzieckiem, zwłaszcza później, jak podrósł i stało się już jasne, że nikt go nie adoptuje. Zaczęłyśmy go traktować jak swoje dziecko, bo nikogo poza nami nie miał. Mój mąż miał nawet do mnie pretensje, że ja bardziej troszczyłam się o te dzieciaki z sierocińca niż o własne i o niego. Może tak było. Może byłam złą matką, ale naprawdę wydawało mi się, że tam robię dobrą robotę, a tu taka historia – powiedziała i czuła, że tama, która wzbierała od rana, powoli pęka i łzy zaczynają spływać po jej policzkach.

– Na pewno była pani świetną opiekunką, nikt tego nie podważa – powiedziała policjantka.

– Jak to nikt nie podważa? A jak inaczej to można nazwać? Po co byście do mnie przyjeżdżali, jak po to, by sprawdzić, co takiego złego przy tym dziecku zrobiłam, że on na takiego wyrósł…

– To nie tak – przerwał jej podkomisarz. – Mamy nadzieję, że nam pani pomoże. Obserwowała go pani przez lata. Uratowała go pani od okropnego losu, była pani dla niego wytchnieniem. Liczymy, że może pani coś zobaczyła, a może nawet on coś pani powiedział takiego w sekrecie, co nam teraz pomoże.

– Ale co takiego? – krzyknęła kobieta. – Co ja mogę wiedzieć?

– Proszę nam po prostu o nim opowiedzieć – powiedziała kobieta.

– No dobrze… Więc Sławuś był… on wiedział, czego chce. Gdy dorósł, zawsze miał jakiś plan. Dostał kiedyś taki zeszyt i pisał w nim historie. Zapytałam go, czy zostanie pisarzem, a on mi pokazał ten zeszyt i tam było coś takiego jak pamiętnik, tyle że z przyszłości, a nie przeszłości. On w nim pisał, jak chciałby, żeby jego dzień wyglądał. I pisał o tym, jakim chciałby być mężczyzną. Nic nie było w tym niepokojącego. Nie miał jakichś szczególnie wydumanych marzeń, ot, takie normalne. Chciał założyć rodzinę, mieć żonę i dzieci, i jakiś własny biznes. Tyle pamiętam.

– A jaki był jego stosunek do dziewczyn, pamięta pani może?

– Nie za bardzo. Pamiętam, że jak był mały, to bardzo lubił spędzać czas z taką jedną dziewczynką, młodszą trochę od niego. Madzia miała na imię. Kiedyś znaleźliśmy ich razem w łazience. Byli od pasa rozebrani, a z wanny wylewała się woda. Mówili, że chcieli zrobić sobie basen, więc zakazaliśmy im bawić się w ogóle w łazience. Potem Madzia została adoptowana i Sławuś długo nie mógł znaleźć sobie nikogo bliskiego. Był trochę odludkiem, choć był bardzo pyskaty i często przewodził zabawom, to mimo wszystko widać było, że nie ma się dobrze i czuje się samotny. Taka samotność dziecka jest okropna – powiedziała, po czym przerwała, by zdusić w gardle gulę płaczu, która się nagle tam pojawiła i nie chciała przejść.

– Samotność jest okropnym uczuciem, które niszczy od środka i każdego może odmienić – powiedział podkomisarz.

– Ma pan rację, choć zawsze miałam wrażenie, że akurat na Sławka koniec końców nie wpłynęła jakoś negatywnie, bo on jak od nas się wyprowadzał, to wydawał się takim dobrze poukładanym młodym człowiekiem. Potem nie miałam z nim za bardzo kontaktu. Dostaliśmy tylko zawiadomienie o jego ślubie, ale bez zaproszenia. Czy miał dzieci?

– Nie.

– A to małżeństwo jego szczęśliwe było? – dopytywała.

Policjant wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Są w każdym razie nadal razem.

– To dobrze – odparła Świdnicka z wyraźną ulgą, jaką jej dało to stwierdzenie. Nikt nie jest przecież długo z kimś, z kim nie jest mu dobrze. Tak przynajmniej ona to widziała. Nie sposób przecież tak długo udawać szczęścia i miłości.

– Nie będziemy pani dłużej przeszkadzać. Dziękujemy za pomoc – powiedzieli i wyszli z jej mieszkania, sądząc pewnie, że ich wizyta trwała dla niej zaledwie pół godziny i nie miała większego znaczenia. Ot, jedynie przerwa w nudnym, emeryckim życiu. Jakże mało oni, młodzi, wiedzieli o życiu takich osób jak ona.

– I co teraz będzie? – zapytał nagle jej mąż. – Pewnie to zrobił, skoro do ciebie przyszli.

– Pewnie tak – odrzekła smutno.

– A ty dla takich jak on poświęciłaś nasze życie rodzinne. Nie wstyd ci?

– Wstyd – odpowiedziała, opadając ponownie na oparcie fotela. – Mnie jest ciągle wstyd.

# Rozdział 26

– Może herbaty? – zaproponował Lew, siadając koło niego. Pan Sławomir potrząsnął tylko spuszczoną głową. Wyglądał bardziej jak ktoś przybity niż podejrzany.

– Przeprowadzamy czynności w sprawie zaginionej Sandry Dunder – zaczął Lew.

– Mówiłem już, że jej nie znam – przerwał mu mężczyzna.

– Jej mąż twierdzi inaczej – powiedziała Jowita, kładąc czarną teczkę na stole przed nim. Pani prokurator Gierowska zastukała obcasami, czekając z wyraźną niecierpliwością na reakcję mężczyzny.

– Co to jest? – zapytał pan Sławomir, zerkając na teczkę.

– Znasz ją? – odpowiedział pytaniem Lew, podając mu zdjęcie kobiety z teczki.

Pan Sławomir wziął je drżącą ręką i przybliżył do twarzy. Ze zdjęcia patrzyła na niego uśmiechnięta blondynka.

– To o nią pytacie? – zapytał.

Z jego twarzy zszedł wyraz smutku, a zastąpiło je przerażenie.

– Tak, to jest Sandra Dunder, u której pan był w domku kempingowym jeden dzień przed jej zaginięciem – powiedziała Jowita. Starała się mówić stanowczo, było jednak słychać w jej głosie stres.

– Nie wiedziałem, że o nią chodzi – odparł po chwili. – Naprawdę nie wiedziałem.

– A teraz, jak pan już wie – wtrącił się Lew – niech nam pan o niej opowie i o waszej znajomości.

– O naszej znajomości? – powtórzył za nim pan Sławomir. – Ale ja ich znam tylko trochę. Mój kolega, właściciel ich kempingu, zadzwonił do mnie, że zepsuł im się bojler, a ja jestem elektrykiem z zawodu, więc podjechałem do nich.

Okazało się, że to nic takiego, tylko uszczelka poszła. Miałem akurat jedną ze sobą, więc wymieniłem. To wszystko.

– Proszę mówić prawdę – napierała na niego Jowita.

– Ale o co chodzi?

– Chodzi o to, że wiemy też, że wypożyczał im pan rowery – powiedział Lew.

– Wypożyczałem? – odpowiedział zaskoczony.

– Tak. Podobno też zaprosił pan ich na ognisko – dopowiedziała Jowita. W jej oczach widać było złość i zniecierpliwienie, dwie emocje, których podkomisarz nie spodziewał się zobaczyć u swojej koleżanki.

– Być może… – wysapał. Jego oddech robił się coraz cięższy. Lew spojrzał na niego badawczo.

– Czy przyjmuje pan jakieś leki na serce? – wydyszał.

– Tak, na nadciśnienie.

– A wziął pan dzisiaj? – dopytywał podkomisarz, widząc pot pojawiający się na jego czole.

– Nie wiem, może zapomniałem, a może po prostu przez to wszystko zrobiło mi się gorąco.

– Zrobimy przerwę – odparł Lew mimo spojrzenia Jowity, w którym było widać sprzeciw. – Pojadę po pana lekarstwa, jak pan się poczuje lepiej, to będziemy kontynuować.

Jowita nie czekała nawet, aż zamknął drzwi za sobą. Głos jej drżał.

– Kurwa. Co ty robisz, Robert? Chcesz mu po lekarstwa jechać, jak on przetrzymuje Bóg wie gdzie tę biedną kobietę? Musimy ją uwolnić. Jej życie powinno być naszym priorytetem, nawet jakbyśmy go mieli później odwieźć do szpitala.

– Jej życie jest dla mnie priorytetem – odrzekł Lew, odsuwając się od niej. – I dlatego właśnie pojadę teraz po te zasrane pigułki. Jeżeli jemu stanie serce, to możemy jej nigdy nie odnaleźć, a czas może być kluczowy.

– Oczywiście, że czas jest kluczowy, i dlatego właśnie powinniśmy teraz go przyciskać i brać z zaskoczenia, a nie dawać mu szansę na przygotowanie wygodnego wykrętu. Teraz, jak pokazaliśmy mu jej zdjęcie…

– A co, jak ona jest w zamkniętym pomieszczeniu i się udusi w ciągu paru godzin? Jeżeli on zasłabnie w tamtym pokoju i nie wyciągniemy od niego informacji, bo nie chciało nam się dupy ruszyć, to nie dość, że bekniemy za jego zgon, ale jeszcze będziemy moralnie winni jej śmierci – rzucił Lew, po czym nie czekając już na jej odpowiedz, ruszył do swojego auta. Jechał na sygnale i był ponownie na komendzie po czterdziestu minutach. Gdy wrócił, Jowita wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną niż wcześniej.

– Słuchaj, ja wiem, jak się czujesz – powiedział Lew.

– Jak niby? – burknęła.

– Czas mija, a my jej nie znajdujemy. Przerabiałem to wiele razy, a ty pewnie nie. Teraz działasz pod wpływem adrenaliny, bo nie spałaś w nocy, ale zaraz ona zniknie z twojego krwiobiegu i poczujesz po prostu bezsilność, która cię będzie zżerać od środka. Jeśli to ponad twoje siły, możesz w każdej chwili dać mi znać i wyjść – powiedział Lew, pochylając się lekko do przodu.

Jowicie przeszło przez myśl, że przytulenie w miejscu pracy, nawet w tak stresującym momencie, jest nie na miejscu. Mimo wszystko ucieszyła się, że chce ją pocieszyć. Podkomisarz jednak zamiast ją objąć, chwycił klamkę za nią, otwierając jej drzwi.

– Mam pana lekarstwo – powiedział, wchodząc do środka. Pan Sławomir, siedzący wcześniej ze spuszczoną głową, spojrzał na niego mętnym wzrokiem.

– Co powiedzieliście mojej żonie? – zapytał z lękiem.

– Miał pan chwilę czasu, żeby się zastanowić. Ma pan już jakieś przemyślenia odnośnie do tego, gdzie teraz może być Sandra Dunder? – powiedział Lew, ignorując jego pytanie.

– Irenka będzie się martwiła. Bardzo martwiła, tym bardziej jak wzięliście moje lekarstwa.

– Zróbmy tak, pan postara się pomóc nam, a ja się odwzajemnię, pożyczając swój telefon. Będzie pan mógł spokojnie zadzwonić i uspokoić żonę – powiedziała Jowita.

– Wystarczy, że oddacie mi mój telefon. Wtedy nie będę musiał pożyczać – odrzekł z niespodziewaną werwą mężczyzna.

– Wróćmy do naszej wcześniejszej rozmowy. Mówił pan, że widział pan zaginioną tylko raz, w jej domku. Tymczasem – powiedział Lew, wyciągając

zapisaną kartkę papieru z teczki. – Jej mąż zeznał, że zaprosił pan ich na ognisko. Dlaczego pan to zrobił?

– A dlaczego miałem nie robić?

– Ognisko jest przecież dla kempingowiczów – odpowiedział mu podkomisarz.

– Ale kemping należy do mnie i mogę przecież zapraszać, kogo chcę, a oni byli bardzo sympatyczni.

– Czyli jednak pan ich pamięta? – wtrąciła Jowita.

– Może tak, może nie. Jeżeli wypożyczali u nas rowery, to byli jednymi z wielu. Zawsze staram się być miły. Czasami z kimś dłużej rozmawiam i zapraszam. Przecież to normalne, że chcę mieć jak najlepsze relacje z klientem, co nie?

– Dobre *customer service* to podstawa w biznesie, jak mówią – przytaknął mu Lew.

– Nie wiem, co tam mówią u was, w Warszawie, ale u nas to normalne jest, że ludzie wolą przyjść do kogoś, kto jest dla nich sympatyczny. Nie ma w tym większej filozofii. I to o niczym nie świadczy. Nie znam tej kobiety. Widziałem ją raz, a może więcej razy, ale ja nie mam pamięci do twarzy. Nie mogę wam pomóc.

– Chcielibyśmy z panem odtworzyć przebieg wydarzeń na ognisku w ostatnią sobotę – powiedział Lew.

– Nie było żadnych wydarzeń. Jak zwykle rozpaliliśmy ognisko, położyłem kiełbaski na ruszt. Wszystko było jak w każdą sobotę.

– Pamięta pan, kto był na tym ognisku?

– Nie bardzo – odrzekł. – Obsługą gości zajmowała się głównie Irenka. Ja poszedłem do domu się położyć. Nie czułem się najlepiej. Wróciłem dopiero pod koniec, żeby zalać niedopalone drewno wodą.

– Wychodził pan gdzieś tamtej nocy? – zapytała Jowita. W tyle pokoju, z miejsca, gdzie siedziała pani prokurator, ponownie słychać było stukot obcasów. Lew odwrócił się do Gierowskiej, żeby upomnieć ją wzrokiem. Gierowska uśmiechnęła się do niego jak dziecko przyłapane na podjadaniu cukierków i podniosła kciuk do góry. Podkomisarz nie wiedział, czy daje mu znać, że mu dobrze idzie, czy też zrozumiała jego przekaz i więcej nie będzie wydawać rozpraszających dźwięków butami.

– Chyba nie wychodziłem – odrzekł mężczyzna, ale mówiąc to, miał w głosie mniej pewności siebie niż wcześniej.

– Mamy nagranie z monitoringu, na którym widać najpierw biegnącą Dunder, a chwilę później pana. Nagranie zostało zrobione późnym wieczorem, chwilę przed tym, jak zaginęła – powiedziała Jowita.

– Mnie tam widać? – zapytał zdziwiony.

– Tak – odparł Lew, chociaż wiedział, że jeżeli pan Sławomir poprosi o puszczenie mu nagrania, zorientuje się, że na nim nie widać prawie zupełnie nic, a jedyną wskazówką jest czapka, którą zapewne miało wielu mężczyzn w tych okolicach.

– Jak nie mogę spać, to wychodzę z wykrywaczem metalu czasami. Widocznie wtedy też musiałem tak zrobić – wysapał. Jego oddech ponownie zrobił się ciężki.

– Nie pamięta pan, czy pan wychodził, czy nie dwie noce temu?

– Ja… jestem zestresowany i zmęczony. Skoro mówicie, że jestem nagrany, to widocznie wyszedłem.

– Pamięta pan kobietę, która biegła przed panem? – pytał podkomisarz.

– Nie pamiętam – odparł mężczyzna.

– Miała spięte włosy i fioletowy dres – kontynuowała Jowita. – Proszę spojrzeć na zdjęcie.

– Nie pamiętam. Nie jestem nawet pewny, czy wyszedłem.

– Dobrze, porozmawiajmy więc chwilę o panu – powiedział Lew. – Jak długo jest pan żonaty?

– Trzydzieści lat – odparł. – A jakie to ma znaczenie?

– Może ma, a może nie – powiedziała Jowita.

– Mają państwo dzieci? – pytał dalej Lew.

– Nie. Chcieliśmy mieć, ale nie wyszło.

– Żona pana o to obwiniała? – zapytała Jowita.

– Może – powiedział, zwieszając głowę.

– Dlaczego?

– Nie chciałem nigdzie z tym iść. Ja uważam, że jak dzieci same się nie pojawiają, to nie należy do niczego zmuszać matki natury. Widocznie tak miało być.

– Żona sądziła inaczej? – ciągnęła Jowita.

– Może – odparł wymijająco mężczyzna. Wyciągnął rękę spod stołu i zaczął przyglądać się swoim brudnym paznokciom.

– Dobrze się wam układa? – zapytał Lew.

– Dobrze.

– Widziałem, jak pani Irena na pana krzyczy. Ona chyba ma spory temperament – powiedział podkomisarz.

– Lubi postawić na swoim, jak to baba – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– Denerwuje to pana? – zapytał Lew.

– A pana by nie denerwowało? – odparł mężczyzna.

– Denerwowałoby mnie bardzo – zgodził się z nim podkomisarz i czekał na reakcję podejrzanego.

– No właśnie – powiedział pan Sławomir, chowając ponownie rękę pod stół.

– A jak sprawy finansowe? Pewnie trudno było w ostatnich latach. Przez pandemię wiele hoteli zamknęli – zapytała policjantka.

– My prawie splajtowaliśmy – przytaknął, ożywiając się nagle. – Jak kolejna fala przyszła, mimo szczepionek, to myślałem, że to już koniec. Do tego ciągle ktoś od nas lądował na kwarantannie. W zeszłym roku musieliśmy zamknąć stołówkę, a wielu z naszych stałych starszych klientów odwołało rezerwację.

– Ale udało wam się? – dopytywała.

– Z trudem. Dopiero odrabiamy straty. Musieliśmy wziąć kredyt i teraz cały zysk idzie na spłatę.

– To musi być stresujące – powiedział Lew, patrząc jednocześnie na Jowitę, która kiwnęła do niego głową.

– Bardzo. Nie mogę spać.

– I dlatego pan chodzi po nocy? – zapytała. Z tyłu ponownie słychać było stukot obcasa prokurator.

– Tak.

– Musi być panu bardzo trudno. Nam też jest. Pracujemy pod wielką presją. Wiele już wiemy – powiedział Lew, kładąc rękę na teczkę. – Ale mamy też wiele pytań, które wciąż pozostają bez odpowiedzi. Mieliśmy nadzieję, że pan nam pomoże.

– Chciałbym, ale nie mogę.

– Był pan kiedyś zatrzymany – przerwała mu Jowita. – Za podglądanie.

Pan Sławomir popatrzył na nią zaskoczony.

– To było czterdzieści lat temu.

– Mimo wszystko znaleźliśmy dokumenty z tamtej sprawy – powiedziała.

– Nie było żadnej sprawy. Ot, głupie wygłupy młodzika.

– Kogo pan podglądał? – zapytał Lew.

– Sąsiadkę – powiedział widocznie skrępowany. – Ale to nic. Mówię wam.

– Rozmawialiśmy dzisiaj z panią Bożeną Świdnicką – zmienił nagle temat Lew. – Pamięta ją pan?

– Ciocię Bożenkę? Oczywiście, że pamiętam, co to za pytanie? – odparł. Jego wzrok zaczął przeskakiwać od Lwa do Jowity i siedzącej z tyłu prokurator. – Mówcie, po co z nią rozmawialiście? Przecież to już bardzo stara kobieta. Jej potrzebny spokój, a nie wasze pytania.

– Ona bardzo pochlebnie się o panu wyrażała – zaczął Lew, a Jowita ucichła, czekając na to, do czego zmierza. – Mówiła, że zawsze miał pan plan na przyszłość i wiązała z panem bardzo duże nadzieje.

– Ze mną?

– Tak. Opowiedziała nam również o tym, jak pana przyjęto do placówki. Mówiła, że pochodził pan z bardzo trudnej rodziny. Pewnie był pan bity.

Pan Sławomir nic nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko zdezorientowany w podkomisarza.

– Osoby bite w dzieciństwie często czują w dorosłym wieku nieokreślony gniew – ciągnął Lew. – Zdarza się panu poczuć coś takiego?

– Gniew?

– Tak, taki palący w trzewiach.

– Nie – odpowiedział. W jego oczach pojawiła się jednak jakaś nowa energia.

– A pamięta pan swój dom? – pytał dalej podkomisarz.

– Nie – odparł zdawkowo mężczyzna. Jego szczęka się zacisnęła.

– Pani Bożena wierzyła, że jest pan godnym zaufania człowiekiem. Kimś, kto jest w stanie nam pomóc.

Pan Sławomir nic nie odpowiedział. Spuścił tylko głowę z powrotem na stół. Cisza trwała długo. Zbyt długo.

– Panie Sławku, zaginęła kobieta, matka dwójki dzieci… Wszyscy się o nią bardzo martwią, a pan może widział ją jako ostatni – zwróciła się do niego Jowita z błaganiem w głosie.

– Nie mogę państwu pomóc – powiedział smutno.

– Nie może pan czy pan nie chce, panie Piotrowski – wtrąciła nagle siedząca z tyłu prokurator Gierowska. Wstała, a jej obcas stuknął o podłogę. – Niech się pan przyzna!

# Rozdział 27

– Wyglądasz strasznie, tato – powiedział Mikołaj. – To przez tę sprawę tutaj?

– Tak. Przepraszam, że nie wpadłem do ciebie. Nawet nie miałem chwili dla siebie… Dopiero tej nocy spałem pierwszy raz od czterdziestu ośmiu godzin – odpowiedział Lew, siadając naprzeciwko niego przy stole piknikowym na kempingu.

– Chyba mało spałeś, bo dalej wyglądasz jak zombie. Nie musiałbyś się przebierać na Halloween.

Kemping wyglądał tak jak wcześniej. Nic nie wskazywało na to, żeby cokolwiek zachwiało codzienną rutyną kempingowiczów, mimo zatrzymania właściciela. Dzieci z różnych kolonii grały w tenisa i koszykówkę, wczasowicze z naręczem dmuchanych zwierząt szli w kierunku plaży, przed sklepikiem stała kolejka po lody.

– Przejdziemy się na lody? – zaproponował Lew.

– Jasne, a nie musisz już jechać? Zazwyczaj, jak masz sprawę, to pracujesz non stop.

– Muszę, to znaczy powinienem – powiedział Lew, uśmiechając się. Syn dobrze znał rytm jego pracy. Potrafił dostrzec sygnały świadczące o tym, że ojciec najprawdopodobniej zniknie na jakiś czas, pochłonięty robotą. Tak jak kiedyś jego żona, tak teraz on pytał nieśmiało, czy będzie miał czas. Jedynie, w przeciwieństwie do niej, nie miał w głosie kryjącego się za tym pytaniem zarzutu. – Osiągnęliśmy pewien impas w sprawie i to, czy jestem teraz na komendzie, czy przyjadę tam dopiero za godzinę, prawdopodobnie nie będzie miało większego znaczenia.

– To fajnie – odparł Mikołaj. Jego skóra była delikatnie opalona, a na policzkach miał rumieńce. Wyglądał na rozluźnionego i zadowolonego z życia.

– Chcesz kupić tutaj i usiąść na plaży? – zaproponował podkomisarz.

– Nie, tu będziemy długo czekać. Dzisiaj późno otworzyli sklepik i zrobiła się kolejka. Za rogiem jest budka. Tam możemy kupić i wejść drugim wejściem.

Gdy ruszyli z miejsca w kierunku bramy, z recepcji wyskoczyła pani Irena.

– Panie podkomisarzu – krzyknęła, zatrzymując ich. – Co ze Sławkiem? Dlaczego nie wrócił na noc?

Podkomisarz cofnął się o krok. Nie lubił takich rozmów i w normalnych okolicznościach robił wszystko, by siebie na nie nie narażać. Teraz jednak jego syn w dalszym ciągu był na obozie, który stacjonował na kempingu jedynego podejrzanego o dwa morderstwa i jedno zaginięcie. Podkomisarzowi przeszło przez myśl, że powinien powiedzieć Mikołajowi, że ma się spakować, ale świadomość tego, że odbierze mu tym samym być może pierwsze dobre chwile, jakie miał w tym roku, sprawiła, że zamiast tego przełknął tylko ślinę.

– Pani Irenko… – zaczął.

– Tylko nie Irenko! – krzyknęła kobieta. – Gdzie mój mąż?

– Pani Piotrowska – poprawił się podkomisarz. – Pani mąż był prawdopodobnie ostatnią osobą, która widziała zaginioną Sandrę Dunder. Mamy nagranie z monitoringu, na którym idzie drogą chwilę później. Pan Sławek pomaga nam ją znaleźć. Liczymy bardzo na jego wsparcie.

Właścicielka przekrzywiła głowę w prawo niczym szpak, który się czemuś przygląda z boku.

– Liczycie na jego wsparcie? – zapytała.

– Tak.

– No to dobrze. Ale wypuście go na obiad. To już starszy człowiek jest. Nie można go tak fatygować. Nawet w słusznej sprawie.

– Postaram się zrobić, co w mojej mocy – odparł Lew i nie czekając na kolejne pytania Piotrowskiej, popchnął lekko Mikołaja w kierunku wyjścia. Zaraz za bramą skręcili w lewo, gdzie po paruset metrach znaleźli budkę z lodami włoskimi. Nie były zbyt pyszne, ale były za to chłodne i kupili je bez kolejki. Usiedli na ławeczce zaraz za wejściem na plażę, osłonięci przed wiatrem ostatnim rzędem sosen.

– Co będziecie dzisiaj robić? – zapytał Lew. – Znowu jakieś zawody?

– Może, ale ja raczej nie będę w nich brał udziału. Umówiłem się już.

– Umówiłeś się? – zapytał Lew, starając się ukryć zaskoczenie w głosie, by nie speszyć syna.

– No wiesz, mam tu teraz znajomych.

– Idziecie gdzieś całą grupą? – dopytywał, ścierając chusteczką lody, które skapnęły mu na beżowe spodnie.

– No niezupełnie grupą. Idę z Klaudią na bilard. Tam do salonu gier. Wczoraj też byliśmy. Ona dobrze gra.

– Nie wiedziałem, że lubisz bilard.

– Ja też nie wiedziałem, ale Klaudia lubi i pokazała mi wiele fajnych trików.

– Jest z Warszawy?

– Z Łodzi – odparł Mikołaj.

– Jak z Łodzi, to nie tak źle. Są bezpośrednie. Będziecie mogli się spotykać.

Mikołaj wzruszył ramionami, po czym poszedł w kierunku morza, by opłukać słodkie od lodów ręce. Wrócił z zamoczonymi do kolan nogawkami, po czym usiadł już nie na ławce, koło ojca, ale prosto na piasku, który od razu oblepił mokry materiał.

– Ciepła woda? – zapytał Lew.

– Zimna, ale przyjemna – odparł Mikołaj.

– Podobno kąpiel w takiej zimnej wodzie pomaga na głowę. Jak jest zimno, to mózg przestaje myśleć. Może powinienem spróbować?

– A w policji myślenie nie jest czasem niezbędne? – zaśmiał się Mikołaj.

– Zazwyczaj jest, ale czasami jest tak, że myśli jest zbyt dużo i wtedy dobrze się na chwilę wyłączyć – odparł Lew i w momencie, w którym kończył zdanie, z jego kieszeni dobiegł go świdrujący dźwięk telefonu. Podkomisarz odebrał. Po pierwszych dwóch słowach jego wyraz twarzy się zmienił. Zamknął oczy, po czym przetarł ręką twarz.

– Czyli już wracamy, co? – zapytał go syn, gdy ten odłożył telefon z powrotem do kieszeni.

– Tak.

– Znaleźli tę kobietę?

Lew pokiwał głową.

# Rozdział 28

Jej białą bluzkę, niby ozdoby, pokrywały glony i kawałki trawy morskiej. Mokre źdźbła były wplecione między jej włosy. Mimo że twarz była już napuchnięta, nie można było mieć wątpliwości co do jej tożsamości. Leżała bezwładnie na trawie przy samym brzegu koryta rzeki.

– Kto ją znalazł? – zapytał podkomisarz, podchodząc na tyle, na ile mógł, nie zacierając śladów.

– Wędkarze – odparła Jowita. Policjantka była tak odmieniona na twarzy, że Lew, gdyby nie jaskrawy kolor włosów i charakterystyczna sylwetka, by jej nie poznał. Nieruchomo wpatrywała się w ciało kobiety, której szukali od trzech dni, i nie mogła oderwać od niej wzroku.

– Gdzie lekarz? – zapytał.

– Chyba właśnie przyjechał – odparła, wskazując czarnego mercedesa parkującego na deptaku.

– A zespół techniczny?

– Będzie do pół godziny – powiedziała, wracając wzrokiem do ciała kobiety. – Gdybyśmy szybciej połączyli fakty, to mogliśmy go wcześniej złapać i...

– Myślę, że to nic by nie zmieniło, ale zaczekajmy na to, co powie lekarz.

Z czarnego mercedesa wyszła drobna kobieta o długim nosie i przenikliwych, zimnych, niebieskich oczach. Bez słowa pokazała funkcjonariuszom swoje dokumenty, po czym włożyła plastikowe ochraniacze na buty i rękawiczki ochronne na ręce i podeszła do ciała wytyczoną przez policjanta ścieżką. Zmierzyła temperaturę kobiety, po czym porównała ją do temperatury wody i powietrza. Wynik zapisała ładnymi literami w tabeli. Następnie przyjrzała się jej gałkom ocznym i plamom opadowym. Poprosiła jednego ze stojących najbliżej policjantów o pomoc w odwróceniu ciała na drugi bok. Po parunastu minutach zdjęła rękawiczki.

– Kto tu dowodzi? – zapytała donośnie. Lew i Jowita podnieśli ręce. Lekarka podeszła do nich.

– Śmierć najprawdopodobniej przez utonięcie – powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu, przypominającym podkomisarzowi jego nauczycielkę matematyki.

– Kiedy? – zapytał Lew.

– Od ośmiu do dwunastu godzin temu – odparła.

– Niemożliwe – przerwała jej Jowita. – Piotrowski został zatrzymany ponad dobę temu.

– Ja się nie mylę – odpowiedziała jej lekarka, a jej nos wydał się jeszcze dłuższy i bardziej szpiczasty, niż był przed chwilą.

– Czy doszło do gwałtu? – zapytał podkomisarz.

– Tego nie jestem w stanie określić. Dowiecie się dopiero po sekcji.

– A nadgarstki?

– To nie plamy opadowe. Są tam widoczne otarcia do krwi i siniaki. Podejrzewam też złamanie nadgarstka, bardzo świeże, sądząc po opuchliźnie, chociaż przy dłuższym kontakcie z wodą opuchlizna mogła przybrać.

– Dziękujemy – powiedział Lew. Lekarka kiwnęła głową i odjechała.

– Czyli miał wspólników? Myślisz, że to żona? – wycedziła Jowita. Jej ciało nagle zrobiło się jakby mniejsze, a ona słaba.

– Musisz coś zjeść i się dobrze wyspać – odparł Lew.

– Teraz? W takim momencie? Musimy ją zatrzymać – powiedziała.

– Nie mamy podstaw – odparł podkomisarz.

– Ale…

– Musimy też wypuścić Piotrowskiego – kontynuował.

– Nie możemy. To on, jestem tego pewna! – krzyknęła.

– Podstawą do zatrzymania było podejrzenie, że przetrzymuje Sandrę Dunder. Teraz znaleźliśmy jej ciało, a lekarz stwierdził, że została zamordowana, gdy on siedział na komendzie. Nie mamy podstaw. Zresztą…

– Co?

– Mogliśmy się pomylić – powiedział cicho.

– Pomylić? Ale jak to? Wszystko się zgadza z tym, co sam powiedziałeś. Piotrowski wywodzi się z patologicznej rodziny, był wcześniej zatrzymany, ma nieudane życie rodzinne, jego żona jest despotką, która go ciągle poniża, dwa lata temu prawie popadli w ruinę, teraz ledwo wiążą koniec z końcem. Wszystko się zgadza! – krzyczała.

– Powiedz to jej – odparł Lew, po czym poczuł nagłą bezsilność, a w palcach mrowienie. Usiadł na trawie i w milczeniu obserwował pracę przybyłego zespołu technicznego. Jowita odjechała do domu, zostawiając go samego ze wszystkimi myślami, które walczyły o jego uwagę. W końcu techniczni skończyli pracę i ciało jeszcze niedawno żyjącej Sandry Dunder znalazło się w czarnym worku. Podkomisarz aż za dobrze wiedział, co ten czarny worek będzie oznaczał dla jej rodziny. Wiedział, że z momentem, gdy Jowita przekaże wiadomość o śmierci Sandry, życie jej męża na zawsze już się zmieni, a jego dzieci od tej pory będą już na zawsze półsierotami żyjącymi jedynie z samym wspomnieniem swojej matki. Wiedział, że od tego dnia jej mąż będzie samotnie wstawał w nocy do dzieci i będzie robił wszystko, żeby ukoić ich płacz. Wiedział też, że mimo prób mu się nie uda. I on, Lew, częściowo ponosi za to winę. Zostawił sprawę i wyjechał do Warszawy, kiedy był czas, by dorwać mordercę. Pozwolił, by cisza i brak bezpośrednich dowodów uśpiły jego czujność. Zostawił z całym tym gównem Jowitę, której teraz do końca życia będzie jak czkawka wracało wspomnienie twarzy dzieci tej kobiety.

Workowi władowali ciało do samochodu, na miejscu został tylko jeden sierżant. Był już późny wieczór. Lew wstał. Bolały go plecy. Zamiast wrócić do samochodu, szedł wałem rzeki aż do jej ujścia do morza. Plaża w tym miejscu była zupełnie pusta. Wiał delikatny, ciepły wiatr. Podkomisarz ściągnął ubranie i odłożył je na piasek. Wszedł powoli do morza. Twarde kamienie pod stopami utrudniały wchodzenie. Woda wydawała się lodowata, choć zapewne miała przynajmniej dwadzieścia stopni. Gdy sięgała mu już do pasa, poczuł zimno przenikające jego kręgosłup. Serce zaczęło bić mocniej pod wpływem uwolnionej nagle adrenaliny. Zanurkował. Do uszu wlała się zimna woda. Lew niemal słyszał głośne i mocne bicie swojego serca, które za wszelką cenę chciało utrzymać temperaturę ciała. Otworzył oczy pod wodą. Nie widział prawię nic, jedynie uciekające z jego nosa bąbelki powietrza. Szum zmienił się w całkowitą ciszę. Jego ciało powoli opadało niżej. Rękami dotknął pływających po dnie wodorostów. I wtedy przed oczami

pojawiło mu się wspomnienie jej ciała, które takie same wodorosty oplatały. Dusząc się, wypłynął na powierzchnię.

# Rozdział 29

*Pierwszy raz w życiu czuł coś, co można by nazwać rozpierającym go szczęściem. Leżał skulony na swoim łóżku i śmiał się bezgłośnie. Z oczu ciekły mu łzy. Popatrzył na swoje ręce, które niczym ręce Boga miały moc dawania i odbierania życia. On sam miał teraz taką moc. Sprawdził na zegarku na ścianie godzinę. Miał jeszcze czas. Mógł poleżeć i jeszcze raz w głowie odtworzyć wszystko, minuta po minucie. Przypomnieć sobie zapach jej włosów i dotyk skóry. Pamiętał każdy szczegół. W ramionach dalej czuł zakwasy od wysiłku, jaki musiał włożyć w trzymanie jej. Była silniejsza, niż się spodziewał, ale to niczego nie zmieniło. Był przygotowany po wcześniejszych doświadczeniach na to, że coś może odbiegać od jego planu. Tym razem było niemal idealnie. Gdy ta myśl przeszła między jego skroń mi, zmarszczył brwi. Powtórzył jeszcze raz: niemal idealnie. Przełknął ślinę. Przypomniał sobie niełądne rany na jej rękach. Nie chciał ich, ale nie miał wyboru. Szarpała się. Musiał działać. Zrobił dobrze. Tak widocznie musiało być, a jej drobne rany przecież nie mają znaczenia. Najważniejszy i tak jest finał, a ten był bez zarzutu. Mężczyzna odetchnął z ulgą i rozprostował się na łóżku. Zegarek wybił szóstą rano. Nadszedł kolejny dzień, ale jakże inny od wszystkich poprzednich. Dzień, w którym to on w końcu będzie dyktował warunki i nareszcie osiągnie sukces. Dzień, w którym kobiety już przestały być dla niego wrogie, a stały się uległe. Był pewny, że teraz, gdy któraś na niego spojrzy tymi swoimi przenikliwymi oczami, po których przechodziły mu nieprzyjemne ciarki po plecach, będzie wiedziała, że nie należy z nim zadzierać. Teraz to on dyktował warunki.*

# Rozdział 30

Z recepcji dobiegało go żałosne zawodzenie. Lew zawahał się przez chwilę. Prawdopodobnie nigdy nie był dobry w pocieszaniu kogokolwiek, a w tej sytuacji może był nawet najgorszą osobą do pocieszania właścicielki kempingu. Kolejna salwa płaczu sprawiła jednak, że zamiast od razu pójść do domku, w którym z kolegami z obozu mieszkał Mikołaj, skręcił w prawo, w kierunku recepcji. W środku na fotelu siedziała pani Irena. Rękami zakrywała twarz.

– Pani Piotrowska? – powiedział, wchodząc.

Właścicielka otarła ręką nos i popatrzyła na niego opuchniętymi oczami.

– Przepraszam, mam gorszy moment – odpowiedziała.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał.

– Nie sądzę – odparła, patrząc na niego zdziwiona, jakby podkomisarz był ostatnią osobą na ziemi, od której spodziewała się pomocy.

– Musiała pani bardzo przeżyć zatrzymanie męża. Ja chciałbym przeprosić…

– Nie trzeba – przerwała mu. – Wiem, że robiliście, co mogliście, by uratować tę biedaczkę. Bardzo mi jej szkoda. Jeżeli ode mnie by to zależało, to aresztowałabym wszystkich mężczyzn z okolicy i po kolei przesłuchiwała.

– Więc dlaczego pani płacze?

– Wyjeżdżają… – powiedziała żałośnie, patrząc przez okno.

– Kto? – zapytał Lew, kierując wzrok w to samo miejsce, na drogę przed recepcją, nikogo jednak tam nie zobaczył.

– Wczasowicze. Już czwarta rodzina dzisiaj oddała klucze. To wszystko przez tę historię. Ludzie zaczęli się bać. Ale najgorsze jest to, że oni wszyscy chcą zwrotu pieniędzy, a ja nie mam im z czego oddać – powiedziała, po czym kolejne łzy zaczęły skapywać jej po policzku.

– Nie ma pani?

– Nie mam. Mamy kredyt, a do tego dopiero co kupiliśmy teraz materiały na budowę kolejnych domków. Wydaliśmy prawie wszystko. Jeszcze się tak nie zdarzyło, żeby tyle osób nagle chciało zrezygnować. Cała nadzieja w tym, że złapiecie tego gościa, a następni wczasowicze przyjadą jak najszybciej. Zaraz zacznę dzwonić do osób z listy rezerwowej, może ktoś…

– Proszę tego nie robić – przerwał jej Lew. – Pani Ireno, niestety sytuacja jest zła, a nawet bardzo zła. Nie mam jeszcze wyników sekcji ani śladów DNA, ale wszystko wskazuje na to, że w okolicy grasuje seryjny morderca. Szukamy go, ale prawda jest taka, że nie wiemy, kiedy zaatakuje ponownie i czy uda nam się go złapać wcześniej. Najlepiej byłoby więc ograniczyć do minimum liczbę gości. Na pani miejscu zamknąłbym kemping do czasu wyjaśnienia sprawy.

– Na moim miejscu by pan zamknął?! – krzyknęła. – Akurat. Nie ma pan pojęcia, jak to jest być na moim miejscu. Sam pan powiedział, że nie macie nic i dopóki nie będziecie mieli konkretnych dowodów na to, że coś tu komuś zagraża, ja się nie poddam!

– Pani Ireno, zginęły trzy kobiety…

– Jakie trzy znowu?

– Jest trzecia, zginęła w czerwcu. Prawdopodobnie jest powiązana z…

– Ha! – krzyknęła ponownie. – Prawdopodobnie. No właśnie – to jest słowo klucz, przez które ja i mój mąż mamy zamknąć nasz dorobek życia! Niech pan już lepiej idzie.

Lew kiwnął głową i wyszedł. Wiedział, że przynajmniej do momentu przyjścia wyników z Zakładu Medycyny Sądowej nie ma podstaw, by wydać zarządzenie o zamknięciu ośrodka. On jednak też, tak jak pani Irena, nie zamierzał się poddać. W jego ocenie zagrożenie było duże i realne.

Przed domkiem na werandzie siedział Mikołaj z dwoma kolegami. Grali w karty.

– Coś podobnego, to w realu też są gry? – zażartował Lew, obejmując syna na powitanie.

– Cześć, tato. Co tu robisz?

– Wpadłem na chwilę zobaczyć, co u ciebie słychać.

– Wszystko dobrze, nie musisz się martwić – odparł. Jego włosy, które zdążyły sporo urosnąć, opadały mu swobodnie na opalone czoło. Kolana, które wychodziły

spod za małych już krótkich spodenek, były starte od gry w piłkę. Tak samo łokcie i przedramiona.

– Wiesz, gdzie mieszka wasza wychowawczyni? Chciałbym z nią zamienić słowo – zapytał podkomisarz.

– No nie, tato, chyba nie będziesz mi robił siary i o mnie wypytywał – powiedział Mikołaj, odchodząc na tyle od domku, by inni go nie słyszeli.

– Nie, obiecuję, że nie. Chcę porozmawiać z nią o mojej sprawie.

– Z nią? – zdziwił się chłopiec.

– Tak, wiesz, gdzie mieszka?

– Tam – powiedział Mikołaj, wskazując palcem na jeden z domków. Lew ruszył w jego kierunku. Zapukał do drzwi.

– Jestem tutaj – powiedział znany mu głos Kingi, opiekunki obozu. Opalała się na leżaku z tyłu budynku.

– Cześć – powiedział Lew. Kinga otworzyła oczy i osłaniając się ręką od słońca, mrużyła powieki, starając się rozpoznać swojego rozmówcę. – To ja, Robert, tata Mikołaja.

– A tak, pan podkomisarz – zaśmiała się.

– Czyli już wiesz – odrzekł.

– Wiem, wszyscy wiedzą – odparła, wstając.

– A wiedzą o tym, co się tu dzieje?

– Wiedzą o tym, o czym się plotkuje. Nie wiem, ile w tym prawdy. Podobno zamordowano kobietę.

– Niestety tak, i całkiem możliwe, że nie chodzi o pojedynczy wypadek.

– Straszysz mnie – powiedziała.

– Po to przyszedłem. Chciałbym, byście zakończyli wcześniej ten turnus i zawieźli dzieciaki do domu.

– Jest aż tak źle? Zamkną kemping?

– Jeżeli zależałoby to ode mnie, to zamknięto by wszystkie kempingi w tej miejscowości i wszystkich okolicznych, ale to niestety nie jest takie proste. Wam też mogę tylko to doradzić.

– Dzieci są zagrożone? – zapytała, nie kryjąc przerażenia.

– Nie wiem. Wiek ofiar się zmienia. Nie wiemy jeszcze, co prowokuje sprawcę. Na pewno odradzałbym jakiekolwiek samotne spacery dziewczynom. Tobie również.

– Aż tak?

– Tak – odpowiedział, kiwając głową.

– Dobrze, zrobię, co się da – powiedziała.

– Kiedy będziecie mogli wyjechać? – zapytał podkomisarz.

– Nie wiem, muszę sprawdzić z firmą transportową. Jest środek sezonu. Autobusy cały czas mają rezerwacje, a nasza była dopiero za pięć dni. Do tego muszę powiadomić wszystkich rodziców. Musimy mieć pewność, że ktoś dzieciaki odbierze na dworcu.

– Dobrze. Ja wezmę Mikołaja.

– Niech jeszcze zostanie. Dobrze się bawi, a nie jest, jak rozumiem, w grupie ryzyka.

– Masz rację… I dziękuję za wszystko, co zrobiłaś. On… on ma się dużo lepiej. Wygląda na naprawdę szczęśliwego.

– Też tak myślę – odparła.

# Rozdział 31

Wszyscy siedzący byli przybici. Na ich tle jedynie zastępczyni komendanta, Michalak, wyglądała tak samo jak wcześniej. Tak, jakby zbrodnia, której w ostatnich dniach byli świadkiem, nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Potrafiła, jak podkomisarz Lew, po tym wszystkim przespać całą noc, wyprasować rano koszulę i iść z powrotem do pracy, zachowując niemal tę samą energię i chęć do działania, chociaż wszyscy wiedzieli już, że nie szukają osoby żywej, a jedynie próbują złapać mordercę. Podkomisarz patrzył na nią przez chwilę i zastanawiał się, co ona robi w Słupsku, a nie na komendzie w stolicy, gdzie na pewno szybko zrobiłaby karierę.

– Ponieśliśmy tym razem klęskę – przemówił komendant Plebańczyk. – Czyny tego człowieka nie mogą jednak pozostać bez kary. Musimy go złapać.

Lew nie był pewien, czy to zdanie było dopiero początkiem dłuższego przemówienia, czy kończyło już mowę komendanta, która prawdopodobnie miała ich podnieść na duchu i zagrzać do działania. W Warszawie nikt już niczyim duchem się nie przejmował, więc przemów takich jak ta nie było.

– Mamy wynik autopsji? – zaryzykował wtrącenie podkomisarz.

– Mamy wstępny – odparła Jowita. Jej włosy odnalazły dawną czystość i porządek, ale oczy zdradzały, że w przeciwieństwie do Michalak nie potrafiła tak po prostu zasnąć, jakby nic się poprzedniego dnia nie wydarzyło. – Tak jak poprzednio, śmierć przez utopienie, w płucach słodka, chlorowana woda. Ofiara zmarła w innej pozycji, niż została znaleziona, co potwierdza, że została przeniesiona. Liczne ślady wskazują na to, że kobieta broniła się i była związana. Tym razem na ciele ofiary są ślady wykorzystania seksualnego, choć nie znaleziono śladów spermy. Patomorfolog skłania się do tego, że do penetracji doszło już po śmierci kobiety, o czym ma świadczyć charakter otarć. Jednocześnie stosunek został odbyty niedługo po jej śmierci, kiedy jeszcze krew była w stanie płynnym. Znaleziono ślady DNA pod paznokciami denatki. Materiał został

odesłany do analizy. Czekamy na jej wyniki. Niestety z dużym prawdopodobieństwem woda zrobiła swoje i nie dostaniemy jednoznacznych wyników.

– Czyli nekrofil – powiedział Plebańczyk.

– Niekoniecznie – nie zgodził się z nim Lew. – Ślady na ciele wskazują, że mogła być wielokrotnie podtapiana. Za każdym razem mogła tracić przytomność. Gdy umarła, morderca mógł myśleć, że ponownie straciła przytomność, ale jest jednak na tyle słaba, że tym razem zaryzykował zbliżenie.

– Dlaczego na poprzednich ciałach nie było śladów gwałtu? – zapytała Jowita.

– Może były – powiedział Lew. – Pierwsza ofiara była prostytutką i wiemy, że odbyła wcześniej stosunek. Być może z nim. Może się nie opierała tak bardzo, nie walczyła, myślała, że uległością kupi sobie życie. A może coś poszło nie tak, co go zniechęciło. O ile wiemy, to była prawdopodobnie jego pierwsza ofiara. Ślady ewentualnego stosunku u Chrząstkiewiczowej zatarły zwierzęta.

– Sandra Dunder była znacznie młodsza i była wysportowana. Jak wiele było śladów walki na jej ciele? – zapytała po chwili Michalak.

– Najwięcej wynikających z szarpania lin, którymi była związana. Są opisane głównie obtarcia do krwi na nadgarstkach i kostkach. Prawy nadgarstek jest złamany. Do tego jest wyraźny ślad na wysokości pępka – czytała Jowita. Następnie położyła załączone zdjęcia tych fragmentów ciał na stole.

– Pozostaje pytanie, w jaki sposób została złapana. Zakładamy, że morderca miał samochód, ale mimo wszystko godzina była dosyć wczesna. Musiał się liczyć z tym, że ktoś może usłyszeć jej wołanie o pomoc. Wcześniej założyliśmy, że szukamy kogoś niskiego albo słabszego ze względu na wiek ofiar. Czy zmieniamy te założenia? – zapytała Michalak, analizując zdjęcia.

– Jeszcze nie wiem. Mamy wyniki toksykologii? Może została podana pigułka gwałtu albo kobieta została uśpiona chloroformem? – zapytał Lew.

– Nie mamy. Powinny przyjść lada chwila, ale nawet jeżeli to była pigułka gwałtu albo coś innego, to on ją podał trzy doby wcześniej, więc mała szansa na to, żebyśmy jeszcze coś wykryli – odparła Jowita, wzruszając ramionami. Podkomisarz musiał się z nią zgodzić. Pozostawało im jedynie opierać się na domysłach. Zazwyczaj znalezienie kolejnej ofiary zawęża krąg podejrzanych

i pozwala lepiej określić cechy charakterystyczne sprawcy. Tym razem było jednak odwrotnie.

– Nadal nie ma dowodów na to, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Wszystko to tylko nasze przypuszczenia. Musimy o tym pamiętać, bo inaczej możemy przeoczyć ważne szczegóły – przerwała mu Michalak.

– Zbyt wiele jest podobieństw między zabójstwem Dunder i Chrząstkiewicz – zaoponowała Jowita. – Możemy nigdy nie udowodnić powiązania ze śmiercią Bierat, ale jeżeli chodzi o te dwie kobiety, ja nie mam wątpliwości.

– A powinnaś je mieć – powiedziała stanowczym głosem Michalak. – Każdy śledczy powinien cały czas kwestionować główną hipotezę i badać inne możliwe rozwiązania i tropy. Chrząstkiewicz była znacznie starsza od Dunder. Nie ma żadnych dowodów na to, że jej morderstwo miało podtekst seksualny. Do tego mamy wątek finansowy – długi jej syna i jej majątek. Nie możemy o tym zapominać. Poza tym znaleziono ją na plaży, a Dunder w rzece. Od zaginięcia Chrząstkiewiczowej do odnalezienia jej ciała minęło mniej niż dwanaście godzin, podczas gdy od zaginięcia Dunder do odnalezienia jej zwłok minęły prawie trzy dni. To kolosalne różnice!

– Różnice, które da się wytłumaczyć – powiedziała podniesionym tonem Jowita. Nabrała powietrza, by ponownie zacząć bronić tezy głównej, ale zanim jakiś dźwięk opuścił jej gardło, zaczął mówić Lew, który wydawał się częściowo nieobecny i myślami dryfował gdzie indziej.

– Czy miała na ustach knebel? – zapytał.

– Nic o tym nie ma – odparła Jowita, spoglądając ponownie w dokument.

– Tak myślałem. Nie widziałem siniaków przy ustach, gdy była jeszcze w rzece.

– Na pewno krzyczała – powiedział Plebańczyk.

– Czyli kryjówka mordercy jest z dala od innych zabudowań, a jej krzyk mu nie przeszkadza. Musi być nieczuły na jej wołanie o litość – powiedział Lew bardziej do siebie niż do innych.

– O czym myślisz? – zapytała go Jowita.

– Myślę, że szukamy kogoś, kogo niełatwo przestraszyć. Jest to ktoś, kto wszystko dokładnie planuje, ale nie ze względu na to, że nie chce być złapany. Jeżeli by tak było, to zadbałby o knebel. Na pewno też zauważył, że Sandra go

podrapała. Mógł jej wyczyścić paznokcie przed wrzuceniem jej do wody, ale tego nie zrobił.

– Może nie przyszło mu to do głowy. Nie każdy studiuje kryminalistykę – powiedziała Michalak, wzruszając ramionami, a jej szpiczasty nos wykonał niemal podskok.

– Każdy, kto nie chce być złapany, dba o takie szczegóły. On nie – odparł Lew.

– Ale nie ma spermy. Czyli używał prezerwatywy – powiedziała Jowita.

– Ale nie ze względu na ślady, tylko na higienę. Myślę, że szukamy kogoś, kto szuka doskonałości. Chce odtworzyć swój plan w sposób doskonały i będzie to robił tak długo, aż osiągnie swój cel.

– Co to oznacza dla nas? – zapytał Plebańczyk, pocierając nos palcem.

– Że powinniśmy mieć nadzieję na to, że sposób, w jaki zabił Sandrę Dunder, go usatysfakcjonował.

– To obrzydliwe, co właśnie powiedziałeś – oznajmiła Jowita, nie kryjąc zniesmaczenia na twarzy. – To matka i żona.

– Tylko to kupi nam czas.

– Tylko co mamy z tym czasem teraz zrobić? – zapytał Plebańczyk. – Jak ustalić priorytety?

– Proponuję podzielić się na dwa zespoły – odpowiedział Lew. Pierwszy będzie traktował te trzy kobiety jak ofiary jednego seryjnego mordercy. Będzie szukał punktów wspólnych, powiązań i schematów. Drugi zespół rozdzieli te sprawy między swoich członków i każdą ze śmierci tych kobiet będzie traktował oddzielnie. Poza tym teraz możemy zrobić dokładnie wszystko to, co wcześniej pominęliśmy, gdy mieliśmy nadzieję, że odnajdziemy Sandrę żywą.

– Musimy przesłuchać wszystkich na obu kempingach, odtworzyć całą trasę joggingu Dunder, prześwietlić rodzinę, sprawdzić jej maile. I to samo zrobić z pozostałą dwójką, zwłaszcza z Bierat, o której śmierci nie wiemy właściwie nic. Może dostawała pogróżki. Musimy skontaktować się z jej koleżankami z pracy – zaczęła wyliczać Jowita.

– Słusznie – przytaknął Lew.

– Nie mamy tylu ludzi – powiedział Plebańczyk.

– To trzeba ściągnąć posiłki – odpowiedział mu Lew. – Kiedy ostatni raz mieliście w tak krótkim czasie trzy morderstwa? Nie ma na co czekać. Przełom może nie nastąpić. Przed nami żmudna i długa praca. Jak zostaniemy z tym sami, to zginie kolejna kobieta.

– Jak myślisz, ile mamy czasu? – zapytał komendant.

– Bierat zginęła w połowie czerwca, Chrząstkiewiczowa po miesiącu. Między nią a Dunder upłynęły trzy tygodnie, ale ona prawdopodobnie była bliżej ideału, o ile nawet go nie osiągnęła. Zakładałbym, że mamy miesiąc, może dwa.

– Idę w takim razie zadzwonić, gdzie trzeba – odparł Plebańczyk ponurym głosem. Iskra, która jeszcze parę dni temu była w jego oczach, całkiem zgasła. Nagle wydał się starym człowiekiem, podobnym do wielu innych na takich stanowiskach.

# Rozdział 32

Kinga, choć była opiekunką obozu już kolejny raz, dobrze wiedziała, z jakimi wyzwaniami ta praca się wiąże, tym razem była naprawdę zmęczona. Pech chciał, że równolegle do obozu, który ona prowadziła, na tym samym kempingu miała miejsce inna kolonia – sportowa, prowadzona przez trzech trenerów sztuk walki. Początkowo myślała, że to nawet dobrze się złożyło, więcej dzieciaków w jednym miejscu będzie oznaczało tylko lepszą zabawę. Niestety bardzo się pomyliła. Podczas gdy głównym celem, jaki wyznaczyła sobie do osiągnięcia w czasie jej obozu, była pomoc w uzyskaniu wewnętrznego spokoju i harmonii dzieciakom, które teraz, w dobie social mediów i powszechnego hejtu, tak bardzo tego potrzebują, to celami trenerów drugiej kolonii wydawały się podwyższenie do maksimum adrenaliny ich uczestnikom oraz nakręcenie ich na jak największą rywalizację między sobą. Przykro było na to patrzeć. Niestety na patrzeniu się nie skończyło. Coraz więcej interakcji między jej grupą a grupą sportową spowodowało, że każdego dnia działo się coś, co wymagało jej interwencji. Zaczęło się od pojedynczych incydentów związanych z dwójką dzieci, która była na jej obozie, a miała lekkie upośledzenie umysłowe. Na początku widziała jedynie, że dzieci te płakały wieczorem. Myślała, że chodziło o tęsknotę za domem. Po jakimś czasie dopiero ktoś inny jej doniósł, że widział, jak dzieciaki z obozu sportowego biegały za nimi, wołając do nich „debilki". Poszła od razu z tym do ich wychowawców. Dla niej sprawa była jasna. Ktokolwiek im dokuczał, robił to z przyzwoleniem, przynajmniej częściowym, całej grupy, więc należałoby zorganizować „pogadankę". Jeżeli sprawcy się przyznają, to oczywiście powinni ponieść konsekwencje. Kinga wątpiła jednak, by ktokolwiek dobrowolnie wyznał, co ma na sumieniu. Przedstawiła sprawę trenerom i propozycje swojego rozwiązania. Oni pokiwali tylko głowami i powiedzieli, że sobie z tym poradzą. Szybko się okazało, że zamierzali rozwiązać problem siłą. Wszystkie dzieciaki z ich obozu miały robić karne pompki do momentu, gdy ktoś albo się przyzna, albo wskaże winnych. Konsekwencją było utrwalenie się tylko tych zachowań.

Teraz wszystkie dzieciaki z obozu sportowego zaczęły być negatywnie nastawione wobec jej grupy. W dalszym ciągu żadne z tych dzieci nie wiedziało, dlaczego nazywanie kogokolwiek debilem jest złe. Wiedzieli natomiast, że ktoś „zakablował", i przez to mieli później przez dwa dni zakwasy. Spirala wzajemnej nienawiści coraz bardziej się nakręcała, przy czym jej osią za każdym razem wydawali się właśnie trenerzy. Kinga nie mogła zrozumieć, jak dorośli mężczyźni, którzy mieli od lat doświadczenie z młodzieżą, mogą nie widzieć tego, jak przekaz, który dają dzieciom, wpływa na ich całą grupę i na to, że dla nich staje się coraz bardziej miejscem opresyjnym, gdzie siła i przemoc okazują się jedynym sposobem walki o swoje. Dla niej, pedagożki, był to twardy orzech do zgryzienia, na którym czuła, że może w końcu połamać sobie zęby. Z pewną ulgą przyjęła więc zalecenie podkomisarza o tym, że powinna skrócić czas trwania ostatniego turnusu. Nie czuła co prawda zagrożenia, ale sprawa zamordowanych kobiet dawała jej wystarczający argument w czasie rozmów telefonicznych z rodzicami. Sama, korzystając z ostatnich dni nad morzem, bez większego zastanowienia w swoim wolnym czasie udawała się na plażę. Otulona dźwiękami morza, zawsze czuła się bezpieczna i chroniona przez przedwieczne siły przyrody. Dla Kingi niebezpieczeństwo zawsze czaiło się między biurowcami w miastach, nigdy zaś na świeżym powietrzu.

Z zamyślenia wybił ją głos, który już wcześniej słyszała. Przypominał jej trochę głos jej własnego ojca. Głos, który domaga się przede wszystkim szacunku, nigdy niepytający po co i dlaczego. Otworzyła zamknięte wcześniej oczy. Z pewnej odległości zobaczyła wysokiego chłopca i stojącego dwa metry od niego mężczyznę. Rozpoznała jednego ze swoich podopiecznych, Mikołaja, oraz jego ojca, podkomisarza Lwa. Kłócili się. Pierwszy raz była w sytuacji, w której rodzic dziecka pojawiał się niezapowiedziany na terenie prowadzonego przez nią obozu, ale też cała sytuacja była nietypowa. Mikołaj dołączył już w trakcie jego trwania. Obserwowała go już wcześniej. Widziała, jak jego ojciec codziennie zostawia go samego w domku. Chłopak wychodził na próg i całymi dniami jedynie patrzył na bawiące się dzieci z odległości. Do żadnego nigdy nie zagadał. Czasami włóczył się samotnie po lesie albo plaży. Widziała go też parę razy w lokalnych sklepach. Nigdy niczego nie kupował, tylko oglądał, wyglądając na znudzonego wszystkim. Kiedy ojciec podjeżdżał, chłopiec szybko wracał do środka, włączał komputer i udawał, że gra. Kinga, która miała w domku router tej samej firmy

telekomunikacyjnej, wiedziała, że sygnał jest tu znacznie za słaby, by odpaliła jakakolwiek dobra gra, a ten chłopak nie wydawał się fanem pasjansa. Mimo wszystko jego ojciec niczego nie podejrzewał i w rozmowie z nią skarżył się na to, że jego syn całymi dniami przesiaduje przed ekranem komputera. Kinga długo zastanawiała się nad tym, dlaczego Mikołaj nie mówił prawdy ojcu, czym doprowadzał do codziennej awantury z nim. W przypływie dobrego serca zaproponowała, by chłopiec dołączył do nich. Tylko tyle mogła zrobić, dać mu parę dni wytchnienia i okazji do zawarcia znajomości z rówieśnikami. I udało się. Gdy tylko ojciec wyjechał do Warszawy, Mikołaj się otworzył i szybko wszedł w grupę. Po powtórnym pojawieniu się jego ojca w Wicierzy Mikołaj zrobił się bardziej niespokojny niż wcześniej.

– Dzień dobry, panie podkomisarzu – przywitała się, podchodząc do kłócącej się dwójki. Mikołaj patrzył pełen złości na swojego tatę. Lew uśmiechnął się niepewnie w jej kierunku.

– Dzień dobry. Podobno urządzacie ognisko? – zapytał.

– Pożegnalne ognisko, i to przez ciebie – powiedział Mikołaj. – Wiesz, jak wszyscy chcieli tu zostać? Po co to zrobiłeś? Po co zamknąłeś nasz obóz.

– Twój tata nie zamknął obozu, tylko ja to zrobiłam – wtrąciła się Kinga. – Twój tata, podkomisarz, jedynie mi doradził, ale to ja podjęłam decyzję po przeanalizowaniu zagrożenia.

– Nie ma żadnego zagrożenia! Wy nawet nie wiecie, kto za tym stoi. Poza tym chodzi o stare baby, a nie o nas, więc po co to zrobiłeś?

– Mikołaj… – zaczął podkomisarz, ale urwał w połowie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Słuchaj, umówimy się tak: organizuję wyjazd w ferie zimowe. Założę się, że wiele dzieciaków, z którymi teraz jesteś na tym obozie, na niego pojedzie. Zaproponuję jakiś specjalny rabat dla wszystkich tych, którzy są na tym niedokończonym turnusie. Wtedy sobie wszyscy odbijemy. Co ty na to? – zaproponowała Kinga. Lew popatrzył na nią z wyraźną wdzięcznością.

– Bez znaczenia – odparł Mikołaj, wzruszając ramionami i odchodząc do swojego domku.

– Ja… przepraszam za to wszystko – powiedział podkomisarz.

– Rozumiem. To niełatwo być ojcem-policjantem.

– Chujowo jest być ojcem-policjantem – zgodził się z nią podkomisarz. – Nie mam wpływu ani na godziny swojej pracy, ani na to, że czasami, robiąc swoją robotę, pokrzyżuję plany swojej rodzinie. Właściwie to już tylko Mikołaj mi został, ale nawet jego plany, jak widać, jestem w stanie skutecznie pokrzyżować.

– Gdyby nie ty, w ogóle by tych planów nie miał. To ty go zapisałeś na obóz, pamiętasz?

– Tak, za twoją namową… Dostałem wiadomość, że udało ci się załatwić transport.

– Tak, pojutrze o ósmej rano podjadą autobusy – odparła Kinga. Zauważyła, że gdy tylko rozmowa między nimi schodzi na tematy związane bezpośrednio z jego synem, podkomisarz nie patrzy jej w oczy, tylko błądzi wzrokiem gdzieś dookoła.

– Wolisz, bym zabrał Mikołaja wtedy czy dzień wcześniej wieczorem?

– Jutro wieczorem właściciele zgodzili się zorganizować dla nas ognisko, chociaż to nie sobota. Specjalnie dla nas złamią tradycję. Lepiej więc chyba, żeby Mikołaj został jeszcze z nami. Jak możesz, to odbierz go koło 7:30 następnego dnia – powiedziała.

– Jasne. A co do ogniska, to upewnij się, że właściciele zamówią tego pana z keyboardem. On naprawdę wymiata. Bez niego żadna impreza się tu nie uda – zażartował Lew, ale uśmiech nie pojawił się na jego twarzy.

– Tak zrobię – zaśmiała się. – Swoją drogą to niesamowite, jaką energię potrafi ten staruszek z siebie wykrzesać. I te jego autorskie piosenki! W życiu nie słyszałam sprośniejszych.

– Tak… zupełnie nie przeszkadza mu fakt, że na widowni siedzą głównie dzieciaki poniżej piętnastego roku życia.

– Nie zapominaj o tych wszystkich babciach-wczasowiczkach. Jestem pewna, że on te piosenki śpiewa właśnie dla nich. To taka jego gra wstępna, a one się na nie łapią jak lep na muchy – odparła Kinga.

– Czyli podejrzewasz tutejszego wodzireja o to, że tak naprawdę jest casanovą? Chyba muszę mu się bliżej przyjrzeć – powiedział Lew i podniósł rękę, dając znać, że już czas na niego.

– Robercie – zawołała za nim. – Słuchaj, a jak te sprawy… macie coś?

– Coś mamy, ale to niestety za mało – odparł.

– Może chcesz wpaść na nasze ognisko? Wyglądasz na wyczerpanego.

– Ta sprawa jest wyczerpująca, ale nie bardziej niż każda inna sprawa o morderstwo w tym kraju. Dzięki za zaproszenie, ale nie chcę psuć jeszcze bardziej zabawy synowi.

– Jasne – odpowiedziała, po czym stała jeszcze w tym samym miejscu chwilę, patrząc, jak podkomisarz odchodzi. Był wysokim i postawnym mężczyzną, ale gdy szedł, wyglądał w tamtej chwili, jak gdyby na barkach niósł jakiś niewyobrażalny wprost ciężar. Jego ciężki chód kontrastował z piękną pogodą i wakacyjnym nastrojem, który panował na kempingu. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś go niezbyt starannie wyciął z jakiegoś ponurego filmu i niezgrabnie dokleił do banalnej komedii.

# Rozdział 33

Podkomisarz, wracając na komendę, postanowił wybrać dłuższą drogę przez las. Był wczesny wieczór. Światło zachodzącego słońca przebijało się między drzewami. Ptaki powoli obsiadały gałęzie, przygotowując się do nocy. Tak jak ostatnio, gdy podkomisarz jechał tą drogą, również i teraz w tym samym miejscu spostrzegł charakterystyczną kobietę z długimi, czarnymi włosami i żółtą skórzaną kurtką z czarną różą na plecach. Prostytutka opierała się o konar grubej brzozy i pomachała do podkomisarza, pozdrawiając go. Podkomisarz zatrzymał samochód i otworzył okno.

– Nie boisz się? – zapytał. – Sama powiedziałaś mi o swojej koleżance, Katarzynie Bierat. Teraz zginęła trzecia kobieta. Lepiej idź do domu.

Kobieta podeszła do jego samochodu i oparła się o otwartą szybę.

– Ja się nie boję. To on powinien się bać, jeżeli się do mnie zbliży – powiedziała, pokazując mu w torebce puszkę z gazem pieprzowym i sporej wielkości nóż.

Lew spojrzał na jej twarz. Zastanawiał się, ile może mieć lat. W jej oczach była nieugiętość i hardość, dwie rzadkie cechy u kobiet w tym zawodzie. We włosach podkomisarz dostrzegł pewną asymetrię. Jeden z czarnych doczepów wysunął się znacznie. Poniżej kieszeń w skórzanej kurtce była nieznacznie oberwana.

– Biłaś się z kimś? – zapytał.

Kobieta, podążając za jego wzrokiem, podniosła ręce i zaczęła upinać niesforny kosmyk sztucznych włosów.

– Powiedzmy, że musiałam komuś wytłumaczyć, na czym polega ten biznes, i że nie wystarczy dorwać się do notesu z nazwiskami, żeby zająć, ot tak, wypracowane przez kogoś długo miejsce.

– Notes, mówisz… czy chodzi może o notes z nazwiskami klientów twojej koleżanki Katarzyny? – zapytał Lew. Kobieta popatrzyła na niego z ukosa.

– A ty co? Jasnowidz?

– Raczej doświadczony pies – odpowiedział. – Szukaliśmy tego notesu. Mieliśmy nadzieję, że pojawi się w nim jakaś wzmianka o osobie, której szukamy. Może Bierat zanotowała tam coś, co by nam pomogło. Wiesz, kto go teraz ma?

– Tak – odparła z ociąganiem. Odeszła od samochodu i podeszła do małego plecaka zawieszonego na gałęzi. Wyciągnęła z niego różowy notes z wyszywanym pieskiem na okładce i podała go podkomisarzowi. – Miałam nadzieję zrobić z niego użytek. Byłam jej przyjaciółką, wspierałyśmy się, Kaśka nie miałaby mi na pewno za złe.

– A kto cię chciał uprzedzić? – zapytał podkomisarz.

– Taka jedna smarkula, którą Kaśka kiedyś uratowała. Mieszkały razem. Ta młoda praktycznie była na Kaśki utrzymaniu i chciała dalej korzystać z jej dobrodziejstw po jej śmierci. Bezczelna.

– Jak się dowiedziałaś? – zapytał Lew.

– Zobaczyłam ją na starym miejscu Kaśki. Jakby nigdy nic, stała dzisiaj przy klubie i zagadywała jej starych klientów. Akurat tamtędy szłam, bo miałam coś załatwić, i od razu się zorientowałam, co się kroi.

– Myślałem, że ta mała tylko tam podaje drinki.

– Widocznie już jej się znudziło – odparła kobieta. – Została teraz sama, a życie dla samotnych dziewczyn jest brutalne.

– Dzięki za pomoc – powiedział Lew, machając notesem.

– Jest szansa na jego zwrot później? – zapytała. – Zależy mi.

– Tak, ale będziesz musiała się zgłosić po niego do Jowity, jak złapiemy mordercę. Na razie ten zeszyt może okazać się cennym dowodem w sprawie – powiedział, po czym odjechał.

Na komendzie wręczył notes Bierat Jowicie.

– Miałaś rację, ta mała z domu Katarzyny Bierat nie czekała zbyt długo i poszła w jej ślady. Podobno próbowała swoich sił przy klubie w zatoce.

– Wyglądała na nieletnią. Dam znać chłopakom. Może ją zgarną i odwiozą, gdzie trzeba – odparła.

– Dzisiaj jej tam raczej nie będzie. Leczy rany. Pobiła się z dziewczyną od Ziątka o ten notes.

– Przejrzałeś go już? – zapytała Jowita, studiując kolejne zapisane kartki.

– Tak, ale nic nie znalazłem. Może ty będziesz miała więcej szczęścia i coś z niego wydedukujesz.

# Rozdział 34

*Ręce mu drżały. Znowu. Dołożył kolejną łyżkę cukru do herbaty i wziął, piątą już tego dnia, tabletkę z magnezem. To pozwoli mi ukoić trochę nerwy – pomyślał. A było już tak dobrze, a było niemal idealnie. I to jedno słowo „niemal" rujnowało wszystko.*

*Odkąd pamiętał, lubił porządek i czystość. Z trudem więc akceptował rzadko praną pościel w domu dziecka i noszone już wcześniej przez kogoś ubrania. Teraz, gdy był już dorosły i sam o sobie stanowił, zawsze dbał o to, by każdego dnia mógł położyć się w świeżo wypranej i wyprasowanej pościeli. Codziennie też zakładał czyste ubrania. Gdy konieczność tego wymagała, był również przygotowany na parokrotną w ciągu dnia zmianę tego, co miał na sobie. Zawsze wszystko planował na parę dni do przodu. Nigdy się nie spóźniał. Dzięki doskonałej organizacji prawie nigdy też na nic nie czekał. Był jak szpieg z amerykańskich filmów, a przynajmniej tak lubił o sobie myśleć. Zawsze starał się być o co najmniej dwa kroki przed swoim przeciwnikiem, a było ich w jego życiu wielu. Właściwie to na palcach jednej ręki mógłby wyliczyć te osoby, które okazały mu życzliwość. Te prawdziwie ludzkie istoty, które dostrzegały w nim coś więcej, które dostrzegały jego prawdziwy potencjał.*

*Jego pragnienie nienagannej czystości przyprawiało go teraz o ból głowy. Gdy wrócił do miejsca, w którym jeszcze niedawno byli razem, zobaczył ślad krwi na sznurze. To nie był wielki problem, przynajmniej na początku. Ta kropla jednak sprawiła, że coraz częściej musiał przerywać swoją pracę. W ciągu dnia powracała w postaci natrętnych myśli, w nocy zaś jako koszmar senny. Wpadł jednak na cudowne rozwiązanie swojego problemu. Postanowił, że wróci tam ponownie, weźmie zabrudzony sznur i spali go w swoim piecu. Ogień oczyści sznur i zmaże całą winę. Wiedział, że popełnił błąd. Powinien zamiast twardego sznura użyć materiału. To zapobiegłoby obtarciom i brudowi. Teraz nie miało to jednak znaczenia. Mógł tylko naprawić to, co zrobił źle. Kiedy pojechał w to miejsce ponownie, pod sznurem odnalazł coś jeszcze gorszego, plamę krwi na desce podłogowej. Patrzył na nią przez dłuższy czas, zastanawiając się, jak mógł do tego dopuścić. Skoro krwi było więcej niż jedna kropla, to cały obraz tego, co się stało, który tak skrupulatnie odtwarzał w swojej głowie, był fałszywy. Nic nie było idealnie. Nie miał niczego pod*

*kontrolą. Jego plan się nie udał, a on po raz kolejny okazał się zwykłą ofermą. Siedział, patrząc na plamę na podłodze, po czym – w jakimś porywie, pod wpływem złości – sam uderzył w to miejsce swoją głową. Ból był spory, ale do zniesienia. Uderzył jeszcze raz, a potem ponownie, mocniej. Ciepło rozlało się po jego ciele, było mu już lżej. Popatrzył na podłogę. Nie było już tam widać kropli jej krwi. Była za to całkiem spora plama od jego własnej, świeżej krwi, która zamazała tamtą. Przyniosło mu to swoistą ulgę, ale nie zmieniło wiele. W dalszym ciągu nie osiągnął tego, o czym tak długo marzył. Jego cel dalej był poza zasięgiem jego ręki. Będzie musiał się bardziej postarać.*

# Rozdział 35

Mikołaj z trudem otworzył oczy. Ktoś pochylał się nad nim i coś mówił. Jego głos wydawał się niski i tubalny. Jednocześnie, choć był przekonany, że ta osoba mówi do niego głośno, nie mógł zrozumieć żadnego słowa. Po chwili poczuł na swojej twarzy coś zimnego, wodę. Zdawało mu się, że ktoś zasypuje jego twarz w mokrym piasku, z trudem łapał powietrze, starał się bronić rękami i nogami, jego ciało jednak wykonywało tylko bezsensowne ruchy. Później nastała ciemność. Mikołajowi wydawało się, że spał wiele godzin, a może i dni. Z głębokiego snu wybudzał go powoli ponownie jakiś głos, ale tym razem inny, kobiecy, łagodny i coraz bardziej zrozumiały.

– Słyszysz mnie? Wiesz, gdzie jesteś? – zapytała. Jej twarz była rozmazana, ale było nad nią coś jaskrawoczerwonego, jak płomień. Przeszło mu przez myśl, że to coś wygląda jak aureola wokół świętych na obrazach w kościele, do którego dawno temu zabrała go mama. Przez chwilę się zastanawiał, czy może to oznaczać, że już nie żyje, że nie ma go więcej i już nie będzie musiał się starać. Ulżyło mu. Wtedy jednak głos przemówił ponownie. Był bardziej realny niż wcześniej i bardziej zrozumiały. – Mikołaj? To ja, Jowita. Poznajesz mnie? Pracuję z twoim tatą. On zaraz tu będzie. Już do niego dzwoniłam.

Mikołaj ponownie starał się skupić wzrok, ale przez kolejne parędziesiąt minut mu się to nie udawało. Dopiero gdy kolejna kroplówka weszła w jego ciało, a do sali wszedł jego ojciec, Mikołaj był na tyle przytomny, że był w stanie rozróżnić poszczególne postacie. Rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym się znajdował. Było to dziwne pomieszczenie o obcym zapachu. Dobrą chwilę zajęło mu zorientowanie się, że znajduje się w szpitalu. Popatrzył na ojca. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Był zupełnie blady, a jego zaciśnięte usta z nerwów zmieniły się w wąską kreskę. Przez myśl mu przeszło, że być może doznał jakiegoś urazu. Może uczestniczył w wypadku i stracił nogę lub rękę. Zaczął, na tyle, na ile był w stanie, dotykać poszczególnych części swojego ciała rękami.

– Co robisz? – zapytał Lew.

– Coś mi amputowali? – powiedział piskliwym głosem Mikołaj.

– Amputowali? – powtórzył za nim podkomisarz.

– Pamiętasz, jak się tu dostałeś? – zapytała siedząca obok Jowita.

– Nie, wcale – krzyknął, czując narastające w nim przerażenie. – Co się dzieje?

– Co pamiętasz ostatniego? – zapytał Lew. Jego głos był dziwnie ponury, jak wtedy, gdy chciał, by Mikołaj się do czegoś przyznał.

– Ognisko. Byłem na ognisku z innymi – wymamrotał.

– I?

– I potem już nic.

– Mikołaj, trafiłeś tu pod wpływem narkotyków. Lekarze zrobili badania. Pobrali próbki… – powiedział podkomisarz niemal szeptem.

– Narkotyki? Ale ja, tato… chyba nie myślisz, że ja…

Podkomisarz wstał i odwracając twarz od syna, odszedł w kierunku okna.

– Wiem, że powinienem być częściej w domu, wiem, że nie potrafię rozmawiać z tobą jak twoja matka, wiem to wszystko… ale naprawdę się staram. Pracuję, żeby nas utrzymać. Nie proszę, byś miał same piątki w szkole. Daję ci wiele luzu. I wydaje mi się, że w porównaniu z innymi ojcami naprawdę na wiele pozwalam, ale zawsze umowa była taka, że się nie okłamujemy. A teraz, w takiej sytuacji, kiedy trafiłeś do szpitala…

– TATO! – krzyknął Mikołaj. – Ja nie wziąłem żadnych narkotyków!

Lew odwrócił się do niego. Przez chwilę milczeli. Podkomisarz patrzył synowi prosto w oczy, wciąż lekko załzawione od długiego snu.

– Nie kłamię, przysięgam – wyszeptał Mikołaj. – Dlaczego miałbym to robić? To było ostatnie ognisko. Miałem z Klaudią później… pójść razem na spacer. Zależało mi na tym.

– To co się stało? – zapytał podkomisarz, siadając na brzegu łóżka.

– Nie wiem… jedliśmy kiełbaski, niektóre były z masą pieprzu, ale byliśmy strasznie głodni, więc je jedliśmy, chociaż nas piekło w gardle.

– Skąd były te kiełbaski? – zapytała Jowita.

– No pan Sławek przyniósł. Wypiliśmy całą herbatę, która była. Ja zjadłem najwięcej kiełbas i strasznie mnie suszyło. Chciałem iść do sklepiku po wodę, ale

był już zamknięty. Pani Kinga powiedziała, że mogę wypić jej herbatę, więc wypiłem…

– I wtedy źle się poczułeś? – zapytał Lew.

– Tak, chyba wtedy, ale dopiero po chwili, jak usiadłem znowu z resztą. Dokładnie to nie pamiętam. Wszystko to teraz wydaje mi się po prostu snem…

– Robert, mogę cię prosić na słowo? – zapytała Jowita, dając mu znak głową, żeby wyszli na korytarz. Lew skinął. Szpitalny korytarz był wąski i zatłoczony.

– Ja wiem, że to twój syn, ale popatrz na tę sytuację nie jak ojciec, ale jak policjant z doświadczeniem. Wiesz, że każdy nastolatek, zwłaszcza pod wpływem grupy rówieśniczej, w pewnym momencie chce poeksperymentować.

– Jowita, nie musisz mnie uczyć podstaw. Ja to wszystko doskonale wiem. Przynajmniej stu takich młodzików osobiście odwoziłem na ostre dyżury. Teraz musimy jednak spojrzeć na to w szerszym kontekście.

– Jakim kontekście?

– Mój syn został odurzony nieznaną substancją, po której od razu stracił przytomność. Zwykłe narkotyki tak nie działają. Tak działa tabletka gwałtu i nie sądzę, by on ją wziął dobrowolnie.

– O czym myślisz? – zapytała zaskoczona.

– O tym, że ktokolwiek mu ją dał, może mieć coś wspólnego z naszą sprawą.

– Nie ma dowodu na to, że Sandra Dunder była pod wpływem…

– Ale wiele na to wskazuje – przerwał jej podkomisarz. – Musimy się dowiedzieć, co to była za substancja.

– Jutro pewnie pojawią się wyniki toksykologii.

– Powinniśmy też zbadać sposób, w jaki została mu podana. Jeżeli Niko mówi prawdę, to podejrzewam albo kiełbaski, albo tę herbatę w kubku Kingi.

– Kiełbaskami zatruliby się wszyscy, a herbatę miała wypić opiekunka. W jakim ona jest wieku? – zapytała policjantka.

– Nie wiem, ale gdzieś przed trzydziestką – odparł podkomisarz.

– Jest atrakcyjna? – zapytała, mocno nad czymś się zastanawiając Jowita.

– Myślisz, że to był kolejny atak? Za wcześnie…

– Nie, sam mówiłeś. Mamy czas tylko, jeżeli morderca był usatysfakcjonowany. Jeżeli nie, to ma już dostateczną wprawę i doświadczenie…

– Jeźdźmy na kemping. Nie ma czasu do stracenia. Kinga może być w niebezpieczeństwie – powiedział Lew, ruszając w kierunku wyjścia.

– Czekaj! – krzyknęła za nim. – Może Mikołaj sobie coś jeszcze przypomni, gdy zapytamy go o nią.

– Ty pytaj, ja jadę! – krzyknął, po czym wybiegł do auta.

# Rozdział 36

Ta noc była wyjątkowo ciemna. Nawet jeżeli na niebie świeciły jakieś gwiazdy i księżyc, to zasłaniały je gęste chmury. Kindze został ostatni spacer. Spacer, który miał być pierwszą miłą chwilą tego dnia. Zdarzały się jej bójki na obozach i nawet jednorazowy wybryk z próbą przemycenia alkoholu, ale narkotyki to była zupełna dla niej nowość. Czekała na wieści ze szpitala. Wiedziała, że na niej jako opiekunce grupy ciążyła pełna odpowiedzialność. Do tego wszystko rozegrało się praktycznie na jej oczach. Spojrzała na zegarek w telefonie. Dochodziła dwudziesta druga. Nikt nie dzwonił.

– Helu, muszę się przejść – powiedziała do drugiej opiekunki. – Nie zniosę dłużej tego napięcia.

– Nie martw się, on na pewno się z tego wyliże – pocieszała ją koleżanka.

Siedziały razem na werandzie przed domkiem. Tego wieczora, ze względu na incydent z Mikołajem przy ognisku, ogłosiły ciszę nocną pół godziny wcześniej niż zwykle. Nie miały jednak złudzeń. Żadne z ich podopiecznych nie zamierzało się położyć. To była ich zielona noc, i do tego zaraz po wieczorze pełnym wrażeń. Paliły papierosa za papierosem i miały nadzieję, że nic więcej się nie wydarzy.

– Jak wrócę, zrobimy obchód po domkach – powiedziała Kinga, wstając.

– Po co chcesz ich budzić? – zapytała Hela.

– Wiesz dobrze jak ja, że nikt nie będzie spał – odparła Kinga.

– Jak każdej nocy, ale wcześniej nam to nie przeszkadzało – odparła, wzruszając ramionami jej koleżanka.

– Wcześniej nikt tu nie miał narkotyków. Nie mamy pewności, czy miał je tylko Mikołaj. Może ktoś je przyniósł na teren obozu. Skąd wiesz, że ktoś inny nie spróbuje? – odpowiedziała Kinga. Jej głos drżał.

– Słuchaj, chyba trochę panikujesz – powiedziała Helena, obejmując ją. – Idź się przejść, dobrze ci to zrobi. Możesz mi kupić hot doga w tym barze na rogu. A jak

wrócisz, zaparzymy sobie gorącą czekoladę i uczcimy to, że przetrwałyśmy kolejny turnus razem.

– Nie jestem pewna, czy ja go przetrwałam… – powiedziała Kinga, po czym powłócząc nogami, poszła w kierunku wyjścia. Nie uszła jednak więcej niż dziesięć kroków, gdy z impetem drogę zatarasował jej samochód podkomisarza. Kindze na widok jego zdenerwowanej twarzy za kierownicą przeszły przez myśl najgorsze przypuszczenia.

– Co z Mikołajem? – krzyknęła, gdy wysiadł.

– Dochodzi do siebie – odparł krótko Lew. – Chodźmy do ciebie. Muszę z tobą porozmawiać.

W domku było ciemno. Lew nacisnął włącznik, ale żadna lampa się nie zapaliła.

– Kabel uszkodzony – powiedziała Kinga. – Dlatego siedzimy na werandzie. Tu przynajmniej jest jaśniej dzięki latarni.

– Tylko u was jest ciemno? – zapytał podkomisarz.

– O ile wiemy, to tak. Rano to zgłosimy. Dzisiaj nie miałam już do tego głowy. Zresztą nawet nie wiem, gdzie teraz są właściciele. W rejestracji nikogo nie ma.

– Poszukam ich, ale najpierw mam pytanie. Czy pamiętasz, jak nalewałaś sobie swoją herbatę na ognisku? – zapytał.

– Mówiłam ci już kiedyś, że ja tego nie piję. To sam cukier i woda. Skąd to pytanie? – odpowiedziała zaskoczona.

– Mikołaj twierdzi, że wypił twoją herbatę, bo ta na stole już się skończyła.

– Ja nie miałam herbaty – odparła z przekonaniem.

– Miałaś – wtrąciła się Helena. – Znaczy nam obu przyniósł ktoś, kto je rozdawał. Po prostu my ich nie wypiłyśmy.

– Masz rację, stały na stole – powiedziała Kinga powoli. – Ale dlaczego o nie pytasz?

– Sądzę, że Mikołaj był pod wpływem pigułki gwałtu. Oczywiście na razie są to tylko moje przypuszczenia, bo czekamy na wyniki badań, ale Mikołaj zapiera się, że niczego nie wziął. Zresztą jego objawy też za tym przemawiają.

– On najpierw zaczął coś mamrotać, a później tak dziwnie szedł i się zataczał. Myślałam, że coś mu się stało z nogami – powiedziała Kinga.

– I nagle upadł. Miał otwarte oczy, ale nic nie mówił. Tylko poruszał ustami. Byłam przerażona – dopowiedziała Helena.

– Zemdlał dopiero przed samym przybyciem karetki.

– No właśnie. Z mojego doświadczenia wynika, że dzieciaki raczej nie biorą za pierwszym razem czegoś, co im odejmuje władzę nad ciałem, tylko coś, co wręcz im doznania podkręci – powiedział Lew.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś próbował nas zgwałcić? – powiedziała po chwili z przerażeniem Helena.

– Chcę powiedzieć, że prawdopodobnie Mikołaj nie był celem ataku. Wypił twoją herbatę – odparł Lew, zwracając się do Kingi. – Nie wiem, czy celem był gwałt, ale na pewno w zaistniałych okolicznościach musimy to sprawdzić. Masz jeszcze ten pojemnik, z którego piłaś?

– Nie, ktoś to przyniósł w tych plastikowych kubeczkach. Ja zawsze piję ze swojego bidonu – odparła, wskazując na kolorowy pojemnik przy oknie.

– Pamiętasz, kto wam przyniósł tę herbatę? Czy to był pan Sławek?

– Właściciel? Nie wiem, możliwe. Ja się nawet nie odwróciłam, powiedziałam tylko „dziękuję" i tyle.

– Ja też... Ale jestem pewna, że był to ktoś stąd. Na wszystkich obcych od razu zwracam uwagę – powiedziała Helena.

– Dobrze, dziewczyny, zostańcie tutaj. Zadzwonię do komendanta i poproszę, żeby ktoś tu przyjechał i został na noc, patrolując kemping.

– Gdzie idziesz? – zapytała przerażona Helena. Była młodsza od Kingi o parę lat. Teraz jednak, ubrana w piżamę, z zaplecionymi na noc warkoczami i przestraszoną twarzą, wyglądała nie jak dwudziestoparolatka, ale jak rówieśnica jego syna. Lew uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Spokojnie. Jestem pewny, że teraz nic wam nie grozi, ale nie oddalajcie się.

– A ty chciałaś iść na spacer i mnie tu zostawić samą! – powiedziała z żalem w głosie do Kingi.

– Nie wychodźcie poza teren kempingu i chodźcie w parach. Nie chcę też, by jakiekolwiek dziecko z obozu wychodziło dzisiaj z domków. Dajcie im znać, że mają zostać w środku, tylko ich nie straszcie. Powiedzcie, że Mikołaj był pod wpływem alkoholu i to kara dla wszystkich za to, że nikt nie doniósł, że on pije.

– Mamy tak powiedzieć o twoim synu? Ale to jego koledzy. Może będzie chciał utrzymywać z nimi kontakt… – powiedziała Kinga, zbulwersowana pomysłem Lwa.

– Słuchaj, musimy zrobić, co trzeba, żeby zapewnić wam i dzieciakom dzisiaj bezpieczeństwo. Jutro was już tu nie będzie, ale przed nami jeszcze dziesięć godzin do odjazdu autobusu. A poza tym nie znam nastolatka, któremu zaszkodziła plotka o piciu alkoholu. Nic mu nie będzie – odparł Lew, po czym ruszył w kierunku recepcji. Zapukał do środka. Nikt nie otworzył. Podszedł do drzwi, które prowadziły do prywatnego mieszkania właścicieli nad kempingową stołówką. Zadzwonił dzwonkiem i czekał. Dopiero po dłuższej chwili, ubrana w szlafrok i z papilotami we włosach, otworzyła mu pani Irena.

– Podkomisarzu? – powiedziała zaskoczona. – Co pan robi o tej porze na kempingu.

– Słyszała pani o tym, co się stało w czasie ogniska?

– Tak. Mogę jakoś pomóc?

– Czy wie pani, kto roznosił herbatę uczestnikom? – zapytał.

– Roznosił herbatę? Nie rozumiem – odparła zmieszana.

– Tak, ktoś przyniósł herbatę dwóm opiekunkom z obozu mojego syna, a Mikołaj ją wypił. Podejrzewam, że to w niej mogła być rozpuszczona substancja, która doprowadziła do jego zasłabnięcia.

– My nie roznosimy tej herbaty. Ja ją tylko robię, dodaję lód i cytrynę z cukrem i wlewam do dużego plastikowego pojemnika na napoje z takim fajnym zaworkiem, co ostatnio kupiłam…

– Ktoś podał im herbatę w kubkach. Wie pani, kto to mógł być? – dopytywał Lew.

– Nie, niestety – odpowiedziała pani Irena, energicznie kręcąc głową, tak że jeden z jej papilotów odwinął się i zsunął na podłogę.

– A pani mąż? Mogę porozmawiać z panem Sławkiem?

– Z nim? Po co chce pan z nim rozmawiać. On raczej wolałby już chyba z panem się nie spotykać, choć oczywiście rozumiemy, że tylko robił pan, co do pana należało, ale…

– Pani Ireno, ktoś otruł mojego syna. Muszę porozmawiać z pani mężem. Wiem, że też był na ognisku. Może on coś widział. Może wie, kto podał tę herbatę.

– No dobrze, już dobrze. Chodźmy do niego.

– Nie ma go w środku?

– Nie, teraz wieczory spędza w garażu. Ma jakąś obsesję, odkąd go zwolniliście – powiedziała, prowadząc go na tył budynku, gdzie mieścił się murowany garaż bez okien. Wiata i drzwi były zamknięte na klucz. Pani Irena pukała, ale nikt nie otworzył.

– Proszę tu poczekać, muszę się wrócić po klucze. Ten stary piernik ma już kłopoty ze słuchem – powiedziała, po czym wróciła szybkim krokiem do mieszkania nad stołówką. Nie było jej dłuższą chwilę. Podkomisarz zaczynał się niepokoić, kiedy pojawiała się z powrotem.

– Mam. Zapomniałam, gdzie je odłożyłam – powiedziała, pokazując duży pęk kluczy. Wybrała z nich jeden i wsadziła do dziurki. Przekręciła. Zamek zarechotał, drzwi się otworzyły. W środku panowała ciemność. Widać było tylko tył białej furgonetki zaparkowanej w środku.

– Tam jest drugie pomieszczenie – powiedziała, wskazując coś w ciemności. Jej głos wydał się podkomisarzowi zmieniony. Wyczuł w nim strach.

– Co tam robi pani mąż? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała mu półszeptem. – Myślałam, że naprawia ten stary wóz, ale jak widać nie.

Posuwali się ostrożnie do przodu. Lew oświetlał drogę wąskim strumieniem światła z latarki w swoim telefonie. Na końcu pomieszczenia, po prawej stronie były niskie drzwi, spod których wydostawała się linia wątłego światła. Lew nacisnął klamkę i je otworzył. W środku, tyłem do nich, siedział zgarbiony pan Sławomir ze słuchawkami na uszach, wpatrując się w monitor przed sobą. Lew podszedł. Na monitorze był widok z jakiejś kamery na kempingu. Lew zobaczył wchodzące do jednego z domków Kingę z Heleną.

– Panie Sławku – powiedział na tyle głośno, by mężczyzna go usłyszał.

Właściciel wzdrygnął się. Ściągnął słuchawki i z przerażonymi oczami obejrzał się za siebie.

– To tylko my, kochanie – powiedziała łagodnie pani Irena. – Nie chcieliśmy cię wystraszyć. Pukaliśmy, ale nie słyszałeś.

– Miałem muzykę włączoną – odpowiedział, wskazując na słuchawki. – Beethovena słuchałem.

– Pan podkomisarz ma do ciebie parę pytań.

– Skąd jest ten obraz? – Lew wskazał na ekran jego monitora.

– Z moich kamer – powiedział mężczyzna.

– Kiedy je pan zamontował?

– Kiedy mnie wypuściliście. Przestraszyłem się, gdy usłyszałem, że zamordowano tę biedaczkę. Nie chciałem, żeby to się znowu powtórzyło, ale zamknięcie kempingu oznaczałoby dla nas bankructwo. Kupiłem więc kamery i zamontowałem w czterech miejscach. Stąd mam podgląd i mogę czuwać nad wszystkim.

– Więc to robisz całymi nocami – powiedziała z wyraźną ulgą w głosie pani Irena. – A już myślałam…

– Co myślałaś? – zapytał.

– Już nieważne, cieszę się, że to tylko te kamery – roześmiała się.

– Nie mówiłem ci, bo nie chciałem cię martwić – powiedział Piotrowski.

– Gdzie są skierowane pozostałe trzy? – dopytywał dalej Lew, wpatrując się w obraz przed sobą.

– Jedna jest skierowana na ostatnie domki, przy lesie. Jedna na główną ścieżkę – to ta, którą teraz widzimy, jeszcze jedna jest koło jadalni i ostatnia przed wejściem na kemping.

– Nagrywa pan obraz? – zapytał podkomisarz.

– Tak, ale zachowują mi się tylko ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Na więcej nie mam miejsca. Dlatego tu siedzę – odparł mężczyzna, przełączając obraz między kamerami.

– Muszę je zabrać – powiedział Lew.

– Kamery?

– Nie, nagrania z ostatniej doby.

– Dobrze, zaraz panu dam – odparł potulnie pan Sławek.

– A potem wracaj do domu jak normalny człowiek! – zakomenderowała pani Irena.

– Właściwie to miałbym do pana inną prośbę – przerwał jej podkomisarz. – Czy mógłby pan obserwować jeszcze kemping, przynajmniej do momentu, kiedy przyjedzie tu patrol? Mam podejrzenie, że dzisiaj doszło do nieudanego ataku.

– O mój Boże! – krzyknęła pani Irena, zakrywając usta rękami. – Znowu ten koszmar.

– To tylko przypuszczenie, ale pana nagrania mogą się bardzo przydać.

– To ja zostanę z tobą – powiedziała pani Irena. – Przyniosę w termosie herbatę i ciastka.

– Pani Ireno, czy któryś pracownik mógłby pójść do recepcji? Ona jest zaraz przy bramie. Dobrze by było, żeby nikt spoza kempingu dzisiaj na niego nie wchodził.

– Oczywiście, zaraz to zrobię – powiedziała, po czym wybiegła tak szybko, że z głowy zleciały jej kolejne trzy papiloty.

# Rozdział 37

– Stefan, popatrz na tego chłopaka. Poznajesz? – krzyknęła Jowita, a wszyscy siedzący przed monitorami swoich laptopów i wpatrujący się w kolejne nagrania z monitoringu na kempingu się wzdrygnęli. Jej głos przerwał trwającą od godziny ciszę. Była trzecia nad ranem, ale nikt z siedzącej trójki nie zamierzał iść do domu.
– Przepraszam was. Nie powinnam była krzyczeć, ale ja go chyba znam – powiedziała tym razem ciszej Jowita. Sierżant Kuna podszedł do niej i popatrzył przez ramię.

– Ja też. Zgarnęliśmy go pół roku temu za handel pod klubem w Słupsku – powiedział. Podkomisarz i siedzący obok niego Andrzej Tchórz podeszli do nich.

– To diler? – zapytał Lew.

– Hubert Maksymowicz. Wtedy podejrzewaliśmy, że jest dilerem, ale nic w końcu nie znaleźliśmy – odparła Jowita.

– Obserwowaliśmy klub od dwóch nocy, po tym jak jakieś nastolatki zabalowały z ecstasy i trafiły na SOR. Nie chciały powiedzieć, kto im to sprzedał. Powiedziały tylko, że ktoś w klubie. Myśleliśmy, że przyłapaliśmy go na gorącym uczynku, bo chwilę wcześniej coś sprzedał, ale kieszenie miał puste – wyjaśnił Kuna.

– Musiał mieć wspólnika albo jakąś skrytkę – dopowiedziała Jowita.

– Skąd jest to nagranie? – zapytał Lew, wskazując na ekran jej laptopa.

– To kamera przed wejściem. Pojawił się pod sklepikiem koło ósmej wieczorem. Widać go przez pięć minut. Pali papierosa, a później zdaje się, że wchodzi do sklepu – odparła Jowita.

– W sklepie jest drugie wyjście, dla klientów kempingu. Mógł przejść tamtędy do środka, bez wchodzenia przez bramę – powiedział Lew. – Macie jego adres?

– Lepiej – odparł Tchórz. – Dzisiaj jest impreza na przystani. Jedźmy tam, założę się, że go tam zgarniemy.

– Rozdzielmy się – zaproponowała Jowita. – Wasza dwójka jedzie na imprezę, a my z Robertem do jego domu.

Gdy wychodzili z komendy, Jowitę zatrzymała dyspozytorka.

– Słuchaj, znowu dzwoniła ta szalona babcia – powiedziała.

– Burzyńska? – zapytała Jowita. – Co tym razem?

– Mówi, że wilk wyje na poddaszu. Podjechałabyś do niej? Żal mi kobiety.

– A mnie wcale – powiedziała oschle Jowita. – Marnuje swoimi telefonami tylko pieniądze podatników na nasze paliwo. To sprawa dla MOP-su, a nie dla nas. Trzeba to zgłosić im. Ja nie mogę do niej ciągle jeździć i ją uspokajać. Poza tym, czego jak czego, to jestem pewna, że na tym jej strychu nie ma ani kurew, ani pierdolonych wilków.

– Może to faktycznie kuny – powiedział Lew. – Elektryczny odstraszacz na gryzonie mógłby zaoszczędzić pracę również opiece społecznej.

– Tak, ale niech oni go kupią. Ja mam już dosyć – powiedziała. – Chodź. Zgarnijmy tego gościa i zróbmy w końcu jakiś krok naprzód w tej sprawie.

Poszło im sprawniej, niż myśleli. Sierżant Tchórz miał dobre przeczucie. Udało mu się nawet nagrać kamerą na telefonie, jak Maksymowicz podaje coś parze wchodzącej na imprezę. Godzinę później siedział już przy stole przesłuchań na komendzie w Słupsku, gdzie rozmawiali z nim Tchórz z Jowitą. Lew przysłuchiwał się, siedząc na miejscu, które wcześniej zajmowała prokurator. Patrzył na młodego Maksymowicza. Nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Miał ostrzyżone krótko i pofarbowane na platynowy blond włosy. Ubrany był w jeansową kurtkę i długie spodnie z kieszeniami, chociaż nawet w nocy było o tej porze ciepło. W spodniach znaleźli jedynie odliczone w każdej kieszeni pieniądze. Postanowili jednak wykorzystać dwa nagrania, które mieli, by go wystraszyć wystarczająco, by powiedział, co wie. Szybko się okazało, że nie wiedział nic o sprawie zamordowanych kobiet i nie mógł być za nie odpowiedzialny, bo miał mocne alibi na czas zaginięcia Sandry Dunder. Był wtedy w Amsterdamie z kolegami. Jowita jednak dawała mu ciągle do zrozumienia, że ma naprawdę poważne kłopoty i tym razem nie mają zamiaru mu pozwolić tak po prostu odejść.

– Słuchaj, cwaniaku. Tym razem mamy nagrania. Na kempingu omal nie umarł młody chłopak. Wiesz, jak może się skończyć podanie silnej dawki dziecku? On

jest dalej w szpitalu. Trzymam za niego kciuki, ale nawet jak się z tego wyliże, ty możesz beknąć za nieumyślną próbę zabójstwa.

– Że co? – krzyknął Maksymiuk. – Co mi pani tu, kurwa, wmawia? Jakie zabójstwo? Nic na mnie, kurwa, nie macie. Nic. Możecie się jebać.

Lew wstał i szybkim krokiem podszedł do siedzącego na krześle chłopaka. Złapał go za kołnierz i popchnął na ścianę tak, że tamten prawie spadł z krzesła.

– Tak się złożyło, zasrańcu, że ten chłopiec, który teraz leży w szpitalu, to mój syn. A ja jestem z Warszawy, a tam się tak nie cackamy z takimi jak ty. Moja koleżanka grzecznie chciała z tobą porozmawiać, chociaż mnie by nawet było szkoda na to energii.

– Co to ma być? – powiedział chłopak, próbując wstać. – Dobry i zły glina?

– Nie, tu jest tylko zły i gorszy – zaśmiał się ponuro Lew. – Słuchaj mnie uważnie. Mnie nie obchodzi, ile lat dostaniesz. Ja chcę tylko wiedzieć, komu sprzedałeś to gówno. Jak mi powiesz, to możesz znowu się w czasie miłej pogawędki układać z moją koleżanką, może ci coś zaproponuje w zamian za to, że wsypiesz tych, od których bierzesz towar. Mnie interesuje ta konkretna sprawa i dopóki nie powiesz, nie pozwolę na żadną ugodę. Rozumiesz? Dla mnie to jest sprawa osobista, a ty stałeś się moim osobistym problemem, w momencie gdy to gówno dostało się do krwiobiegu mojego syna – powiedział Lew, przyciskając go ręką do ziemi. Maksymowicz z trudem łapał oddech. Jowita patrzyła na to z przerażeniem, nie śmiała jednak im przerwać. Jej tak samo jak podkomisarzowi zależało na rozwiązaniu tej sprawy.

– Sprzedałem tabletki takiemu jednemu dziadowi – wysapał.

– Jakiemu dziadowi? – krzyknął Lew. – Właścicielowi kempingu?

– Dusisz mnie, człowieku!

Lew puścił rękę i pozwolił mu nabrać powietrza.

– Nie wiem, czy to właściciel, czy nie. Wiem tylko, że pracuje w sklepiku przy kempingu – powiedział. Jego twarz była czerwona.

– Chodzi ci o tego sprzedawcę, który zawsze jest w maseczce i rękawiczkach? – zapytał Lew.

– Tak. Tego dziadka.

– Skąd miał twój numer?

– Powiedział, że dała mu go jego koleżanka.

– Koleżanka? A możesz dokładniej?

– Kaśka, taka kurwa, co czasami bywa w klubach. Kupowała ode mnie trawkę rano, po całej nocy. Tak się relaksowała.

– Ja pierdolę – powiedziała Jowita. – Mamy go!

– Ile razy mu sprzedałeś? – dopytywał Lew, który tak jak Jowita czuł, jak puls mu idzie do góry.

– Dwa razy. Wczoraj i trzy tygodnie temu.

– Jedziemy – powiedziała Jowita do Lwa.

– A co z moją ugodą? – zawołał za nimi Maksymiuk, ale nikt mu już nie odpowiedział.

# Rozdział 38

– Jest prawie szósta rano. Pewnie otwiera swój sklepik. Możemy tam pojechać i go zgarnąć – powiedziała Jowita. Lew szedł koło niej w ciszy.

– Co jest? – zapytała.

– Nie wiem, ale coś mi tu nie pasuje.

– Myślisz, że ten młody nam wrzucił byle kit?

– Możliwe – powiedział Lew, wsiadając do samochodu. – Wydaje mi się dziwne, że ten facet nie wypłynął nam wcześniej. Wszystkich z listy pracowników kempingu i wczasowiczów prześwietliliśmy i sprawdziliśmy, co robili w czasie porwań. Więc albo to nie on, albo ktoś mu pomaga. Żadna z tych opcji mi się nie podoba.

– Zobaczymy, co powie.

Do kempingu „Leśny" mieli dwadzieścia minut jazdy. Ostre słońce wschodzące nad koronami drzew raziło ich w oczy. Nad łąkami unosiła się mgła. Gdzieniegdzie widać było żerujące na mokradłach bociany.

– Pamiętasz, jak tu przyjechałeś i zapytałeś mnie, jak ja to robię, że nie zatraciłam się całkiem w tej pracy? – zapytała Jowita pogrążonego w myślach Lwa.

– Tak – odparł.

– Rozejrzyj się. Popatrz, jak tu pięknie.

– Tak, pięknie. Ja rzadko mam okazję podziwiać takie widoki w pracy.

– No właśnie. O to chodzi. Ja kiedy jadę nawet do jakiegoś topielca na plażę, to jadę przez istny raj na ziemi. I potem też tędy wracam, i moja dusza jakoś dochodzi do siebie. Ale teraz… teraz jest inaczej. Przestałam dobrze spać – powiedziała smutno.

Lew popatrzył na nią, po czym wybuchnął śmiechem.

– Przestałaś dobrze spać? – powtórzył za nią. – Ty mówisz poważnie?

– Nie rozumiem, co w tym śmiesznego? – żachnęła się.

– No wiesz – powiedział Lew, kiedy w końcu opanował śmiech. – U nas, w Warszawie, to jest tak, że mniej więcej po tygodniu pracy młodzi policjanci przestają spać. Po miesiącu mają już konkretne napady lękowe, a część z nich zaczyna wymiotować do koszy na śmieci, gdy ktoś tylko wejdzie do sali z nowymi zdjęciami z miejsca przestępstwa.

– I co chciałeś przez to powiedzieć? Że my tu, w Słupsku, nie wiemy, co to naprawdę praca w policji? – powiedziała urażona.

– Nie, Jowita. Chciałem przez to powiedzieć, że masz jaja jak bawół. Ja nie śpię dobrze chyba przez ostatnie trzydzieści lat i nie potrafiłem nawet wytrzymać minuty w morzu po zachodzie słońca. Jesteś naprawdę dobrym funkcjonariuszem. Zachowałaś żywy umysł i serce. To rzadkie, a wierz mi, wiem coś o tym. Ja swoje bardzo dawno straciłem.

Jowita popatrzyła na niego. Lew prowadził samochód, naciskając na każdej prostej pedał gazu. Jechał jak wariat, ale jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Boisz się? – zapytała.

– Czego?

– Że go nie złapiemy? Ja się boję. Czuję się odpowiedzialna i za każdym razem, gdy coś się takiego dzieje na moim terenie, to czuję się współwinna, chociaż przecież to nie ja popełniam przestępstwo. Też tak masz?

– Nie – odparł. – Ale może powinienem.

– Nie znamy nawet nazwiska tego gościa – powiedziała.

– Widziałem go wielokrotnie, kiedy mieszkałem na kempingu. Kupowałem u niego bułki rano. Mój syn chodził do jego sklepiku codziennie…

– Myślisz, że wiedział, że jesteś z policji? Może otruł Mikołaja specjalnie, żebyśmy przestali go ścigać.

– Jeżeli tak zrobił, to bardzo się pomylił. Mój syn ma już wystarczająco spieprzone dzieciństwo przeze mnie. Nie pozwolę innym go krzywdzić.

Jowita się roześmiała.

– A ty masz bawole jaja jako ojciec, wiesz?

– Ja?

– Tak. Ja bym się nigdy nie przyznała przed sobą ani tym bardziej przed innymi, że jestem rodzicem do bani.

– W moim przypadku to tak oczywiste, że ukrywanie tego byłoby żenujące – odparł. – Dojechaliśmy.

– Sklep chyba jeszcze jest zamknięty – powiedziała Jowita, wysiadając. – Jest jakaś kartka.

Podeszli obydwoje do drzwi sklepowych, na których wisiał kawałek papieru z napisaną drukowanymi literami wiadomością „Sklep zamknięty do odwołania z powodu choroby właściciela".

– Cholera – powiedziała Jowita.

– Musimy dowiedzieć się, gdzie on mieszka – odparł Lew. – Chodź.

Podkomisarz poprowadził Jowitę do garażu na tyłach jadalni. Zastukał głośno w drzwi. Po minucie pojawiła się w nich pani Irena.

– Całą noc spędziliśmy na monitorowaniu sytuacji – powiedziała bez powitania.

– Dziękuję państwu. My przejrzeliśmy państwa nagrania z monitoringu i musimy koniecznie porozmawiać z właścicielem sklepiku. Wie pani, gdzie on mieszka?

– Oczywiście. To Kaziu, stary znajomy mojego męża. Mieszka na kempingu, w jednym z domków.

– Naprawdę? – powiedział zaskoczony Lew. – Pamięta pani numer?

– Tak, mieszka pod szóstką – odparła.

– To zaraz obok domku, który my zajmowaliśmy – odrzekł Lew, po czym ruszył szybkim krokiem w kierunku betonowego placu na środku kempingu.

– Tak, ale teraz go tam nie znajdziecie – krzyknęła za nim właścicielka.

– A gdzie indziej może być? – zapytała Jowita.

– Wczoraj podkomisarz prosił, bym wysłała jednego z pracowników do recepcji, żeby czuwał nad tym, kto wchodzi i wychodzi w nocy na teren kempingu. Poprosiłam o to Kazia. Tak jak my czuwał dzisiaj w nocy nad bezpieczeństwem wszystkich.

Jowita spojrzała przerażona na Lwa. Razem pobiegli w kierunku recepcji. Lew pierwszy wszedł na podest przed drewnianym domkiem. Spojrzał przez okno do środka, nie było jednak stamtąd widać biurka ani fotela. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. W środku siedział starszy mężczyzna. Miał podkrążone oczy o wodnistym spojrzeniu i gęste brwi, które Lew od razu rozpoznał. Jego usta były

grube, mięsiste i bardzo czerwone. Sprawiały wrażenie czymś podrażnionych. Na biurku przed nim leżała starannie zrobiona kanapka, rozłożona na białej chusteczce i przygotowana do zjedzenia. Gdy Lew wszedł do środka, mężczyzna spojrzał na podkomisarza pytająco.

– Pan jest właścicielem sklepiku? – zapytał Lew.

Mężczyzna otworzył usta, by odpowiedzieć, po czym zamknął je i gwałtownie otworzył szufladę biurka. Lew skoczył ku niemu i nim mężczyzna zdążył zareagować, leżał już twarzą na blacie biurka.

– Co się stało?– krzyknęła Jowita, wchodząc do środka.

– Próbował chyba wziąć broń z biurka, gdy wszedłem – odpowiedział Lew, sapiąc pod wpływem nagłego wysiłku, jaki musiał wykonać, by złapać i przytrzymać mężczyznę. Jowita podeszła od tyłu do biurka i odsunęła szufladę. W środku była jedynie maseczka chirurgiczna.

– Tu nic nie ma – powiedziała.

– Ja chciałem zakryć usta, żeby pana nie zarazić. Wczoraj zacząłem trochę kaszleć – powiedział łamiącym się głosem mężczyzna.

# Rozdział 39

– Co o nim wiemy, podkomisarzu? – zapytała prokurator Gierowska, tego dnia ubrana w jaskrawoczerwony komplet, który dodatkowo podkreślały czerwone kolczyki i szminka. Jej obcasy, choć znacznie mniej głośne od poprzednich, rytmicznym stukaniem dawały znać, że jest podekscytowana.

– Ma na imię Kazimierz Szczur – zaczął Lew, któremu klaśnięciem w dłonie od razu przerwała prokurator. – Tak?

– Wspaniale! – powiedziała.

– Co takiego? – zapytał, nie rozumiejąc podkomisarz.

– Szczur! – odpowiedziała. – Jak to pasuje.

– Co pasuje? – pytał dalej, widząc rozbawienie na twarzach innych funkcjonariuszy.

– Nie rozumie pan, podkomisarzu? Nazwisko pasuje do was – powiedziała Gierowska, śmiejąc się filuternie. – Lew złapał Szczura, albo raczej Lew, Tchórz, Kuna i oczywiście Jastrząb.

– Jastrząb? – zapytał po raz kolejny Lew.

– Pani komisarz nazywa się Jastrząb, o ile dobrze pamiętam – powiedziała Gierowska, wskazując Jowitę, która również wybuchła śmiechem. Lew popatrzył na nich zmieszany.

– To taka nasza tutejsza zabawa słowna – powiedziała Jowita. – Nie przejmuj się i kontynuuj.

– Tak – wrócił do tematu podkomisarz. – Wiemy więc, że nazywa się Kazimierz Szczur, ma sześćdziesiąt dwa lata. Skończył technikum gastronomiczne. Pracował jako listonosz. Został zwolniony za drobne kradzieże z paczek, które doręczał. Dziesięć lat temu założył własną działalność gospodarczą i zajął się handlem. Otworzył sklepik, po dwóch latach drugi. Szło mu nieźle, ale potem przeinwestował i popadł w długi. Dwa lata temu musiał zamknąć swoją

działalność. Z panem Sławomirem Piotrowskim, właścicielem kempingu, znają się od dawna. Wychowywali się w tym samym domu dziecka. Rok temu spotkali się po latach i Piotrowski zaproponował mu, by poprowadził sklepik przy ich kempingu. Wcześniej Piotrowski sam zamierzał go prowadzić i już przygotował budynek, ale ostatecznie nadmiar pracy go przerósł i zaproponował to Szczurowi. Wszystko było już przygotowane i żadne nakłady finansowe nie były potrzebne. Dodatkowo, gdy Piotrowski dowiedział się o jego kłopotach finansowych, zaproponował mu również mieszkanie w jednym z domków na kempingu.

– Pozostaje pytanie, dlaczego jego nazwisko nam wcześniej umknęło. Może pan Sławek z nim współpracuje. Może go kryje? – zastanawiała się Jowita.

– Myślę, że odpowiedź jest o wiele prostsza, choć oczywiście musimy zachować czujność. Zadzwoniłem z tym samym pytaniem do pani Ireny, która przygotowywała nam listy. Poprosiliśmy ją o zestawienie pracowników kempingu oraz wczasowiczów przebywających w czasie zaginięć na jego terenie. Według niej Kazimierz Szczur nie podlega pod żadną kategorię, ponieważ sklep jest jego własną działalnością gospodarczą, a domku nie wynajmuje, tylko korzysta z niego za darmo. Nie jest wczasowiczem, a w ich oczach nie był żadnym zagrożeniem.

– Czyli to nasza wina. Źle zadaliśmy pytanie – powiedziała Michalak.

– Tak można to ująć – zgodził się z nią Lew.

– Mieszkał pan koło niego, zdaje się, przez parę dni – ciągnęła zastępczyni komendanta. – Ma pan jakieś spostrzeżenia odnośnie do jego zachowania?

– Muszę wszystkich rozczarować. Faktycznie mieszkałem zaledwie parę metrów od niego. Co więcej, codziennie u niego kupowałem coś w sklepiku. Mimo wszystko nie jestem w stanie o nim niczego powiedzieć. Nie pamiętam, bym choć raz widział go siedzącego przed swoim domkiem. Prawdopodobnie większość czasu spędzał w sklepie, a tam widziałem jedynie jego oczy i brwi. Zawsze nosił maseczkę chirurgiczną i rękawiczki. Przypuszczam, że ma coś na kształt nozofobii, lęku przed zachorowaniem. Pewnie ma do tego nerwicę natręctw, co by pasowało do ogólnego obrazu mordercy, jaki mieliśmy. Ktoś taki miałby przygotowany plan i działał ściśle zgodnie z nim. Zadbałby o to, by jego płyny ustrojowe nie mieszały się z ofiarami, ale nie ze względu na manię czystości, ale właśnie nozofobię.

– Więc dlatego nie dbałby o pozostawienie swojego DNA na ciele ofiary i miejscu zbrodni? – powiedziała Jowita. – Pytanie tylko, gdzie ono jest?

– Tak. Musimy przeszukać jego domek. Może tam znajdziemy jakąś wskazówkę, adres lub zdjęcie – powiedział Lew.

– A może po prostu go zapytamy – powiedział milczący do tej pory Plebańczyk. – Ten człowiek nie wygląda na geniusza zbrodni. Może wystarczy właściwe podejście i się po prostu przyzna.

– Nie sądzę, komendancie – odparł podkomisarz. – Taka osoba, z taką przeszłością i osobowością, będzie chorobliwie nieufna wobec przedstawicieli prawa. Wątpię, by w ogóle chciał z nami rozmawiać.

– Musi, inaczej nic nie wskóramy – powiedziała Michalak. – Nie mamy jak na razie żadnego dowodu na to, że on stał za którymkolwiek z tych morderstw albo chociaż za dosypaniem tabletki gwałtu pana synowi do herbaty. Musimy mieć jego przyznanie się do winy.

– Będziemy mieli wyniki DNA – powiedziała Jowita.

– Tak, ale najwcześniej za dwa tygodnie, a do tego, jak wiedzieliśmy od samego początku, jest mała szansa, by próbki przetrwały bez uszczerbku długi kontakt z wodą. Nie mamy jak na razie podstaw do zatrzymania go dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Później, jak będzie chciał, to nam zwieje i więcej go nie zobaczymy – odparła Michalak.

– To prawda, porozmawiam z nim. Może to coś da – powiedział Lew. – Jowita, pójdziesz ze mną?

– Ja też – wtrąciła się prokurator. – Usiądę z tyłu, nie będę wam przeszkadzać. Zadam swoje pytania dopiero wtedy, gdy się już przyzna.

Lew chciał zaoponować, pamiętając, jak przy przesłuchaniu Piotrowskiego ciągle go rozpraszała, ale później pomyślał ponownie o profilu mordercy, który stworzył sobie w głowie, i o tym, jaki musi mieć stosunek do kobiet. Skoro pierwsze ofiary były znacznie słabsze i starsze, świadczy to o tym, że prawdopodobnie kobiety go onieśmielają, może wręcz odczuwać wobec nich strach. Siedząca z tyłu i milcząca Gierowska mogła stać się więc w tym wypadku atutem.

– Chodźmy – powiedział, zabierając materiał zdjęciowy ze sprawy do teczki i wychodząc. Przeszli korytarzem do pokoju, w którym wcześniej przesłuchiwano

Piotrowskiego. Lew otworzył drzwi, w środku jednak nikogo nie było.

– Gdzie jest mężczyzna, którego przywieźliśmy?! – zawołał przez korytarz do funkcjonariusza w okienku przy wejściu. Ten wzruszył ramionami. – Cholera. Przecież mieliście go pilnować! – krzyknął. – Musimy go znaleźć. Może nie uciekł daleko. Nie ma tu swojego samochodu. Trzeba sprawdzić przystanki.

– Nie sądzę, by przemknął głównym wejściem, ale może próbować wyjść przez okno w toalecie! – krzyknęła do niego Jowita, biegnąc w kierunku toalet. Lew kiwnął głową. Sam wybiegł przed budynek. Rozejrzał się. Nie znał Słupska dobrze, potrzebował więc chwili, by zastanowić się, w którą stronę Kazimierz Szczur mógł się udać, by jak najszybciej uciec, kiedy nagle zauważył podejrzanego siedzącego na ławce pod drzewem razem z oddelegowanym do pilnowania go funkcjonariuszem.

– Co to ma być?! – krzyknął w ich stronę. – Dlaczego jesteście na zewnątrz, a nie w pokoju? Przecież miałeś wyraźne polecenie – powiedział w kierunku młodego policjanta.

– Ten pan zaczął się dusić. Powiedział... – wybąknął na swoją obronę, a Szczur zaczął machać ręką.

– Niech się pan nie denerwuje. Ja mam alergię. Często się przeziębiam, a tamten pokój... powiedzmy, że nie pachniał najlepiej, a ja nie miałem dobrej maseczki, tylko tę zwykłą.

Z komisariatu wybiegła Jowita. Lew kiwnął w jej stronę ręką.

– Tu jest! – krzyknął.

– Dobrze, chodźmy już do środka, chcemy zadać panu kilka pytań.

– Dobrze, ale do innego pokoju. W tamtym nie mógłbym wytrzymać – powiedział mężczyzna.

– Jowita, macie tu jakiś wolny pokój z oknem? – zapytał podkomisarz, gdy Jowita podeszła do nich.

– Jest moje biuro – powiedziała po chwili.

– Może być – odparł Lew, po czym kiwnął głową w kierunku młodego funkcjonariusza, by ten zaprowadził tam Szczura.

– On zdaje się zupełnie nie rozumieć, że jest o cokolwiek podejrzany – powiedział szeptem do Jowity Lew, tak by idący przed nimi ich nie słyszeli.

– Myślisz, że to nie on? – zapytała.

– Tak, albo jest świetnym aktorem – odparł.

– Może być też obłąkany – zastanawiała się.

– Zaraz to sprawdzimy – powiedział Lew.

Weszli do biura Jowity, która zgarnęła z biurka leżące tam dokumenty i wskazała mężczyźnie krzesło.

– Niezbyt wygodne – powiedział mężczyzna, siadając na drewnianym trzeszczącym meblu. Za nimi do pokoju wbiegła prokurator Gierowska z małym stołeczkiem w rękach.

– Wie pan, jak to jest w budżetówce. Zawsze za mało środków na wygodne krzesła – powiedziała, siadając naprzeciwko niego. Lew usiadł z boku biurka i zaczął się przyglądać sylwetce mężczyzny. Nic prócz rąk, które cały czas pocierał, nie zdradzało, by był zestresowany. Miał szpakowate, przyklapnięte i tłuste włosy. Ubrany był w za duży i powyciągany dres, którego kolory zostały już dawno sprane. Skóra na dłoniach mężczyzny była wyraźnie przesuszona do tego stopnia, że między palcami było widać drobne pęknięcia. Jego paznokcie były nienaturalnie krótkie, takie jak u osób, które je kompulsywnie obgryzają.

– Przesłuchiwaliście Sławomira Piotrowskiego – powiedział, zanim Lew zdążył zadać mu pytanie. – Przeskrobał coś? On zawsze miał coś na sumieniu. Nigdy nie trzymał się zasad.

– Panowie znają się od dziecka, prawda? – zapytał podkomisarz.

– Tak. Mieszkaliśmy w tym samym sierocińcu.

– Byliście przyjaciółmi? – pytał dalej.

– Absolutnie nie – odpowiedział mu szybko Szczur. – Ja się z takimi osobami nigdy nie kolegowałem…

– Takimi, czyli jakimi?

– No jak Piotrowski. On zawsze był bezczelny. Już jako dziecko brał podwójne desery, choć wiedział, że to nie jego kolej. Jakim człowiekiem trzeba być, by inne dzieciaki pozbawiać deseru? Wyobraża pan to sobie? Czy pan odebrał komuś kiedyś deser? A przecież to nie tak, że nam się przelewało. Często nie mieliśmy innych słodyczy. Były tylko te desery, a my rośliśmy…

– Nie lubi pan go.

– Nie, że od razu nie lubię – żachnął się mężczyzna. Mówił energicznie, choć niezbyt głośno, próbując tym ukryć lekką wadę wymowy. – Pomógł mi w końcu po latach. To miło z jego strony, choć patrząc na to wszystko, co było, to raczej był rewanż, zadośćuczynienie niż przysługa. Po prostu pomógł, bym sam na swoje zapracował. Żadnych pieniędzy mi nie dał, a ja i tak bym ich zresztą nie przyjął, chociaż wiem, że mu się bardzo dobrze powodzi.

– Co pan przez to rozumie? – zapytała Jowita.

– No on zawsze chciał więcej, niż mógł dostać. Ale widocznie to popłaca, bo odniósł sukces. Ma wszystko: dom, własny biznes, no i wspaniałą żonę. Żyć nie umierać. Ale skoro go zabraliście na przesłuchanie, to pewnie coś przeskrobał, dupek. Nie potrafił uszanować tego, co ma, i musiał przegiąć, znowu poprosić o coś, co mu się nie należy.

– Pana Piotrowskiego zaprosiliśmy do nas na rozmowę w sprawie zaginięcia Sandry Dunder, której ciało znaleziono niedługo potem. Słyszał pan o tym?

Mężczyzna patrzył na nich, nic nie mówiąc. Jowita sięgnęła po zdjęcie z teczki i położyła je przed nim na biurku.

– Widział pan tę kobietę? – zapytała. Szczur powoli opuścił głowę, jakby nie był zupełnie ciekawy tego, co policjantka miała mu do pokazania. Gdy jego wzrok padł w końcu na uśmiechniętą twarz Sandry Dunder, przekręcił głowę nieznacznie w jedną stronę. Jowita pomyślała o sroce, która czasami do niej przylatuje na parapet. Zostawia jej zawsze tam jakiś smakołyk, a ona, zanim weźmie, najpierw mu się przygląda, przekręcając swoją małą, czarną główkę. Jowita starała się wyczytać jakiekolwiek emocje z jego twarzy. Na próżno.

– Nie znam – odpowiedział w końcu, nie spiesząc się.

– A tę pan zna? – zapytała ponownie, wyciągając kolejne zdjęcie, tym razem przedstawiające Chrząstkiewiczową. Tak jak na poprzedni portret, również i na ten nie było ze strony mężczyzny żadnej reakcji.

– A tę? – zapytała po raz trzeci, pokazując małe paszportowe zdjęcie Katarzyny Bierat.

– Nie znam – powtórzył.

– A jego pan zna – wtrącił się Lew, pokazując mu na telefonie zdjęcie Huberta Maksymiuka, dilera. Mężczyzna zamiast na zdjęcie, popatrzył na podkomisarza.

– Po co mnie o to pytacie?

– Pytamy, bo to ważne. Jak mówiliśmy wcześniej, prowadzimy sprawę dotyczącą morderstwa. Wierzymy, że jest pan w stanie nam pomóc.

– Pomóc? – powtórzył za podkomisarzem Szczur piskliwym głosem, zupełnie zaskoczony. – Ja wam?

– Tak, liczymy na pana pomoc – potwierdziła Jowita. – Może nam pan pomóc dowiedzieć się, co się stało z tymi kobietami.

Oczy mężczyzny przeskakiwały między dwojgiem funkcjonariuszy, sprawdzając, czy mówią prawdę.

– Jak miałbym pomóc? – zapytał w końcu.

– Próbujemy ustalić, krok po kroku, co się z nimi stało. Może pan którąś z nich minął po drodze? Może pan spacerował o tej samej porze?

– Już powiedziałem, że nie znałem ich.

– Mamy nagranie, na którym widać, jak ten chłopak… – zaczął Lew, ponownie pokazując Szczurowi zdjęcie na swoim telefonie – jak on wchodzi do pana sklepu.

– Mogło mnie nie być. Czasami na chwilę wychodzę – odrzekł mężczyzna, dalej nie patrząc na zdjęcie.

– Ale pan był. Przynajmniej on tak twierdzi – powiedział Lew.

– Co więcej, wiemy, że to pan dzwonił do niego. Musi go pan znać – dopowiedziała Jowita.

– Nic nie muszę. Czasami gdzieś dzwonię i tyle. Poza tym czasami niektórzy nawet wybierają przypadkowy numer – odpowiedział, opierając się o krzesło. – Niewygodnie tu – powiedział i były to jego ostatnie słowa, jakie wypowiedział w czasie tej rozmowy. Lew i Jowita zadawali kolejne pytania, mężczyzna jednak zdawał się pogrążony głęboko w swoich myślach. Pani prokurator, która siedziała na równie niewygodnym stołku jak on, traciła cierpliwość, dając to jasno do zrozumienia swoimi obcasami. Po godzinie śledczy się poddali.

– Cholera – zaklął Lew, wychodząc.

– On wygląda na niepoczytalnego – powiedziała Jowita. – Co robimy? Wzywamy psychiatrę?

– On może grać. Musimy się o nim więcej dowiedzieć. Kiedy przyjdzie tu jakiś lekarz i napisze, że jest świrem, to nic już nie ugramy.

– To co robimy? – zapytała.

– Sprawdźmy najpierw jego dom. Może tam coś znajdziemy – powiedział Lew.

– Mam nadzieję, że będzie to sznur ze śladami krwi ofiar i jego odciskami palców – powiedziała ponuro Jowita.

– Tak byłoby najlepiej – zgodził się z nią Lew.

# Rozdział 40

Dochodziła dwunasta, gdy pojawili się ponownie na kempingu „Leśny", by obejrzeć domek zajmowany przez Kazimierza Szczura. Po raz pierwszy od dawna z nieba lał deszcz. Sucha ziemia niechętnie przyjmowała taką ilość wody, więc wydeptane na kempingu ścieżki szybko zamieniły się w podłużne kałuże. Jowita, która miała na stopach skórzane mokasyny, przeklinała pod nosem, próbując znaleźć suche przejście. Lew, nie bacząc na to, że przemakają mu nie tylko buty, lecz także nogawki, szedł najprostszą ścieżką do recepcji.

– Dzień dobry, pani Ireno – powiedział, stukając w futrynę drzwi. – Przyszliśmy zobaczyć domek, który zajmuje pan Kazimierz. Czy mogłaby nam pani dać zapasowy klucz?

– Chcecie zobaczyć dom Kazika? Ja nie wiem, czy mogę was wpuścić. Macie na to jakieś papiery? – zapytała. Choć spędziła noc w garażu z mężem i musiała być zmęczona, trzy puste kubki po kawie, które stały przed nią, widocznie poskutkowały, bo wyglądała na równie energiczną jak zawsze.

– Możemy pójść po papier i na pewno go dostaniemy, ale wtedy nie wrócimy sami, tylko z całą ekipą, która przetrząśnie każdy milimetr jego domu. Sami zrobimy to delikatnie i gdy pan Kazimierz wróci, nie zobaczy nawet różnicy, a inni wczasowicze nawet się nie zorientują, że coś się dzieje – blefował Lew. Wiedział, że na tym etapie śledztwa nie miał najmniejszych szans na zdobycie nakazu rewizji.

– No dobrze – odparła właścicielka, podając im klucz z szuflady z numerem sześć na breloczku. – Tylko nie naróbcie bałaganu. Kazik jest sympatyczny, ale dziwny. Wolałabym się przed nim nie tłumaczyć.

Lew wziął kluczyki. Domek numer sześć był taki jak ten, w którym on mieszkał przez parę dni z Mikołajem, przy samym betonowym placu, gdzie odbywały się wszystkie większe spotkania, było miejsce na ognisko z rusztem i kosz do koszykówki. Teraz plac był mokry od deszczu i z odległości wyglądał jak

niewielkie, idealnie gładkie jezioro. Podkomisarz z własnego doświadczenia wiedział, że pusty plac to rzadkość i od samego rana do późnego wieczora zazwyczaj biegają po nim dzieci, hałasując przy tym niemiłosiernie. Było jasne więc, że domek, który udostępniono Kazimierzowi Szczurowi, był jednym z tych, na który w poprzednich latach musieli narzekać wczasowicze, więc albo stał pusty, albo służył za domek rezerwowy. Gdy podkomisarz podszedł do niego blisko, zauważył, że jedna z szybek w oknie jest lekko pęknięta i dla wzmocnienia została obklejona taśmą. Promienisty kształt pęknięcia, przypominający pajęczynę, był niezaprzeczalnym potwierdzeniem, że miejsce to nie było idealne, a w okno musiała trafić zbłąkana piłka młodego koszykarza. Pewnie nie była to pierwsza piłka, więc właściciel domku przestał się przejmować uszkodzeniami szyby i zamiast ją od razu wymienić, posłużył się tańszym i mniej pracochłonnym rozwiązaniem. Lew przekręcił kluczyk, po czym weszli do środka. Pierwszym, na co zwrócili uwagę w środku, był nieprzyjemny zapach sfermentowanego jedzenia. Była to intensywna, słodkawo-kwaśna woń, która momentalnie przewiercała się przez ich nozdrza.

– Zostaw drzwi otwarte – poprosił Lew wchodzącą za nim Jowitę.

– Za nic bym ich nie zamknęła – odrzekła, zakrywając nos ręką. – Boże, co tu tak cuchnie?

– Sądzę, że to – powiedział Lew, wskazując rząd słoików na parapecie. Podeszli bliżej. W środku, w płynie, pływały różne warzywa.

– To jest zakwas buraczany – powiedziała Jowita, wskazując na dwa pierwsze, czerwone słoiki. – Ale co do reszty, to nie mam pojęcia, co w nich jest.

– Ja też nie, ale nie zamierzam tego sprawdzać – odparł Lew.

Wnętrze domku było równie niewielkie jak pozostałych domków na kempingu. Główna różnica polegała na jego umeblowaniu. Tam, gdzie w innych domkach stała druga wersalka, w tym były biurko i szafka na książki. Wszystkie rzeczy zostały ułożone we względnym porządku, choć nie pedantycznie. Na krześle wisiał sweter z wyciągniętymi rękawami, smętnie ocierającymi się o podłogę, a spod łóżka wystawały pantofle z przetartymi noskami. Jowita podeszła do półki z książkami. Nie było ich wiele, ale wyglądały na czytane wielokrotnie. Zdania w ich stronach były podkreślone lub zakreślone kolorami. Gdzieniegdzie, na marginesie, widniała jakaś odręczna uwaga.

– Coś ciekawego? – zapytał Lew.

– Same poradniki o samodoskonaleniu się i odnoszeniu sukcesu. Widziałam też biznesplan.

– Biznesplan? Mogę zobaczyć?

Jowita podała mu zbindowany dokument zawierający nie więcej niż dziesięć stron. Podkomisarz go przekartkował. Na każdej stronie była grafika lub tabela. Biznesplan wyglądał bardzo estetycznie i profesjonalnie, brak wiedzy wychodził dopiero po głębszym zapoznaniu się z tekstem.

– I? – zapytała Jowita.

– Wszystko wygląda dobrze do momentu, gdy ktoś nie zacznie zwracać uwagi na szczegóły. Popatrz tutaj – powiedział, wskazując na liczby w tabeli. – On założył, że zarówno w miesiącach letnich, jak i zimowych sklep będzie odwiedzała dokładnie taka sama liczba kupujących, a przecież w takiej miejscowości to zupełnie nierealne. Wątpię, czy w ogóle opłaca się tu mieć sklep całoroczny, a nie tylko taki nastawiony na maksymalnie cztery do sześciu miesięcy w ciągu roku.

– Może ta liczba jest uśredniona – zastanowiła się Jowita. – W końcu to nie był jego pierwszy sklep.

– Takich bzdur jest więcej. Tu na przykład pisze o dofinansowaniu za innowacyjność, które chce otrzymać i za to kupić wyposażenie. Przecież w sklepie nie ma żadnej innowacyjności.

– Jak myślisz, co to oznacza? – zapytała.

– Myślę, że nawet jeżeli ten gość nie jest kompletnym czubkiem, to żyje w jakiejś krainie fantazji i może być nam ciężko cokolwiek z niego wyciągnąć.

– Musimy tu coś znaleźć, co powiąże go z tymi kobietami – powiedziała Jowita, kucając koło łóżka i przeszukując podłogę. Po chwili jej ręka na coś natrafiła. Była to sterta starych „Playboyów". – Przynajmniej wiemy, że pociągały go kobiety – powiedziała.

– Jakieś konkretnie? Widać typ? – zapytał Lew.

– W takiej gazecie są raczej same młode i ładne laski.

– Sprawdź strony, może jakieś były częściej otwierane – powiedział Lew, wracając do przeczesywania rzeczy wokół biurka.

– Popatrz – przerwała mu po chwili Jowita. – Widzisz to? – zapytała, pokazując mu kolejne zdjęcia z nagimi ciałami pozbawionymi głowy. – Wyciął je. Może to jakaś forma wyrażania nienawiści. Ciekawe, co z nimi później robił.

– Ja wiem – odparł Lew, podnosząc album. – Popatrz.

Jowita wstała z klęczek i podeszła do biurka. Lew otworzył album i przewracał kolejne kartki. Na pierwszych stronach było parę oryginalnych zdjęć. Na kolejnych za to były doklejone wycięte z gazetki kobiece głowy z podpisanymi imionami i nazwiskami oraz dwuzdaniowym opisem.

– O co tu chodzi?

– Widzisz to pierwsze zdjęcie, na którym wkleił prawdziwą fotografię dziecka między dwoje dorosłych? Po jednej stronie jest mężczyzna nazwiskiem Szczur, więc to pewnie jego ojciec albo ktoś, kto miał występować tu w roli ojca. Kobieta obok jest podpisana jako Janina Nosek. Potem nazwisko Nosek pojawia się przy doklejonych kobietach na kolejnych stronach, popatrz, tu jest nawet rozrysowane drzewo genealogiczne.

– On, za pomocą zdjęć playgirls, uzupełniał album rodzinny o kobiety ze strony jego matki? – dokończyła za niego Jowita, śledząc ołówkowy wykres w albumie. – To jest więcej niż symboliczne. A te opisy? Jesteś w stanie je odczytać?

Opisy zdjęć były sporządzone odręcznym, niechlujnym charakterem pisma.

– Tu jest chyba – zaczął Lew – „Pomiatała mną jak szmatą. Zmuszała do jedzenia grysiku, nawet gdy go zwymiotowałem". A tu jest o polewaniu lodowatą wodą twarzy. Stąd pewnie ta fiksacja na punkcie topienia.

– Okropne, ale jeżeli to nie jest motyw, to nie wiem, co nim jest.

– Przemoc w rodzinie po żeńskiej stronie i morderca kobiet gotowy – powiedział Lew.

– Widziałam taki odcinek w *Agentach kryminalnych z Teksasu*. Oglądałeś kiedyś ten serial? – zapytała. – Była dokładnie taka historia. Facet był gnębiony przez matkę w dzieciństwie, ale nie potrafił się jej przeciwstawić, więc mścił się już jako dorosły facet na przypadkowych kobietach, oblewając je łatwopalną substancją i podpalając.

– Nie oglądam seriali kryminalnych z zasady – powiedział Lew. – I szczerze mówiąc, nie znam nikogo z naszej branży, kto to robi.

– To już znasz – powiedziała. – Kiedy patrzę na ten album rodzinny z doklejonymi zdjęciami i myślę o tym, że ten facet wychowywał się w domu dziecka, to ściska mi się serce. Wiem, że całkiem prawdopodobnie to on jest mordercą i powinnam czuć wobec niego obrzydzenie… ale jest w tym coś strasznie smutnego.

– Nie znam wesołej historii żadnego mordercy – odpowiedział jej Lew.

– Masz rację – odparła, rozglądając się po pokoju. – Nie ma tu niczego więcej.

– Zobacz łazienkę – odparł Lew, robiąc zdjęcia albumowi i wyciętym stronom z gazetki.

Jowita otworzyła drzwi do maluteńkiej łazienki, w której trudno było postawić nawet stopę. Były tam toaleta, umywalka i prysznic na zaledwie dwóch metrach kwadratowych. Dodatkowo ktoś wstawił tam plastikową szafkę, w środku której były trzy duże pudła wypełnione po brzegi lekarstwami. Pod prysznicem natomiast ustawione były w wieżę setki rolek brązowego papieru toaletowego.

– Masz coś? – zapytał Lew.

– Lekarstwa i papier toaletowy. Poza tym ten gość chyba się nie myje, bo zastawił sobie cały prysznic – odparła Jowita.

– Na kempingu jest publiczna łazienka, z której każdy może skorzystać. Może tam brał prysznic, choć właściwie w to wątpię – odparł Lew.

– Jest jeszcze zdjęcie przyklejone do lustra – powiedziała po chwili Jowita. Lew podszedł do drzwi łazienki, by je zobaczyć. Było to kolorowe zdjęcie ślubne przedstawiające kobietę w średnim wieku i mężczyznę, do którego doklejono wyciętą głowę z innego, czarno-białego zdjęcia. Na dole fotografii był odręczny napis „Jestem człowiekiem sukcesu. Osiągam wszystko, co sobie zaplanuję”.

– To brzmi jak jedna z afirmacji z poradnika motywacyjnego – powiedziała policjantka, biorąc zdjęcie do ręki i podając je podkomisarzowi. – Kto to może być? Jego rodzice? Chociaż ta doklejona głowa wygląda jak jego zdjęcie z dowodu. Jak myślisz? Może je skserował i wyciął.

– Czy ta kobieta nie wydaje ci się znajoma? Jest tu trochę tęższa, ale popatrz na te brwi i nos – zapytał podkomisarz, przysuwając zdjęcie do swojej twarzy, by mu się lepiej przyjrzeć.

– To pani Irena! – powiedziała Jowita po chwili. – Czyli on wkleił siebie na miejscu pana Sławka. Myślisz, że się w niej potajemnie kochał?

– Raczej nie, skoro ona dalej żyje – odparł Lew. – Ale myślę, że to wiele mówi o tym, co rozumie pod słowem „sukces" i jak widział siebie.

– Samotnego sześćdziesięciodwulatka, który nigdy nie założył rodziny… – dopowiedziała Jowita. – Byłam przez dwa lata wolontariuszką w domu dziecka w Słupsku. Zaskoczyło mnie to, jak wielu spośród wychowanków decydowało się w bardzo młodym wieku na założenie rodziny. I nie chodziło o seks i wpadkę. Oni naprawdę się żenili i wychodzili za mąż, szukali sobie choćby małych mieszkanek i zaczynali wić swoje gniazda. Myślę, że próbowali zaznać tego, czego sami nie mieli w dzieciństwie. Chcieli sami sobie to dać, poczuć domowe ciepło.

– A jemu się nie udało – powiedział Lew.

– Właśnie. Kolejna smutna cegiełka do tej historii – odparła Jowita, odkładając zdjęcie.

– Chyba wiem, z kim będę chciał teraz porozmawiać – odrzekł podkomisarz. – I weź jeszcze to zdjęcie. Chcę je pokazać pani Irenie i upewnić się, że to ona.

Lew zamknął za nimi drzwi. Tak jak w jego poprzednim domku, również w tym zamek był nieco uparty i trzeba było mocnym pociągnięciem przytrzymać drzwi, by zaskoczył.

– Chyba możemy na sto procent wykluczyć ten domek jako miejsce zbrodni – powiedziała zrezygnowana Jowita.

– Nawet na to nie liczyłem – odparł Lew. – Morderca musi mieć jakieś inne miejsce, z dala od innych domów, wyizolowane. Jeżeli to Kazimierz Szczur, musimy się dowiedzieć, gdzie je miał. Inaczej możemy mieć problem z powiązaniem go ze wszystkimi tymi zbrodniami.

– Mnie wystarczy, żeby beknął chociaż za jedną z nich – odparła Jowita. Deszcz przestał padać, a pierwsze dzieci wyszły na zewnątrz, by rozchlapywać wesoło wodę z kałuż.

Pani Irena ścierała wodę mopem z werandy, gdy do niej podeszli.

– Oddajemy klucz – powiedział Lew. – Dom wygląda w środku jak wcześniej.

– To dobrze – odpowiedziała. – Miałam wyrzuty sumienia, czy dobrze zrobiłam, że was wpuściłam. Wiem, jakie to uczucie, gdy ktoś grzebie ci w prywatnych rzeczach – powiedziała, patrząc na Jowitę, która zaledwie parę dni wcześniej przeszukiwała ich mieszkanie. Jowita zmieszała się, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Lew jej nie dopuścił do głosu.

– Mamy do pani pytanie. Czy poznaje pani to zdjęcie? – zapytał, podając jej fotografię z łazienki. Właścicielka wzięła je do ręki i otworzyła ze zdumienia usta.

– Ależ to moje zdjęcie ślubne. Co się stało z twarzą Sławka? Przecież to… Kazik.

– Też nam się tak wydaje, ale chcieliśmy, żeby pani to jednak potwierdziła – odparł Lew. – Zdaje się, że pan Sławek jest dla niego prawdziwym wzorem człowieka sukcesu.

– Sławek? – zdziwiła się. – Przecież my tak skromnie żyjemy. Do tego mamy tylko siebie.

– Albo „aż siebie", pani Irenko – powiedziała Jowita serdecznie, ale właścicielka nie odpłaciła jej spojrzeniem, ignorując ją.

– Dziękujemy. Jedziemy dalej. Będziemy z panią w kontakcie.

– Panie Robercie – zatrzymała go, zanim wsiedli do samochodu. – Jak się miewa pana syn?

– Lepiej – odparł Lew, zamykając za sobą drzwi. Jechali wzdłuż wydmy wolno. Lew był wyraźnie pogrążony w myślach. Coś wydawało się go trapić.

– O co chodzi? – zapytała po chwili Jowita, gdy Lew się w dalszym ciągu nie odzywał.

– O nic… to znaczy, wiesz, to zdjęcie. Gdy rozmawialiśmy z panem Sławkiem, czy choć raz przeszło ci przez myśl: „Eh, ale ten facet ma super życie?". To niesamowite, że nie ma naprawdę czegoś takiego jak ogólnie przyjęty sukces. Znaczy niby jest, ale tak naprawdę każdy z nas zazdrości komuś czegoś innego.

– Ja go rozumiem. Znam panią Irenę i pana Sławka. To nietypowe małżeństwo. Ona zawsze zdaje się dominować, ale ja wiele bym dała, by ktoś z takim ciągłym zainteresowaniem na mnie patrzył, jak oni patrzą na siebie. Po tych wszystkich latach ciągle są dla siebie najważniejsi.

– Właśnie… ty to rozumiesz, a ja zupełnie nie. Za nic na świecie bym się nie zamienił z panem Sławkiem na takie oczy wpatrzone we mnie jak oczy pani Ireny, z tym jej ciągłym narzekaniem i wszystkim… ale dla mnie sukces to też nie kasa czy kariera.

– A co? – zapytała Jowita.

– Ja… ja chciałbym nie czuć się teraz winny z powodu tego, że zapomniałem pojechać do syna do szpitala. Ona tam jest od wczoraj, a mnie nawet nie przeszło od rana przez myśl, żeby go odwiedzić… a przecież to jeszcze dziecko.

– To na co czekasz? – zapytała. W tym samym momencie zadzwonił jej telefon. Odebrała.

– Słuchaj, zrobimy tak – powiedziała, gdy skończyła rozmowę. – Wiem, że chcesz jechać też do tej opiekunki z domu dziecka, więc potrzebujesz wozu. Ja poprosiłam o to, by Kuna po mnie podjechał. Muszę wpaść do tej Burzyńskiej, bo ona podobno skargę na mnie złożyła. Przyjedzie po mnie Stefan i razem z nią się jakoś ugadamy, a ty jedź najpierw do Mikołaja, a potem do opiekunki. Spotkamy się na komendzie, dobrze?

– Jasne – powiedział Lew. – Zostawię cię w miasteczku, dobrze?

– Zostaw mnie pod budką z najlepszymi lodami w tej okolicy.

– Niestety najlepsze są w zamkniętym dzisiaj sklepiku pana Szczura – odparł Lew.

– Założę się, że pani Irena również tam ma klucze zapasowe – zaśmiała się Jowita.

# Rozdział 41

Za pierwszym razem gwizdek z czajnika zawiadamiający o zagotowaniu się wody zlał się z dźwiękiem dzwonka do drzwi Bożeny Świdnickiej. Dopiero kolejny dzwonek poderwał jej męża do drzwi. Tym razem Lew nie uprzedzał o swoim przyjeździe, więc mężczyzna potrzebował chwili, by przypomnieć sobie twarz podkomisarza. Pani Bożena natomiast poznała go od razu. Stała na drugim końcu korytarza i patrzyła na niego jak na listonosza z meldunkiem z frontu w czasie wojny.

– Przyszedł pan znowu – powiedziała na powitanie.

– Znowu mam do pani prośbę – odpowiedział Lew, wchodząc do środka i od razu kierując się do ich salonu.

– Tak myślałam. Poprosiłam Władka, by wyciągnął z piwnicy wszystkie albumy ze zdjęciami z sierocińca. Zrobiłam też listę – oznajmiła, powoli siadając koło niego.

– Listę?

– Tak, listę innych wychowanków, którzy sprawiali kłopoty i na pewno teraz są w coś zamieszani. To wam powinno znacznie ułatwić pracę.

– Przyszedłem w sprawie konkretnej osoby, byłego podopiecznego – zaczął Lew, po czym sięgnął po telefon, by pokazać jej zdjęcie.

Kobieta wzięła go do ręki. Jej słabe oczy nie potrafiły jednak rozpoznać w tej twarzy żadnych znajomych rysów.

– Kto to jest? To nie jest Sławuś? – powiedziała.

– Nie, to Kazimierz Szczur. Pojawił się w ośrodku dwa lata przed panem Piotrowskim. Przypomina go pani sobie? – zapytał Lew, patrząc na pomarszczoną twarz kobiety, która z wyraźnym wysiłkiem próbowała zobaczyć coś znajomego w twarzy z telefonu.

– Szczur… było takie nazwisko, ale twarzy nie pamiętam. To dziwne, bo myślałam, że pamiętam bardzo dobrze wszystkich wychowanków, to przecież jakby moje dzieci były. Ale zaraz, mam tu te albumy… mówi pan, że pojawił się w ośrodku dwa lata przed Sławkiem… więc to powinien być ten rok – powiedziała, sięgając po jeden z albumów oprawionych w lniany materiał. Kobieta wzięła ze stolika lupę i zaczęła go pieczołowicie przeglądać. Po chwili wskazała palcem na jednego z chłopców. Lew pochylił się nad nim. Na zdjęciu, obok innych dzieci, z boku, stał niski chłopiec w grubych okularach w czarnej, brzydkiej oprawce. Był w koszulce z długim rękawkiem i krótkich spodenkach. Jego chude i krzywe nogi wydawały się nieproporcjonalnie długie w stosunku do reszty ciała.

– Już pamiętam – powiedziała cicho i ze smutkiem.

– Proszę mi o nim opowiedzieć. Jaki był? Jak do was trafił?

Kobieta chwilę milczała, po czym podniosła wzrok na swojego męża, który dosiadł się do nich.

– Pan przyszedł porozmawiać o Męczybule – powiedziała. Jej mąż zrobił zaskoczoną minę.

– Rozumiem, że jego nie ma na pani liście kłopotliwych wychowanków – zapytał podkomisarz.

– Nie ma – odparła kobieta, ale w jej głosie była nuta goryczy.

– Zapomniałaś o nim, co? – powiedział, kiwając głową mąż. – Tak jak on to przewidział.

– Co przewidział? – wtrącił Lew.

– Moja małżonka nigdy go nie lubiła, a ona lubiła wszystkie dzieci! Nawet nie wiem, jak on miał na imię. My go nazywaliśmy Męczybuła.

– Dlaczego?

– Bo on taki był.

– Niemogący się pogodzić z odmową? – zgadywał podkomisarz.

– Nie, wręcz przeciwnie – powiedziała pani Bożena. – Kazek to było takie dziwne, antypatyczne dziecko, choć nie mogę powiedzieć właściwie na niego złego słowa. Zawsze ścielił swoje łóżko, wstawał dokładnie o tej porze, o której miał wstać. Nigdy nie musiałam na niego krzyczeć ani go poganiać. Zawsze miał odrobione lekcje. Nie uczył się dobrze, ale przynajmniej nie miał zaległości.

Zdawał na trójki, i to mu wystarczyło, zresztą nikt w nim nie widział specjalnego potencjału w żadnej dziedzinie.

– Dlaczego powiedziała pani, że był antypatyczny? Coś mówił takiego?

– Też nie, zawsze zwracał się do wszystkich raczej uprzejmie, ale to był od zawsze taki mały-dorosły. Sporo narzekał. Ciągle mówił, że jest słaby i że go coś boli. Nie znosił mokrych ubrań. Gdy tylko się pobrudził, to od razu chciał się przebierać, nawet jak byliśmy na jakiejś wycieczce i nie było to możliwe. Wtedy zaczynał płakać i płakał tak godzinami. Nic do niego nie docierało. Dlatego nazywałam go Męczybułą. Z drugiej strony zazwyczaj prawie był niewidoczny w grupie. Odzywał się mało. Nigdy nie przychodził się przytulić. Nie chciał dokładek ani niczego innego. Za to gdy ktoś inny coś przeskrobał, nawet jakąś drobną rzecz, to często donosił. Co więcej, domagał się zawsze wymierzenia kary i tu też nigdy nie odpuszczał. Chyba dlatego go nie lubiłam. Za to donosicielstwo.

– Czyli powiedziałaby pani, że miał poczucie moralności i sprawiedliwości? – zapytał Lew.

– Nie, to nie to. On raczej zawsze liczył, że tym coś ugra. Myślę, że w ten sposób próbował się wkupić w nasze łaski. Ale tylko pogarszał sytuację. Nie pamiętam, by zdobył czyjekolwiek serce. Nikt go też nie adoptował. Mieszkał u nas do piętnastego roku życia. Potem przeniesiono go do drugiego ośrodka, bo u nas już było zbyt wiele dzieci.

– A co pani pamięta o jego rodzinie?

– Pochodził z biednej, robotniczej rodziny. Jego ojciec, zdaje się, umarł na serce, gdy chłopak miał parę miesięcy. Mama zginęła parę lat później pod kołami samochodu. Jakiś czas Kazkiem zajmował się jego jedyny żyjący krewny – dziadek, ale nie dawał sobie rady, więc młody trafił do nas.

– Jedyny żyjący krewny? – zdziwił się Lew. – Znaleźliśmy w jego domu album ze zdjęciami. Co prawda, zdjęcia nie były prawdziwe, ale miałem wrażenie, że symbolizują prawdziwe, ważne osoby z jego rodziny. Opisywał w nich swoją ciotkę, która zmuszała go do jedzenia grysiku. Pisał też o oblewaniu zimną wodą twarzy czy zamykaniu w szafce na buty. Czy pamięta pani takie historie?

– Te historie pamiętam bardzo dobrze, ale one nie były jego – odpowiedziała kobieta.

– Co ma pani na myśli? – zapytał.

– Jednego z chłopców od nas babcia zamykała na klucz za karę w szafce na buty. Wiedzieliśmy o tym, bo on kiedyś zrobił to samo innemu chłopcu, z którym się pokłócił. Zamknął go w starym kufrze na poddaszu. Była z tego duża afera, bo nie mogliśmy go znaleźć.

– A co z tą wodą?

– Była u nas dziewczynka, Agnieszka, którą matka za karę wsadzała do wanny i oblewała zimną wodą. Jak mała zaczynała płakać, to kładła ją na dnie, przytrzymywała ręką i lała wodę prosto do gardła. Dziewczynka trafiła do nas prosto ze szpitala po tym, jak ją matka prawie utopiła. Agnieszka miała duże problemy. Przez pierwszy rok ciągle opowiadała swoją historię i straszyła nią inne dzieci.

– Czy Kazimierz miał skłonności do fantazjowania? – zapytał Lew po chwili zastanowienia.

– Można tak powiedzieć, choć to nie wynikało z jego naturalnie bujnej wyobraźni. Zmyślał historie, które miały usprawiedliwiać to, jak coś mu się nie udało. Kiedyś startował w konkursie recytatorskim w szkole. Wygrała dziewczynka z naszego ośrodka. Kazek, zamiast jej pogratulować, zaczął opowiadać, że ona wygrała, bo ukradła mu wiersz, który miał wcześniej przygotowany. Występowała tuż przed nim, więc jakby powiedział ten sam wiersz, to jury byłoby znudzone, naprędce więc powiedział inny, ale według niego gorszy. Po dwóch dniach ta historia obrosła w wiele dodatkowych wątków. Pod koniec tygodnia twierdził, że on sam uczył tę dziewczynkę właściwego deklamowania, że ukradła mu wszystkie jego sztuczki, przez co on nie mógł zrobić dobrego wrażenia.

– Rozumiem – powiedział Lew. – Czy poza tym on się czymś wyróżniał?

– Wyróżniał się tym… że się właśnie nie wyróżniał, a to jest naprawdę nietypowe wśród dzieci, które do nas trafiały. On nigdy o nic nie prosił. Nie wychylał się. Zawsze był w cieniu i widzi pan, że robił to tak skutecznie, że na początku nie mogłam go sobie nawet przypomnieć… ja, która wycierała te jego łzy przez ponad dziesięć lat. Chyba nawet o nim raz nie pomyślałam, odkąd od nas odszedł.

– A odszedł z przytupem – wtrącił się mąż. – Był zrozpaczony tym, że musi zmienić placówkę. Bożenka wracała każdego popołudnia wymęczona, bo on od

momentu ogłoszenia decyzji do dnia przeniesienia wymyślał kolejne powody, żeby zostać.

– Panicznie bał się tej zmiany – powiedziała smutno Świdnicka. – W końcu nadszedł ten dzień, że musiał odejść. Wszystkim dzieciom, które się przenosiły, dawaliśmy skromny upominek, ale on go nie chciał. Później znalazłam na łóżku, które zajmował, wszystkie prezenty z poprzednich lat, które od nas dostawał na zakończenie roku szkolnego. Zostawił je, a odchodząc, pamiętam jak dzisiaj, stanął przy drzwiach i powiedział: „Wszyscy o mnie zapomnicie, ale ja o was nigdy". Przeszły mi wtedy ciarki po plecach i się popłakałam.

– Płakałaś potem przez parę dni – powiedział jej mąż, kładąc swoją dłoń na jej ręce.

– Dlaczego pani płakała? – zapytał Lew.

– Bo nie potrafiłam go pokochać nawet wtedy, gdy odchodził, i w głębi serca się cieszyłam, że opuszcza naszą placówkę, i będzie zmartwieniem kogoś innego. Z wieloma dziećmi z ośrodka zawarłam prawdziwą więź, i to na całe życie. Wiele z nich do dzisiaj przychodzi do nas w odwiedziny, ale do niego nigdy nie miałam serca. Nigdy nie stał się niczym więcej, niż tylko nazwiskiem na teczce spraw, podopiecznym, którego miałam obowiązek nakarmić i ubrać. Teraz widzę, że to było moją największą osobistą porażką.

– Nie zadręczaj się, kochanie – powiedział jej mąż, klepiąc ją pieszczotliwie po ręce. – Może to, że stał się zły, to nie twoja wina, tylko tych kolejnych opiekunów.

– Jak możesz sugerować, że ja jestem winna!

– Ja tylko chciałem… – zaczął mąż, ale kobieta nie chciała go słuchać i wstała z fotela, po czym z płaczem wyszła z pokoju.

– Ach, Bożenka… z nią tak zawsze. Jak tylko ktoś stara się ją pocieszyć, to potem jeszcze za to obrywa – powiedział mąż, gdy kobieta zniknęła w korytarzu. – Obawiam się, że dzisiaj już jej pan więcej nie zobaczy.

Lew popatrzył za kobietą w głąb mieszkania, po czym pogładził się po brodzie.

– Czy sądzi pan, że pańska żona, pani Bożena, byłaby skłonna nam pomóc? – zapytał.

– Pomóc? Przecież już pomaga, opowiadając to wszystko. Czy nie widzi pan, jakie to dla niej trudne? Dla tej kobiety jedynym powodem do dumy przez całe życie była ta praca. Nie ja, nie nasze dzieci, ale tamte. My byliśmy tylko

dodatkiem. Ona się spełniała tam. A teraz, po tych wszystkich latach, okazuje się, że to, co uważała za wielki sukces, to jest tak naprawdę kolos na glinianych nogach i nie do końca jej się to udało.

– To nie tak… – próbował powstrzymać go podkomisarz, ale starzec chciał za wszelką cenę skończyć swoją myśl. Długo skrywany żal musiał znaleźć swoje ujście.

– Wie pan, mnie nie było wiele do życia potrzeba. Miałem swój mały warsztat samochodowy, byłem swoim własnym szefem, miałem stałych klientów. Gdy Bożenka wyszła za mnie za mąż, byłem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Byliśmy tacy młodzi… ona skończyła dopiero co osiemnaście lat. A potem poszła do tej cholernej pracy. Koleżanka ją namówiła. I nagle jakbym stracił żonę. Całymi dniami, a często i nocami, zaczęła tam przesiadywać. Po dwóch latach mieliśmy pierwszy kryzys. Powiedziałem: albo założymy własną rodzinę, albo się rozejdźmy. Zaszła wtedy w ciążę. Miałem nadzieję, że gdy w domu pojawi się dziecko, nasze własne, to ona zostawi ten pieprzony sierociniec, ale tak się nie stało. Nie zmienił tego ani pierwszy syn, ani trzecia córka. Dla niej liczyło się tylko to, że mogła w towarzystwie opowiadać o tych wszystkich biednych sierotach. I teraz co wychodzi po latach! Że to był tylko żart! Że tego Kazka to nawet nie potrafiła polubić, i co z niego wyrosło?

– Proszę mi wierzyć, to nie jest wina pańskiej żony – wtrącił się w końcu Lew. – Jeżeli on nam nie zaufa, może się okazać, że tu do państwa wrócę z prośbą.

– Jaką?

– By pani Bożena, którą zna dobrze i ufał jej jako dziecko, z nim porozmawiała. My jesteśmy dla niego obcy, a ją na pewno będzie pamiętał.

– Tak, on na pewno ją pamięta. Sam zresztą tak powiedział: „Wszyscy o mnie zapomnicie, ale ja o was nigdy". To chyba najbardziej przerażające zdanie, jakie w życiu słyszałem.

# Rozdział 42

– Burzyńska osobiście przyjechała na komendę? – zapytała Jowita siedzącego obok niej sierżanta.

– Nie, ponoć wysłała list zaadresowany do komendanta.

Jowita jechała z Kuną do domu staruszki. Po drodze kupili kebaby, ale zamiast jeść w barze, odjechali kawałek dalej i zatrzymali się na wzniesieniu, z którego rozpościerał się piękny widok na sosnowy las, jezioro i morze. Dopiero tam zjedli swój lunch.

– Widziałeś go? – zapytała Jowita.

– Co? List?

– Tak.

– Nie, ale nie sądzę, żeby tam było coś, co mogło ci w jakikolwiek sposób zagrozić. Komendant bardzo cię lubi i ceni, a Burzyńska to tylko stara wariatka – powiedział Kuna z pełnymi ustami.

– I to mnie najbardziej w niej wkurwia. Samotna stara kobieta. Siedzi całymi dniami i się nudzi. Mogłaby swój czas na ziemi wykorzystać na tysiąc innych sposobów, zrobić coś pożytecznego, ale nie. Ona woli zawracać nam dupę. Ja naprawdę rozumiem to, że ona może się bać, że jest jej źle, ale od tego jest rodzina – odparła Jowita.

Do tej pory nigdy nikt się na nią nie skarżył. Wręcz przeciwnie. Zawsze była chwalona za swoją pomoc i postawę. Do Burzyńskiej jeździła w tym roku przynajmniej pięć razy. Mimo to ta napisała skargę do komendanta, że nie zareagowała na jej dwa zgłoszenia, które z urzędu, przez dyspozytorkę, powinny były być od razu odrzucone i tyle.

– Może ona nie ma rodziny – wymamrotał Kuna.

– Ma, i to całkiem sporą. Z córką jej siostry chodziłam nawet do szkoły. Opowiadała mi wtedy trochę o niej. Podobno była z niej zawsze straszna zołza.

Potem się niby trochę zmieniła, zmiękła, ale wtedy już rodzina się na nią wypięła.

– Moim zdaniem każdy powinien dostać drugą szansę – powiedział sierżant.

– Stefan, kurwa, co ty takie morały dzisiaj prawisz, co? Kończ już jedzenie i jedziemy. Chcę mieć to już z głowy – powiedziała Jowita, po czym nie czekając na niego, wsiadła do samochodu. Kuna szybko wpakował całą resztę kebaba do ust i podreptał za nią. W powietrzu czuć było zapach świeżości, trawy i morza. Jechali wzdłuż pól ze zbożem, które rytmicznie falowało w takt porywów wiatru. Po chwili na końcu drogi zobaczyli samotny dom Burzyńskiej. Kobieta stała przy furtce, jakby ich oczekiwała. Już z daleka widać było, że jest zmęczona. Rękami przytrzymywała się ogrodzenia. Jej całkiem zmarszczona od podmuchów wiatru twarz przypominała dużą rodzynkę, w którą ktoś dla kawału wcisnął dwa małe, czarne ziarenka, które miały udawać oczy. Zatrzymali samochód i wysiedli.

– Ale się pani natrudziła z tym listem – powiedziała Jowita, podchodząc do bramki. – Musiała pani chyba iść piechotą do Wicierzy, żeby go nadać. Nie szkoda było pani nóg?

– Wiedziałam, że inaczej tu was nie ściągnę – powiedziała, nie podnosząc na nich oczu. – Już tego dłużej nie wytrzymam.

– Mam coś dla pani – powiedziała Jowita, wyciągając z samochodu reklamówkę. – To spray na gryzonie i kuny. Trzeba popryskać przed domem i na poddaszu i będzie pani miała spokój.

Kobieta popatrzyła na policjantkę. Oczy miała przekrwione od zmęczenia.

– Nawet nie mogę spać – powiedziała.

– Wiem, jak to jest – wtrącił Kuna. – Kiedyś pojechałem na wakacje do mojej ciotki w góry. Okazało się, że w nocy przychodziły popielice. To takie szare wiewiórki. W ogóle się nie boją człowieka. Strasznie hałasują. Jedna z nich po prostu weszła do pokoju, w którym spałem, i patrzyła na mnie, wisząc do góry nogami. Następny dzień spędziłem na zaklejaniu wszystkich dziur, ale nic to nie dało. Kolejnej nocy było tylko gorzej. Po trzech dniach udręki wróciłem do domu.

Burzyńska patrzyła na niego, próbując zrozumieć, co powiedział. Jej bezzębne usta poruszały się lekko, jakby przegryzała usłyszane przed chwilą słowa. Jowita wyciągnęła spray, weszła przez bramkę do ogrodu i zaczęła dokładnie opryskiwać ściany zewnętrzne.

– Pójdę jeszcze na ten pani strych i tam też popryskam – powiedziała Jowita, ocierając pot z czoła. Burzyńska wzruszyła ramionami.

– To nic nie da – odparła. – Musicie się zaczaić i go złapać na gorącym uczynku.

– Pani Burzyńska, nie możemy spędzić całego dnia, a tym bardziej nie poświęcimy nocy na łapanie kuny ani żadnego innego futerkowca – powiedziała Jowita. W jej głosie słychać było zdenerwowanie. – Kupiłam pani za osobiste pieniądze spray odstraszający. To pomoże. Proszę się położyć i przespać. To pani dobrze zrobi. I bardzo panią proszę, niech pani więcej nie pisze do mojego szefa. Ja naprawdę nie jestem w stanie zmienić tego, jak obecnie wygląda pani życie, bez względu na to, jak często będę musiała tu przyjeżdżać. Tylko pani to może zrobić.

– Ja się nie zajmuję łapaniem kurew – powiedziała kobieta, podchodząc do Jowity. Zmierzyła ją wzrokiem, po czym splunęła na nią.

– Dosyć tego! – krzyknęła Jowita. – Jedziemy stąd. Niech pani sama spryska sobie poddasze. I niech pani nie waży się nawet więcej dzwonić, bo aresztuję panią za znieważenie funkcjonariusza na służbie – krzyknęła Jowita. Wróciła razem Kuną do samochodu. Wcisnęła mocno pedał gazu. Koła zapiszczały. Jechali szybko po wyboistej, dziurawej drodze.

– Zwolnij trochę, bo przez Burzyńską rozwalimy sobie jeszcze podwozie albo uderzymy w drzewo – powiedział Kuna, gdy Jowita niebezpiecznie ostro skręciła na rozstaju dróg obsadzonych wysokimi topolami. – Jak się tu rozwalimy, to nikt nas nawet nie usłyszy.

Jowita wcisnęła pedał hamulca i skręcając, zatrzymała z impetem samochód. Kuna, który nie zdążył zapiąć pasów, uderzył głową o szybę.

– Co jest, do cholery? – krzyknął.

– Dzwoń po Lwa i sprowadź technicznych. Zawracamy – powiedziała.

# Rozdział 43

– Miałam to miejsce cały czas pod nosem – powiedziała Jowita. Lew stał koło niej w drzwiach na poddasze.

– Kiedy będzie zespół techniczny? – zapytał.

– Za godzinę – odparła.

– Mam w samochodzie ochraniacze na buty i rękawiczki – powiedział, schodząc. Wrócił po minucie. Założyli ochraniacze i weszli. Panował półmrok. Do środka wpadała tylko jedna wąska stróżka światła z malutkiego okienka na dachu. W świetle tańczyły drobiny kurzu.

– Pewnie jest gdzieś włącznik światła. Burzyńska mówiła, że hałas był słyszalny w nocy – powiedział Lew, szukając włącznika. – Musi gdzieś tu być.

– Jest przedłużacz – powiedziała Jowita, idąc wzdłuż białego kabla wychodzącego przez ręcznie wydłubaną dziurę w podłodze aż do małej lampki w połowie pomieszczenia. Zapaliła ją. Lampka oświetliła jedną część strychu, odkrywając z mroku aluminiową konewkę i wiadro.

– Nawet jak Burzyńska go rozpozna, to jest mało wiarygodnym świadkiem – powiedziała Jowita, podchodząc do konewki. – Poza tym nie jestem pewna, czy będzie chciała z nami współpracować.

– Dlaczego? Przecież przyszliśmy tu, jak chciała – odparł, rozglądając się.

– Ale wcześniej na mnie napluła. Potrzebujemy dobrej próbki DNA.

– Tu chyba coś było – powiedział Lew, wskazując na jasną plamę na podłodze. – Ktoś coś tu ścierał papierem ściernym. Zakładam, że była to kropla krwi.

– Pytanie tylko, czy krew wniknęła na tyle głęboko, że uda się w labie coś z tego wyciągnąć.

– Wątpię. Poza tym oprócz DNA ofiar potrzebujemy jeszcze coś łączącego Szczura z tym miejscem. Na ciałach ofiar niczego nie znaleźliśmy. Musimy jakoś wykazać, że on i one byli…

Podkomisarz przerwał jej, wskazując na wiadro.

– Co jest w środku? – zapytała.

– To, co łączy mordercę z tym miejscem – powiedział, pokazując jej zawartość.

W środku były zużyte kondomy.

– Zdecydowanie nie jest królem zbrodni – powiedziała Jowita. Jeżeli to Szczur, to praktycznie podał nam siebie na talerzu. Myślisz, że jest taki głupi?

– Myślę, że on w ogóle nie brał pod uwagę tego, że go ktoś będzie ścigał. Dla niego te kobiety to pewnie tylko stopnie do osiągnięcia jakiegoś celu. Odtwarza tu swoją wyimaginowaną psychodramę. Kiedy był dzieckiem, to ubzdurał sobie, że jego problemy zostały spowodowane przez kobiety z jego rodziny. Przywłaszczył sobie cudze wspomnienia na własny użytek. Teraz je odtwarza, tyle że zamieniając rolę kata z rolą ofiary. Dzięki temu pewnie w jego mniemaniu odzyskuje poczucie kontroli. Te kobiety tak naprawdę nic dla niego nie znaczą. Nie zastanawia się nad nimi dłużej ani nad tym, jakie będą konsekwencje jego działania. Myśli tylko o sobie i swoim celu.

– Czyli zostało nam znalezienie DNA którejś z ofiar. Przydadzą się lampy ultrafioletowe. Założę się, że gdzieś tu są jeszcze jakieś krople krwi – powiedziała Jowita, klękając na podłodze i przyglądając jej się uważnie.

– Wystarczą włosy. Niestety, patrząc na podłogę, mam wrażenie, że ktoś tu zamiatał. Może nawet wymył podłogę – powiedział Lew.

– On ma jakąś fobię, ale zdecydowanie nie jest pedantem. Myślisz, że zaprzątałby sobie tym głowę po tym, jak zgwałcił i zabił kobietę? – zastanawiała się policjantka.

Jowita włączyła latarkę w swoim telefonie i zaczęła przeszukiwać gorzej oświetlony fragment poddasza.

– Może kurz mu przeszkadzał – odparł Lew.

– Zrealizował swój plan, musiał być na haju z adrenaliny i endorfiny. Nie wziąłby mopa do ręki. Musiał czuć się panem stworzenia, gdy stąd wychodził.

– Mimo wszystko starł papierem ściernym coś z podłogi. Jednak mu zależy – stwierdził Lew. – Chodźmy porozmawiać z Burzyńską. Może ona nas na coś naprowadzi.

– Wątpię – odparła Jowita, schodząc z poddasza za Lwem na pierwsze piętro, które było niezamieszkałe.

– Byłaś tu? – zapytał podkomisarz, wskazując pokój znajdujący się bezpośrednio pod miejscem, w którym stała konewka.

– Nie.

Lew otworzył stare, odrapane drzwi. W środku stało łóżko, biurko i szafa. Pokój od dawna nie był odmalowywany. Na suficie wisiały pajęczyny, a w oknie były spore szpary, które z pewnością nie zatrzymywały w zimie chłodu z zewnątrz. Lew podszedł do biurka i przejechał palcem po kurzu.

– Brudno tu, ale to raczej kurz z dwóch, może trzech miesięcy, a nie lat. Ktoś tu mieszkał. Może będziemy mieli drugiego świadka, który będzie bardziej wiarygodny niż Burzyńska.

– Myślisz, że ktoś jeszcze był świadkiem tych morderstw, ale zapomniał o tym powiadomić policję? – wątpiła Jowita.

– Wystarczy, że rozpozna na zdjęciu Katarzynę Bierat albo Kazimierza Szczura.

– A najlepiej ich razem – dopowiedziała.

– Myślisz, że się tu spotykali. Kiepska miejscówka – zastanawiał się podkomisarz.

– Skądś Burzyńska musiała o niej wiedzieć, skoro wzywała nas do kurwy na poddaszu. Musiała ją widzieć, a wątpię, by miała odwagę pójść na poddasze, gdy morderca ją zabijał. Może przychodzili tu wcześniej razem, może nawet się spotykali i przyjaźnili z kimś, kto tu mieszkał.

– Hm – mruknął Lew, patrząc na sufit. – Dziwne, że nie ma żadnej plamy. Facet musiał wylać sporo wody, torturując i topiąc te kobiety, zwłaszcza Sandrę Dunder. Może czegoś używał.

– Wanny? Nie było jej na górze – powiedziała Jowita. – Może zaczął po sobie sprzątać i nie jest takim skoncentrowanym na sobie półgłówkiem, za którego go bierzemy.

– Poszukajmy babci. Może się czegoś dowiemy – odpowiedział Lew.

Burzyńska siedziała przy stole w swojej kuchni, pijąc herbatę. Gdy funkcjonariusze weszli do jej mieszkania na parterze, nie spojrzała na nich. Jej wzrok błądził gdzieś daleko za kuchennym oknem.

– Pani Burzyńska, chciałem zadać pani parę pytań – zaczął Lew, siadając koło niej. – Jestem policjantem. Przyjechałem pani pomóc. Wezwała mnie moja koleżanka, którą już pani zna.

Burzyńska nie odezwała się ani nie poruszyła. Tkwiła nieruchomo, zastygła w swoich myślach.

– Napiłbym się herbaty – powiedział głośno Lew.

Kobieta drgnęła i spojrzała na niego po raz pierwszy.

– Lubi pan dziurawiec? Jest zdrowy na krew. Co roku zbieram go sama.

– Bardzo chętnie – odparł. – Jowita, też się napijesz?

Policjantka kiwnęła potakująco głową, mimo to stara kobieta wzięła z szafki tylko jedną filiżankę, wsypała do niej ziół i zalała gorącą wodą.

– Trzeba uważać tylko, żeby się potem nie opalać. Dziurawiec jest bardzo zdrowy, ale trzeba uważać i to wiedzieć – powiedziała, z powrotem siadając koło podkomisarza. Patrzyła na niego, sprawdzając, czy wypije.

– Dobry, gorzki, ale smaczny – powiedział.

Kobieta kiwnęła głową i sama wzięła łyk naparu.

– Pani Burzyńska, kto mieszkał w tym pokoju na piętrze?

– Tak naprawdę to nazywam się Kwiatkowska – powiedziała wymijająco. – Burzyński to nazwisko mojego męża, ale on żył tylko dwa lata po naszym ślubie. Więc tak naprawdę tylko dwa lata byłam Burzyńska, a Kwiatkowska byłam całe życie. To dziwne, że ludzie dalej do mnie tak mówią.

– Mogę tak do pani mówić, jeżeli pani woli – powiedział Lew. – Pani Kwiatkowska, proszę mi powiedzieć, kto mieszkał w pokoju na piętrze.

– Diabeł, prawdziwy diabeł – odparła cicho po chwili.

– Wynajmowała mu pani ten pokój?

– Tak, ale za mało mi płacił. Każdego miesiąca coraz mniej. Powiedziałam więc, że za takie psie pieniądze, które mi daje, to mogę mu tylko to poddasze wynająć, a pokój ma być za pełną kwotę, więc się wyniósł.

– Pojawiał się później znowu? – zapytała Jowita, ale kobieta ją zignorowała.

– To on potem przychodził na poddasze? – zapytał ponownie Lew.

– Tak – odparła kobieta, przedłużając dźwięk pierwszych liter.

– Ale z pokoju się wyprowadził? – zapytał Lew, wyciągając telefon z kieszeni. – Czy to ten mężczyzna?

Kobieta przyglądała się ekranowi telefonu dłuższą chwilę.

– Ten – odparła w końcu.

– A może ten? – zapytała Jowita, pokazując mu zdjęcie George'a Clooneya, które wyszukała w sieci. Ze Szczurem słynnego aktora łączyły tylko lekko szpakowate włosy.

– Ten sam – odparła staruszka.

Jowita spojrzała wymownie na Lwa. Burzyńska nie nadawała się na świadka, nawet jeżeli faktycznie coś wiedziała.

– Skąd pani wiedziała o tym, że przyprowadza kurwy na poddasze? – drążył Lew.

– Oni wszyscy to robią – odparła kobieta.

– Kto? – dopytywał podkomisarz.

– Mężczyźni – odpowiedziała kobieta. Jowita przewróciła oczami ze zniecierpliwienia.

– Pytamy o Katarzynę Bierat. Wiedziała pani, że to prostytutka. Skąd pani wiedziała, że tu była? – krzyknęła Jowita, tracąc cierpliwość.

– Znam Kaśkę od dawna. Mój mąż się też z nią prowadzał. Nie zdziwiłam się, jak się tu pokazała – wymamrotała kobieta. – Wbiegła tu do mnie do kuchni. Stała tak, jak pani stoi, i krzyczała. Ręce miała związane, ale sama się prosiła. Miała tak krótką sukienkę, że dupy nią nie dało się zakryć. Dawniej też tak chodziła ubrana, ale myślałam, że z wiekiem zmądrzała. Widocznie nie.

– Wołała o pomoc?

– Tak. Wołała, ale powinna była myśleć wcześniej – zaśmiała się kobieta. – Wyrzuciłam ją za drzwi. W moim domu nie ma miejsca dla dziwek. Powiedziałam jej, żeby więcej do mnie nie przychodziła.

– Skoro jej pani wtedy nie pomogła, to po co pani potem zgłaszała sprawę na policję? – krzyknęła Jowita.

– Bo mi krzyki przeszkadzały – odparła kobieta, pierwszy raz zwracając się do policjantki. – Nie lubię, jak ktoś krzyczy w moim domu. Jemu też mówiłam, żeby więcej nie przychodził, więc potem zakradał się, gdy już spałam. Dupek.

– Widziała pani, by mył podłogę? Sprzątał? – zapytał Lew. – Może wie pani, gdzie wyrzucał śmieci?

– On miałby tam sprzątać? Też coś. Z niego taka ofiara losu, że prawie zalałby dom. Woda zaczęła przeciekać między deskami. Musiałam wszystko wytrzeć sama.

– Pani starła wodę z poddasza? – dopytywał podkomisarz.

– Pewnie, że ja, a kto? Musiałam jeszcze się wykosztować, bo cuchnęło tam po tych jego ekscesach. Zużyłam cały płyn do toalet.

– Cholera – zaklęła Jowita. – To mamy po DNA.

– Zobaczymy, co powiedzą techniczni – odparł Lew, również bez większej nadziei w głosie.

Usiedli na progu domu i czekali na przyjazd zespołu.

– Przynajmniej wiemy, że nie używał innych naczyń, skoro woda przeciekała – powiedział Lew.

– A przecieków nie było, bo stara szybko wszystko sprzątała – dopowiedziała Jowita. – Jak się ma Mikołaj? Byłeś u niego?

– Tak, wpadłem na chwilę. Rozmawialiśmy – powiedział ze smutkiem w głosie Lew. – Powiedział mi, że cieszy się, że jest w szpitalu, bo gdyby nie incydent przy ognisku, to pewnie zapomniałbym go odebrać następnego dnia z kempingu. Autobus z dzieciakami z obozu by odjechał, a on zostałby i czekał na mnie tam sam, a tak to przynajmniej ma gdzie leżeć i co jeść.

– Wiesz, jak jest z tymi nastolatkami. Zawsze ze wszystkiego robią taką dramę – pocieszała go policjantka. – Wiesz o tym, co?

– Wiem, ale to nic nie zmienia. Staram się, ale wciąż popełniam te same błędy.

– Masz trudniej niż inni. Bycie samotnym rodzicem… czytałam o tym, co ci się przydarzyło, o twojej żonie i dzieciakach… Przykro mi.

Lew nic nie odpowiedział. Jedną z rzeczy, którą lubił w pracy tutaj, było to, że wydawało mu się, że nikt nie zna jego historii, że był po prostu dla nich jakimś policjantem z Warszawy, i to wszystko. Powinien był przewidzieć, że policjanci mają swoje przyzwyczajenia, a jednym z nich jest sprawdzanie tego, z kim pracują.

– Techniczni powinni być tu lada chwila – powiedział, przerywając krępującą go ciszę. – Przejdę się. Muszę rozprostować kości.

Podkomisarz wyszedł przed ogród, następnie szedł chwilę drogą. Po prawej stronie była łąka ze świeżo skoszoną trawą zgrabioną w kopce. Zszedł z drogi i szedł między kopcami z sianem po łące. Zapach siana był słodki i miły. Budził wiele wspomnień z dzieciństwa, skutecznie zagłuszając wspomnienia późniejsze. Podkomisarz odszedł na tyle daleko, że gdy się odwrócił, mógł zobaczyć nie tylko cały dom Burzyńskiej, lecz także jego otoczenie. Na lewo od wejścia, przy krótszej ścianie budynku, był rozłożony dywan. Podkomisarz widział go już wcześniej, wtedy jednak pomyślał, że staruszka wyjęła go do prania. Teraz jednak, widząc całość, zauważył, że trzepak na dywany jest po drugiej stronie budynku. Zawrócił.

– Pani Burzyńska! – krzyknął, gdy doszedł do progu domu. Kobieta nie odpowiedziała.

– Chyba poszła spać, bo widziałam, jak przeszła do sypialni. Dlaczego ją wołasz? – zapytała Jowita.

– Na podwórku jest dywan – odparł Lew.

– Tak, też go widziałem. Pewnie się suszy po tym, jak Szczur go zalał wodą. Myślisz, że znajdziemy na nim jakieś ślady?

– Nie o to chodzi – odpowiedział. – Chodź, sprawdzimy coś.

Obeszli budynek.

– Masz jeszcze rękawiczki? Ja swoje wyrzuciłem.

– Mam – odparła Jowita. – Co chcesz, żebym zrobiła?

– Zroluj ten dywan. Chcę zobaczyć, co jest pod spodem.

Jowita, nie pytając więcej, włożyła rękawiczki, kucnęła i z trudem zaczęła zwijać ciężki dywan, pod którym była betonowa wylewka.

– Co myślisz, że tam będzie? – wysapała, rolując dalej.

– To – odparł, gdy pod materiałem pojawił się fragment ciemnoczerwonej plamy.

Jowita, uważając, by na nią nie nadepnąć, odwinęła dywan do końca. Szeroka na ponad metr plama miała nierówne kontury, świadczące o tym, że przed zaschnięciem krew się rozbryzgała, a nie wylała powoli w to miejsce.

– Przecież kobiety zmarły od zadławienia wodą? On je topił, skąd ta krew?

– Zastanawiałem się nad obrażeniami ciała Katarzyny Bierat. Pamiętasz, że jej złamania były już pośmiertne, tak samo jak rana na głowie i udzie. Pozostałe

ofiary nie miały takich ran. Potem pomyślałem o tym, że ciała były transportowane na plażę i nad rzekę prawdopodobnie samochodem. Mimo wszystko morderca musiał samodzielnie przenieść jakoś je z wysokiego poddasza do samochodu. Kazimierz Szczur nie wygląda na osiłka. Zobaczyłem to okno na poddaszu, które jest dokładnie nad nami. Pewnie dawniej wsypywano przez nie zboże, by schło na poddaszu.

– Wypchnął ciało Bierat przez okno – powiedziała Jowita, zadzierając głowę do góry.

– Tak, ale pewnie nie spodobało mu się to, co się stało z jej ciałem, skoro mała plama na poddaszu tak go raziła, że postanowił ją zetrzeć papierem ściernym.

– Dlatego później wybierał znacznie mniejsze i lżejsze kobiety – kontynuowała Jowita. – By móc je samemu przenieść po schodach.

– Tak myślę.

– Jeżeli mamy rację, to ta plama krwi dostarczy nam potrzebnego dowodu, by go zamknąć do końca jego życia w więzieniu.

– Ciekaw tylko jestem, dlaczego nie próbował zetrzeć tej plamy z podwórka? – zastanawiał się Lew.

– Może jej nie widział? Była noc – odpowiedziała Jowita.

– Ale przecież tu wrócił.

– Ja was zaraz stąd przegonię – usłyszeli głos Burzyńskiej wchodzącej tylnym wejściem na podwórko. – Nie po to się tak natrudziłam z tym dywanem, byście mi psuli robotę! Odwijajcie go, i to zaraz!

# Rozdział 44

Siedzieli razem w samochodzie. Mikołaj, ze słuchawkami na uszach słuchał głośno muzyki i patrzył przez okno. Jego telefon zawibrował.

– Hej – powiedział Mikołaj, odbierając. – Jestem z tatą w aucie. Nie mogę rozmawiać… Tak, wracamy do Warszawy… chyba tak… zapytam. Zadzwonię, jak dojedziemy. Na razie.

Chłopak się rozłączył. Zwinął sobie bluzę pod głową i patrzył przez okno. Kąciki jego ust podniosły się po rozmowie lekko do góry. Przejeżdżali przez kolejne senne miasteczko.

– Znajoma z obozu? – zapytał Lew.

– Tak. Nie ma jak przyjaźnie na całe życie z obozu… – odparł Mikołaj, wzdychając. Jego uśmiech zniknął z twarzy.

– Powiedz szczerze, jeszcze trzy tygodnie temu, kiedy wyjeżdżaliśmy z Warszawy, nie przyszłoby ci na myśl, że będziesz miał takie fajne wakacje i tylu nowych znajomych. To naprawdę super. Bardzo się cieszę.

Lew spojrzał na syna, a ten jedynie wzruszył ramionami. Po chwili z jego telefonu słychać było charakterystyczny dźwięk przychodzącej wiadomości. Mikołaj przeczytał ją i odpisał. Nim zdążył odłożyć telefon, pojawiła się kolejna wiadomość. Uśmiechnął się ponownie.

– A widzisz – powiedział Lew, wskazując głową jego telefon. – Skąd wiesz, może to będą przyjaźnie na całe życie?

– Wiesz, tato, że oni wszyscy są z innego miasta – burknął Mikołaj, ponownie opierając głowę o szybę. – A w Warszawie będzie jak zawsze.

– Myślałem, że lubisz swoje życie w Warszawie – powiedział zaskoczony Lew.

Jego syn nic nie odpowiedział.

– Mów do mnie. Co jest nie tak z naszym życiem w stolicy? – zapytał.

– A co jest tak? – odpowiedział pytaniem Mikołaj.

– No nie wiem, chodzisz tam do szkoły, o ile wiem, to masz kolegów… – wymieniał podkomisarz.

– O ile wiesz… A kiedy ostatni raz jakiegoś widziałeś u nas w domu?

– No nie wiem… – zastanawiał się Lew. Próbował sobie przypomnieć ostatni raz, kiedy widział, by Mikołaj kogoś przyprowadzał, ale żadne wspomnienie nie przychodziło mu na myśl. – Ale grasz w te gry komputerowe z kolegami. Myślałem, że nie narzekasz.

– Bo nie narzekam – powiedział.

– No to teraz, jak odkryłeś po tym obozie różnice w obcowaniu z kimś w świecie rzeczywistym od bycia z kimś online, to zaproś kogoś po prostu do nas albo umów się z kimś gdzieś i coś razem poróbcie.

– Ale kogo mam zaprosić?

– No tych, z którymi grasz – odparł Lew.

– Ale tato, to są randomowe osoby.

– Co to znaczy „randomowe”?

– To znaczy, że wchodzę na grę i gram z jakimiś innymi ludźmi, którzy akurat też w nią grają – odpowiedział Mikołaj.

– To ty ich nie znasz? – zdziwił się podkomisarz.

– Tak naprawdę to nie. Znaczy czasami z kimś gram przez parę dni, ale wiesz, my rozmawiamy tylko o grze. Czasami te osoby nie są nawet z Polski.

– A koledzy ze szkoły? – zapytał Lew

– Jacy koledzy?

– No nie wiem, z kimś przecież chodzisz do klasy. O ile się nie mylę, jest was w klasie ponad trzydziestka, więc chyba jest choć jedna osoba, z którą chciałbyś spędzać czas?

– Nie ma… to znaczy był Kamil, ale wyprowadził się z Wawy pół roku temu. Mówiłem ci – powiedział smutno.

Lew otworzył usta, by wymienić kolejne imiona dzieciaków z klasy, które przyszły mu do głowy, ale zamknął je z powrotem. Skoro Mikołaj nie chciał spędzać z nimi czasu, to widocznie był jakiś powód. O tym, że jego przyjaciel Kamil się wyprowadził, Lew zupełnie zapomniał. Może nawet nigdy tej informacji nie przyjął w pełni do wiadomości, choć teraz, jadąc z Wicierzy, faktycznie

przypomniał sobie dzień, w którym Mikołaj trzasnął mocno drzwiami, a upomniany, wykrzyczał, że teraz, jak wyjechał Kamil, to nie ma nawet z kim porozmawiać w szkole i szkoła jest przez to do bani. Lew przełknął ślinę. Zrobiło mu się nieprzyjemnie ciepło. Jego syn miał problem, który on prawdopodobnie przeoczył. Pewnie powinien coś powiedzieć, wymyślić, zaradzić i naprawić. Niestety był na tyle świadomy swoich cech, że wiedział, że nie jest dobry w te klocki.

– Mikołaj – zaczął po chwili podkomisarz. – Ten wiek, w którym jesteś, jest… naprawdę trudny, a ja nie potrafię ci tak pomóc, jak powinienem. Mój ojciec też nie potrafił, przez co do siedemnastego roku życia chodziłem praktycznie przez cały czas z podbitym okiem.

– Bili cię? – zapytał wyraźnie ożywiony Mikołaj.

Lew poruszył głową, najpierw w jedną, a później w drugą stronę. Prawda była taka, że znacznie częściej to on bił innych niż oni jego. Podbite oczy były wynikiem miernych prób samoobrony jego przeciwników. Nie był to jednak szczególny powód do dumy.

– Nie powiedziałbym, że ktoś mnie bił, ale wdawałem się często w bójki. Nie potrafiłem inaczej. Byłem bardzo nieśmiały, a jednocześnie narastał we mnie bunt i czułem złość. Dużo złości. I nie potrafiłem inaczej komunikować się ze światem. Twój dziadek, widząc, co się dzieje, zamiast usiąść ze mną i porozmawiać, pomóc mi przemóc nieśmiałość, nauczył mnie uników i powiesił worek treningowy, bym poćwiczył uderzenia. Na szczęście ty jesteś mądrzejszy ode mnie. Jestem z ciebie naprawdę bardzo dumny, synu. Może za rzadko to mówię, ale tak jest. To, co udało ci się w te wakacje… to było naprawdę coś.

– Coś mi się udało?

– No tak, przemogłeś się. Gdy przyjechaliśmy na kemping, nawet nie wychodziłeś z domku. Chciałeś tylko grać, a na innych zerkałeś z ukrycia. Po dwóch tygodniach nie chciałeś nawet ze mną tracić czasu na wypicie herbaty, bo tak dobrze się z nimi bawiłeś. To naprawdę coś – odparł Lew, po czym jedną ręką poklepał syna po nodze.

– To nie ma znaczenia. Teraz to wszystko się skończy – wymamrotał cicho Mikołaj.

– Wcale nie musi się skończyć. Poza tym to nie chodzi tylko o te znajomości. Na świecie jest mnóstwo fajnych ludzi. Wystarczy się tylko na nich otworzyć, a ty już wiesz, jak to zrobić – powiedział Lew. – W dodatku w przyszłym miesiącu mam wolne, pamiętasz. Są wakacje. Nie mamy jeszcze niczego zaplanowanego. Może teraz coś wymyślimy. Jest jakieś miejsce, za rozsądną cenę, do którego chciałbyś pojechać?

Mikołaj zastanawiał się chwilę.

– Może kemping?

– Kemping? Naprawdę? Nie masz już dosyć po tym wyjeździe?

– Spodobało mi się – odparł. – Ale tym razem chciałbym taki prawdziwy, znaczy, wiesz, z namiotami.

– Z namiotami? Ale wiesz, że takie prawdziwe kempingi nie mają eleganckich, murowanych łazienek, tylko prysznice otoczone dyktą, a zamiast toalet jest przenośny toi toi, o ile nie drewniana wygódka nad dziurą w ziemi? Jesteś na to wszystko przygotowany? – powiedział, śmiejąc się Lew. Pomysł Mikołaja szczerze go rozbawił i zaskoczył. Przypomniał sobie, jak na początku tej podróży jego syn odmówił wzięcia prysznica, choć warunki na kempingu „Leśny" były niemal luksusowe.

– Klaudia jedzie pod koniec sierpnia w góry z rodzicami na taki kemping. Wysłała mi właśnie stronę. Może też wtedy tam pojedziemy? – zapytał Mikołaj, próbując w nieskuteczny sposób ukryć ekscytację.

– Klaudia z rodzicami, mówisz...

– I jeszcze z kuzynami. Oni jeżdżą zawsze razem. Będzie ich chyba z piętnaście osób. Fajnie, co?

– Fajnie – odparł bez przekonania Lew. Jeżeli on miałby możliwość wyboru miejsca, to na pewno nie byłby to kemping z namiotami i liczną grupą zapewne głośnych znajomych. Spojrzał na Mikołaja. Zobaczył w jego oczach iskierki. – Wiesz co, zróbmy to. Chętnie pojadę z tobą pod namiot. Kto wie, może nawet Baśkę wyciągniemy.

– I Nikolę – krzyknął Mikołaj. – Założę się, że jeszcze nigdy nie była na kempingu. Chciałbym ją zobaczyć, jak rano będzie smażyć jajecznicę nad ogniskiem.

– Tak, to by było coś, choć pewnie nie poczulibyśmy większej różnicy. Ona potrafiła wszystko spalić na naszej w pełni funkcjonującej kuchence w domu – odparł Lew. – Tęsknisz za nią, co?

– Tak – odparł cicho jego syn.

– Ja też. Za nią i za Basią – przyznał podkomisarz. Powiedzenie tego na głos przyniosło mu jakąś dziwną ulgę.

– Z Bibi się ciągle kłóciłeś, a z Nikolą nie. Nie wiem, dlaczego kazałeś się jej wyprowadzić.

– Wcale nie kazałem. Sama się wyprowadziła – odpowiedział podkomisarz.

– Ale też jej nie powstrzymałeś – zarzucił mu Mikołaj.

– To prawda, ale chyba nic, co bym wtedy powiedział, by jej nie zatrzymało. Zresztą ja nie umiem znajdować dobrych słów, które by kogoś przekonały…

Siedzieli chwilę w ciszy. Słońce zaczęło mocniej świecić i temperatura się znacznie podniosła. Podkomisarz kręcił pokrętłem klimatyzacji, ale powietrze idące z nawiewu było coraz cieplejsze. W końcu zrezygnował i otworzył okno, wystawiając przy tym łokieć. Mikołaj zrobił tak samo.

– Tak jest nawet przyjemniej – powiedział. – I wiesz co, tato. Ja z ciebie też jestem dumny. Nie szkodzi, że nie masz gadany, ale łapiesz tych wszystkich morderców.

– Chyba tak – odparł Lew.

– A tego z Wicierzy przyskrzyniliście na dobre?

– Tak mi się wydaje. Zebraliśmy na tyle silne dowody, że nawet bez przyznania się do winy sąd powinien go skazać.

– Super. A dowiedzieliście się, dlaczego on to w ogóle robił? Znaczy dlaczego mordował te kobiety?

– Tak naprawdę nigdy nie można mieć pewności co do motywu. W tym wypadku wydaje mi się, że przede wszystkich chodziło mu o przerzucenie na kogoś poczucia winy za swoje, jak uważał, nieudane życie i o ciągłe porównywanie się z innymi.

– Ale to nie był pan Sławek z kempingu, co?

– Nie, nie pan Sławek. Ale on też był w pewien sposób w to zamieszany. Nieświadomie zaprosił na kemping człowieka, który potem okazał się mordercą.

Chciał mu pomóc. To był jego stary kolega. Niestety, tamten zaczął mu zazdrościć jego życia i to pewnie wyzwoliło w nim coś, czego potem nie mógł zatrzymać.

– Nie dziwię mu się – powiedział Mikołaj.

– Jak to? – zdumiał się podkomisarz.

– No nie dziwię się, że zazdrościł panu Sławkowi. On ma naprawdę świetne życie.

– Tak sądzisz?

– No tak, przez większą część roku nic nie robi, a pracuje tylko od czerwca do września. Zresztą nawet jak pracuje, to w końcu robi to w świetnym miejscu. Poza tym on z panią Ireną tworzą naprawdę fajną parę. Niby się ciągle kłócą, ale tak naprawdę cały czas sobie żartują. W nocy często słyszeliśmy, jak się śmieją głośno, coś oglądając w telewizji. Ja w życiu chyba się tak nie śmiałem jak oni tam każdego wieczora.

– Może masz rację.

– W każdym razie złapaliście tego typa i sprawa zamknięta. I to dzięki tobie! – powiedział Mikołaj.

– To była praca zespołowa. Gdyby nie Jowita, nie znaleźlibyśmy jego kryjówki – odparł Lew. – Ale nie zawsze tak jest, że uda nam się zebrać dowody. Czasami kogoś już mamy, jesteśmy pewni, że to ta osoba, ale nic nie możemy zrobić.

– Opowiesz mi o tym? – zapytał niespodziewanie Mikołaj.

– O czym? O mojej pracy?

– No tak, o jakiejś sprawie. Takiej nierozwiązanej właśnie.

Lew się zawahał. Wszyscy w jego wydziale powtarzali jak mantrę zasadę, że nie powinno brać się tej pracy do domu, i o ile wiedział, nikt nie opowiadał swoim rodzinom na wakacjach o dochodzeniach. Jego rodzina była jednak inna, mniejsza, pogruchotana, okaleczona i ledwo wiążąca wszystkie końce ze sobą razem.

– Pamiętasz, jak jeździłem do takiej małej wioski Buków? – zaczął podkomisarz.

– No, pamiętam.

– Była tam taka kobieta, staruszka. Prawdziwa żyjąca baba jaga. Gdybym sam jej nie spotkał, tobym nie uwierzył...

Lew opowiadał, a Mikołaj słuchał. Od czasu do czasu zadawał całkiem celne pytania, co sprawiało, że podkomisarz ciągnął historię. Gdy dojechali do domu, umierali z głodu. Rozmowa tak dobrze im szła, że zapomnieli się zatrzymać po drodze na coś do jedzenia.

– Chodź, wniesiemy torby, a ja zamówię jakąś pizzę – powiedział Lew.

– No tak… znowu zaczynamy z pizzą. Nie moglibyśmy tym razem zamówić czegoś bardziej… no nie wiem, podobnego do tego, co inni ludzie jedzą w niedzielę w domu.

– Okej, na pewno znajdziemy coś bardziej domowego… albo mam pomysł. Siedzieliśmy cały dzień w samochodzie, więc zamiast zamawiać, sami gdzieś pójdziemy. Na rogu jest bar mleczny – mówił Lew, otwierając drzwi wejściowe. Zamilkł. Górny zamek był otwarty. Przekręcił dolny. W domu ktoś musiał być. Otworzył drzwi. Z kuchni dobiegł ich zapach kotletów schabowych, a w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka dymu. Lew wszedł do środka. W przedsionku znajdował się plecak z ubraniami i torba. Przy kuchence stała Nikola. Odwróciła się do nich, niepewnie się uśmiechając. Stała w cieniu, ale podkomisarz mimo wszystko zauważył, że miała rozmazany makijaż i zaczerwienione oczy.

– Dowiedziałam się, że dzisiaj wracacie, i pomyślałam, że miło wam będzie, jak w domu coś ugotuję. Niestety przypaliłam – powiedziała, po czym zaczęła płakać. Mikołaj ruszył biegiem w jej kierunku i niemal ją przewrócił, obejmując mocno. Lew postawił torbę pod ścianą. Podszedł do nich. Przez chwilę się zastanawiał, jaki gest byłby właściwy. Nikola przysunęła się do niego i oparła głowę o jego klatkę piersiową. Płakała. Lew objął ją jedną ręką.

– Cieszę się, że wróciłaś – powiedział.

**Polecamy inne książki M.M. Perr**

Grupa maturzystów gubi szlak w czasie zamieci śnieżnej w Bieszczadach. W chacie stojącej na uboczu uczniowie dokonują makabrycznego odkrycia. W jednym z pomieszczeń znajdują trzydzieści drewnianych skrzynek, a w nich setki kości oraz zeszyty, w których opisano ostatnie tygodnie życia różnych ludzi.

Sprawę prowadzi podkomisarz Robert Lew. Śledztwo okazuje się jednak trudniejsze, niż się tego spodziewał.

W lesie nieopodal Warszawy rodzina jadąca na wakacje znajduje plastikowe worki z ludzkimi szczątkami. Sprawę prowadzi aspirantka Sonia Czech, wnikliwa i ambitna policjantka, której życie toczy się głównie wokół pracy. Tymczasem dzięki staraniom byłego podkomisarza Roberta Lwa powraca temat Bruna Kality, podejrzewanego wcześniej o seryjne morderstwa.

Obok wioski Buków na jednym z drzew zostaje znalezione wiszące ciało dziewiętnastoletniej Jagody. Związane ręce dziewczyny i jej obrażenia wskazują, że doszło do morderstwa. Ponieważ matka ofiary odmawia współpracy z lokalną policją, do sprawy przydzieleni zostają podkomisarz Robert Lew oraz aspirantka Sonia Czech z Warszawy. Gdy śledztwo nabiera tempa, w Bukowie dochodzi do kolejnych tajemniczych śmierci...

***Powieści obyczajowe, kryminały, thrillery***
***Wciągające i niebanalne***
***Zaczytaj się!***

**Wydawnictwo Prozami**

www.prozami.pl

Księgarnia wysyłkowa
www.literaturainspiruje.pl